



PRZEŁOŻYŁ
MICHAŁ LIPSZYC



WYDAWNICTWO KARAKTER
KRAKÓW 2010

Mawiano o tej krainie, że lunatykuje. Bo kiedy ludzie spali, kraina wędrowała w czasie i w przestrzeni. A jej mieszkańcy po przebudzeniu mogli się przekonać, że pejzaż zmienił oblicze, i wtedy wiedzieli już, że nawiedziła ich mara ze snu.

Podanie mieszkańców Matimati

Dzięki czemu droga wędruje? Dzięki snowi. Podczas gdy ludzie śnią, droga wciąż żyje. Po to właśnie istnieją drogi: aby czynić nas krewnymi przyszłości.

Słowa Tuahira

Są trzy rodzaje ludzi: żywi, martwi i ci na morzu.

Platon

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MARTWA DROGA

W tamtych stronach wojna uśmierciła drogę. Po ścieżkach włóczyły się tylko hieny, poryjkując w popiołach i pyle. Pejzaż skrzyżował się z nigdy dotąd niewidzianymi smutkami o barwach, które oblepiały usta. Barwy te były brudne, tak brudne, że utraciły wszelką lekkość, odarte całkowicie ze śmiałości wzniesienia skrzydeł ku błękitowi. Niebo w tych stronach stało się niemożliwością. A żywi przywykli do ziemi, poddając się z rezygnacją nauce śmierci.

Droga, która otwiera się teraz przed naszymi oczyma, nie krzyżuje się z żadną inną. Zległa gruntowniej niż wszystkie minione stulecia, samotnie podtrzymując dystans. Na poboczach rdzewieją spalone samochody, pozostałości z rozbojów. W trwającej dookoła sawannie jeszcze tylko baobaby obserwują więdnący świat.

Drogą idą starzec i chłopiec. Idą rozkołysanym krokiem, jakby wędrowanie było od chwili narodzin ich jedyną powinnością. Idą znikąd, zamieniając bezruch w ciągłe przybywanie, w nieustannym oczekiwaniu na to, co dalej. Uciekają przed wojną, tą wojną, która zaraziła cały ich kraj. Idą, łudząc się, że gdzieś dalej znajdą spokojne schronienie. Suną przed siebie boso, a ich ubrania mają tę samą barwę co droga. Starzec nazywa się Tuahir. Jest chudy, sprawia wrażenie, jakby utracił całą swoją treść. Chłopiec ma na imię Muidinga. Od czasu gdy opuścił obóz dla uchodźców, idzie przodem. Lekko utyka, jedna z nóg nie dotrzymuje kroku drugiej. To pozostałość po chorobie, która jeszcze niedawno targała nim tak, że aż otarł się o śmierć. Kiedy wszyscy inni się odwrócili, przygarnął go stary Tuahir. Chłopiec przeistaczał się już w cień, śluz i ropa sączyły mu się nie tylko z nosa, ale i z całej głowy. Starzec musiał go nauczyć wszystkiego od początku: chodzenia, mówienia, myślenia. Muidinga ponownie się schłopięcił. Jednak to drugie dzieciństwo zostało przyśpieszone wymogami przetrwania. Kiedy wyruszyli w podróż, zdążył już nawyknąć do śpiewania, dając upust beztroskiemu żartworzeniu. Ale wskutek obcowania z samotnością śpiew przestał się z niego dobywać. Dwaj wędrowcy współbrzmieli z drogą, przywiędli i pozbawieni nadziei.

Muidinga i Tuahir stają teraz przed spalonym autobusem. Spierają się, nie mogąc dojść do zgody. Młody rzuca torbę na ziemię, rozbudzając tuman kurzu. Stary go łaje:

- Mówię ci, mały: właśnie tutaj będzie nasz dom.
- Tutaj? W całkowicie spalonym machimbombo?¹
- Nie masz o niczym pojęcia, mały. To, co już spalone, nigdy więcej nie będzie się palić.

Muidinga nie jest przekonany. Patrzy na równinę. Wszystko wygląda na omdłale. W tych stronach, tak odartych z wszelkiego blasku, już nie chce się mieć racji. Dlatego ustępuje. Obchodzi machimbombo dookoła. Pojazd wypadł z drogi, stanął bokiem do szosy. Prząd

1 Objaśnienia wyrazów obcego pochodzenia na końcu książki.

został zmiądzony wskutek zderzenia z olbrzymim baobabem. Muidinga opiera się o pień drzewa i pyta:

– Ale czy na drodze nie jest bardziej niebezpiecznie, Tuahirze? Nie lepiej ukryć się w chaszczach?

– Nic podobnego. Tutaj będziemy od razu widzieli, kto przechodzi. Rozumiesz, o czym mówię?

– Ty zawsze wiesz lepiej, Tuahirze.

– Nie ma się co uskarżać. Zresztą wszystko przez ciebie: czy to nie ty chciałeś szukać swoich rodziców?

– Chciałem. Ale drogą chodzą tylko bando.

– Jak przyjdą bando, będziemy udawać, że nie żyjemy. Uznają, że zdechliśmy razem z machimbombo.

Wchodzą do autobusu. Na siedzeniach i na podłodze wciąż pełno jest zwęglonych ciał. Muidinga się wycofuje. Stary idzie między siedzeniami, przegląda zakamarki pojazdu.

– Ci spalili się porządnie. Spójrz, jacy wszyscy się zrobili malutcy. Wygląda na to, że ogień lubi oglądać nas jako dzieci.

Tuahir sadowi się na tylnym siedzeniu, gdzie nie dotarł ogień. Chłopiec nadal się waha, lękając się wejść do środka. Stary go zachęca:

– Chodź, tych zmarłych oczyściły płomienie.

Muidinga posuwa się naprzód, stawiając kroki z tysiąckrotną ostrożnością. Ten przybytek zarażony jest śmiercią. Trzeba by tysiąca obrzędów, aby oczyścić autobus.

– Nie rób takiej miny, mały. Zmarli się obrażają, kiedy okazujemy im nasze obrzydzenie.

Muidinga kładzie torbę na ławce. Siada i przygląda się uratowanemu zakątkowi. Jest dach, są siedzenia i oparcia. W tym czasie stary, bez cienia lęku, kładzie się, aby odpocząć. Z zamkniętymi oczami przeciąga się w głos:

– Pyszniutki jest ten cień. Nie odpoczywałem ani chwili, od kiedy uciekliśmy z obozu. Ty nie chcesz się zacienić?

– Tuahirze, zabierzmy stąd te zwłoki.

– A dlaczego? Śmierdzą ci?

Chłopiec nie odpowiada od razu. Zwrócony jest w stronę rozbitego okna. Stary nalega, aby też odpoczął. Od czasu opuszczenia obozu dla uchodźców ani razu nie przystanęli. Muidinga wciąż stoi odwrócony do niego plecami. Słysząc tylko jego oddech, ześlizgujący się niemal w szloch. W końcu powtarza swoje szepczące błaganie: aby oczyścić ich nowe miejsce schronienia.

– Proszę cię, wujku Tuahirze. Mam już dosyć życia wśród trupów.

– Nie jestem twoim wujkiem! – upomina go pośpiesznie stary. I grozi: – Nie spoufalaj się za bardzo, chłopcze!

– Ale taki zwrot to tylko część tradycji – upiera się Muidinga.

– W twoim wydaniu mi się nie podoba.

– Nigdy więcej już cię tak nie nazwę.

– I powiedz mi jeszcze jedno: dlaczego chcesz odnaleźć swoich rodziców?

– Przecież wyjaśniałem ci już to tyle razy.

– Nie mogę tego zrozumieć. Powiem ci coś: twoi rodzice nie będą chcieli cię oglądać, nawet żywego.

– Dlaczego?

– Podczas wojny dzieci są ciężarem, który maningue kłopotu.

Wychodzą, aby pogrzebać trupy. Nie odchodzą daleko. Wykopują tylko jeden grób, żeby zaoszczędzić sobie wysiłku. W drodze powrotnej znajdują jeszcze jednego nieboszczyka. Leży na brzuchu, tuż przy bandzie. Nie jest spalony. Zginął od kuli. Koszula jest tak przesiąknięta krwią, że trudno odgadnąć jej oryginalną barwę. Obok niego leży walizka,

zamknięta, nienaruszona. Tuahir szturcha zwłoki nogą. Przeszukuje mu kieszenie, ale na próżno: ktoś już je zdążył opróżnić.

– Ej, ten gość jeszcze nie śmierdzi. Zaatakowali machimbombo niedawno.

Chłopaka przechodzą dreszcze. Tragedia okazuje się świeższa, niż przypuszczał. Duchy zmarłych wciąż tutaj przebywają. Jednak Tuahir wydaje się nieczuły na ich sąsiedztwo. Grzebią ostatniego trupa. Do końca nie oglądają jego twarzy: wloką go, tak jak leżał, i bronuje zębami ziemię. Po zasypaniu dołu stary wciąga walizkę do autobusu. Usiłuje otworzyć znalezione, jednak nie potrafi. Woła na pomoc Muidingę:

– Otwieraj, zobaczymy, co jest w środku.

Pośpiesznie forsują zamek. W walizce znajdują ubrania, pudełko z jedzeniem. Na wierzchu walają się szkolne zeszyty, zabazgrane niewyraźnymi literami. Stary wyciąga pudełko z żywnością. Muidinga przegląda papiery.

– Patrz, Tuahirze. To są listy.

– Mnie interesuje jedzenie.

Chłopiec przerzuca pozostałą zawartość walizki. Czujne dłonie wędrują po jej zakamarkach. Stary przywołuje go do porządku: niech zostawi wszystko tak, jak jest, i niech zamknie wieko.

– Zostaw te papierzyska. Przydadzą się na rozpałkę.

Młody wyciąga zeszyty. Wsuwa je pod swoje siedzenie. Wygląda na to, że nie zamierza poświęcić tych papierów na rozpałkę. Nieobecny, siedzi na swoim miejscu. Tymczasem na zewnątrz wszystko zamienia się w noc. Zaczyna królować leśna ślepa czerń. Muidinga spogląda w mrok i drży. To jedna z tych czerni, której nie połkną nawet kruki. Strach wodzi swoimi rogami po piersi chłopca, który kładzie się zwinięty w kłębek niczym congolote. Machimbombo poddaje się ciszy, wszystko staje się pośepnym milczeniem.

Po chwili daje się słyszeć szloch ciągnący się niemal niesłyszalną strugą. To Muidinga płacze. Stary wstaje i sarka:

– Przestań płakać!

– Bo mi doskwiera jeden smutek...

– Jak będziesz tak beczeć, to wywołasz duchy. Zamknij się, albo ci ten smutek pięścią z głowy wytlukę.

– Już nigdy się stąd nie wydostaniemy.

– Wydostaniemy się, zapewniam cię. Któregoś dnia coś się musi wydarzyć. I ta wojna się skończy. Droga już zapełnia się ludźmi, ciężarówkami. Jak dawniej.

Stary, nieco rozpogodzony, obejmuje ręką drżące ramiona chłopca i pyta:

– Boisz się nocy?

Muidinga kiwa twierdząco głową.

– No to idź i rozpal ogień na zewnątrz.

Chłopiec wstaje i zaczyna przerzucać papiery, lękając się podrzeć jakąkolwiek zapisaną kartkę. W końcu oddziera okładkę jednego z zeszytów. Używa jej do rozpalenia ognia. Potem siada przy ognisku, układa obok siebie zeszyty i zaczyna czytać. Wyjąkuje literę po literze, rozszyfrowując powoli kształty każdej z nich. Uśmiecha się zadowolony ze swojej zdobyczy. Stopniowo nabiera wprawy i prędkości.

– Co robisz, chłopcze?

– Czytam.

– Prawda, już zapomniałem. Ty umiałeś czytać. No to czytaj na głos, będzie mi łatwiej zasnąć.

Chłopiec zaczyna czytać na głos. Jego oczy otwierają się szerzej niż głos, który, powolny i uważny, odszyfrowuje kolejne litery. Dopiero teraz dociera do niego, że posiada zdolność czytania. Stary Tuahir, nieznający liter, nigdy nie rozbudzał w nim tej zdolności.

Wydaje się, że głos Muidingi przyciąga uwagę księżycy. Cała noc rozjaśnia się księżycowym blaskiem. Wysrebrzona droga słucha opowieści, unoszącej się z kartek zeszytu: „Chciałbym poukładać czasy”...

PIERWSZY ZESZYT KINDZU

Czas, w którym świat miał tyle lat co my

Chciałbym poukładać czasy w ugodzonym porządku, zgodnie z nadziejami i udręką. Ale wspomnienia się mnie nie słuchają i bujają między chęcią, aby nie być niczym, a upodobaniem do odzierania mnie z teraźniejszości. Rozpalam opowieść, a siebie samego wygaszam. Po zakończeniu tych zapisków znów będę cieniem bez głosu.

Nazywają mnie Kindzu. Tak określa się malutkie palmy, które gną się nad brzegiem oceanu. Kto ich nie zna, pełnych żalu, że urosły, stęsknionych za swoim podłożem? Imię to wybrał dla mnie mój ojciec na cześć swego jedyne go zamilowania: picia sury, palmowego wina. Taki właśnie był stary Taimo, rybak samotnik. Z początku jeszcze czekał, aby czas wytrawił trunek, oddając się zakazanym praktykom fermentacji i destylacji. Później zaniechał nawet i tego: po prostu nacinał palmowe pędy i kładł się z otwartymi ustami, pozwalając, aby krople skapywały mu między wargi. W ten sposób żaden cipaio nie mógł mu założyć kajdanek: nigdy nie destylował sury. „Dobre życie – pouczał – polega na tym, aby wysysać mango bez obierania go ze skórki”.

W międzyczasach wołał nas, abyśmy słuchali jego niespodziewadek. Te historie sprawiały, że nasz drobniutki zakątek rósł, aż stawał się większy niż świat. Żadna opowieść nie miała końca, sen tłumiał mu usta, nim następowało rozwiązanie intrygi. To my dźwigaliśmy z ziemi jego rozespiane ciało. Nie kładliśmy go w domu: zawsze odmawiał zasłanego łóżka. Był przekonany, że to właśnie na miękkich pledach dopada nas śmierć. Jego legowiskiem była goła ziemia, miejsce, na którym i deszcz lubi zalegać. My opieraliśmy go po prostu o ścianę domu. Zostawał tam do rana. Znajdywaliśmy go pokrytego mrówkami. Wydawało się, że insekty lubią słodkawy pot starego Taimo. Nawet nie czuł mrówczego drobienia na swojej skórze.

– A to sraka: pocę się bardziej niż palma!

Kiedy się budził, wygadywał głupstwa. Otrząsaliśmy go z niestrudzonych robaków, a on otrząsał się z nas samych niezadowolony, że poświęcamy mu uwagę.

Mój ojciec cierpiał od snów. Wychodził przez bramę nocy z przetwartymi oczyma. Ponieważ spał na dworze, nawet nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. To moja matka wzywała nas o poranku:

– Chodźcie, tata miał sen!

A my zbieraliśmy się wszyscy, żeby wysłuchać prawd, które zostały mu objawione. Taimo otrzymywał od przodków informacje o przyszłości. Wygłaszał tyle przepowiedni, że nie było czasu, aby którakolwiek została sprawdzona. Zastanawiałem się nad prawdziwością tych wizji starego opowieściarza.

– Nawet nie próbujcie wątpić – ostrzegła nas przewidująco mama.

I tak mijała nasza dziecięcość – tak dawno stąd. W tamtych latach jeszcze wszystko miało sens: racja tego świata zawierała się w drugim, niewytłumaczalnym świecie. Starsi byli pomostem między tymi dwoma światami. Pamiętam, jak mój ojciec wezwał nas pewnego dnia. Wyglądało na to, że znów odbędzie się jedno z tych zebrań, podczas których wspominał barwy i rozmiary swych snów. Jednak nie. Tym razem stary miał na sobie krawat, garnitur i podzielowane buty. Jego głos nie wariował w majakach. Wieścił pewien fakt: niepodległość kraju. W owym czasie nie zdawaliśmy sobie sprawy z prawdziwego znaczenia tej wiadomości. Jednak w głosie starego dawało się wyczuć tak głębokie wzruszenie, jakby

ziściły się właśnie wszystkie jego marzenia. Zawołał moją matkę i, dotykając jej brzucha, krągłego jak księżyc w pełni, powiedział:

– To dziecko musi się nazywać Dwudziestypiąty Czerwca.

Dwudziestypiąty Czerwca było zbyt długim imieniem. Ostatecznie chłopiec został po prostu Czerwcem. Lub, w zdrobniałym wydaniu: Czerwiesiem. Moja matka nie miała już nigdy więcej dzieci. Czerwiesio był ostatnim mieszkańcem jej łona.

Czas wędrował łagodnymi ospałościami, kiedy nagle wybuchła wojna. Mój ojciec mówił, że cały ten zamęt przyszedł z zewnątrz, sprowadzony przez tych, którzy stracili swoje przywileje. Na początku słuchaliśmy jedynie mętnych wieści o sprawach, które działy się gdzieś daleko. Potem strzelaniny zaczęły się zbliżać i nasze lęki wypełniły się krwią. Wojna to żmija, która kąsa nas naszymi zębami. Jej jad krążył teraz we wszystkich strumieniach naszych dusz. Za dnia nie wychodziliśmy już z domu, nocą już nie śniliśmy. Sen to oko życia. My byliśmy ślepi.

Czułem, że nasza rodzina rozsypuje się stopniowo w skorupy jak dzbanek ciśnięty na ziemię. Tam gdzie zawsze znajdowałem schronienie, nie zostało już nic. Byliśmy biedni jak nigdy dotąd. Czerwiesiowi kolana wysadzało z nóg i męczył się samym oddychaniem. Już nie mogliśmy uprawiać machamby. Matka wychodziła wczesnym rankiem z motyką, ale nie docierała na żadne pole. Nie wykraczała nawet poza micaia, które otaczały gospodarstwo. Wpatrywała się w minione czasy. Jej ciało chudło, a jej cień rósł. Wkrótce ten cień miał dorównać rozmiarami całej ziemi.

Także i dla nas, którzy posiadaliśmy jeszcze jakieś dobra, unędznione życie zaczynało się mroczyć. Wszyscy szliśmy na dno, z wyjątkiem mojego ojca.

Witał radośnie naszą sytuację, twierdząc, że bieda to nasza najlepsza obrona. Widmo nędzy to nasz nowy pan, dla którego teraz pracujemy. W ramach wynagrodzenia otrzymujemy ochronę przed złymi zamiarami bandytów. Stary wołał z satysfakcją:

– Tak jest dobrze! Kto nie ma nic, nie budzi w nikim zazdrości. Najlepszy stróż to brak drzwi.

Matka kręciła głową. Uczyła nas, że mamy stać się cieniami pozbawionymi wszelkiej nadziei, poza tą jedną na opuszczenie ciała i legnięcie w ziemi. To była lekcja bez słów, wystarczyło, że matka siedziała z podwiniętymi nogami. Stopniowo stawaliśmy się inni, niepoznawalni. Zrozumiałem, jak bardzo się zmieniliśmy, kiedy mojemu najmłodszemu bratu kazano opuścić dom. Poprzedniej nocy ojca nawiedziły te jego majaki. Jednak tym razem wszystko widzieliśmy, podglądając przez okno jego bezrozumny bieg przez pola. Jego wrzaski eksplodowały w pokoju, rozrastały się w mroku. Tylko Czerwiesio nie podszedł do okna skulony na swojej słomiance. A my udaliśmy, że wierzymy chłopcu, kiedy powiedział:

– To nie ojciec, to przestraszące stwory.

Wróciliśmy do łóżek wybici ze snu.

Rankiem zawołała nas matka. Siedliśmy z powagą. Ojciec miał głowę zwieszoną na piersi. Wciąż spał? Trwał tak przez pewien czas, jakby czekał na słowa. Kiedy w końcu na nas spojrział, ledwo rozpozналиśmy jego głos:

– Jedno z nas umrze.

I zaraz pośpieszył z powodami: nasza rodzina nie uroniła w tej wojnie jeszcze ani kropli krwi. Teraz nadchodził nasz czas.

– Śmierć tu zawita, mam ostateczną pewność – wyrokował stary Taimo. – A zagaśnie jedno z was, moje dzieci. – I powiódł czerwonymi oczyma po naszych skulonych ramionach.

– To on. To on umrze.

Wskazał na Czerwiesia, mojego najmłodszego brata. Wszyscy zadrżeliśmy, mój braciszek nie rozumiał nawet, o czym się mówi. Nie słyszał dobrze od czasu, gdy omal się nie utopił. Wlało mu się do uszu tyle wody, że już nigdy się nie odetkały. Wytrząsał się, wycierał się – i nic. Woda została w głowie i ciągle było słychać, jak dobywa się z niej chlupotanie.

Musiałem mu powtórzyć słowa ojca. Czerwiesio skrył się drżąco w moich ramionach. Stary podniósł laskę, przerywając powszechne zgnębienie.

– Cicho być! Nie trza mi tu płacząglupków! Już całą sprawę przemyślałem. Od dzisiaj Czerwiesio zamieszka w kurniku!

I zaraz wydał odpowiednie do swego projektu zalecenia: chłopiec powinien ciałem i duszą upodobnić się do kury. Kiedy przyjdą bando, to go nie ruszą. Kura to stworzenie, które nie wzbudza żądzy okrucieństw. Moja matka próbowała się jeszcze sprzeciwić: nie brakowało doniesień o napadach na kurniki. Ojciec strzaskał niecierpliwość na języku i przyspieszył decyzję: to był jedyny sposób, aby uratować Dwudziestegopiętego Czerwca.

Od tego dnia braciszek nie mieszkał już w domu. Mój stary wyszykował mu miejsce w kurniku. Wczesnym rankiem uczył małego śpiewać tak, jak to robią koguty. Szkolił go długo. W końcu, po wielu świtaniach, mój brat Czerwiesio umiał już doskonale piąć, okryty workiem z piór, który uszyła mu matka. Jakby pasował do niego cały ten puch pchłami pokryty.

Urwały się wówczas nocne opowieści ojca. Do naszego domostwa docierały tylko nowiny kul, katan i ognia. Siedzieliśmy razem, łącząc się w przeżuwaniu zimnej ciszy. Ojciec mój pytał:

– Rzuciliście mu już resztki?

Dopytywał się o posiłek Czerwiesia. Ale resztki? Jakie resztki mogą pozostać po skąpych okruchach? A jednak pozostawały. Nikt tego nie wie, ale nasze ściśnięte żołądki aż się skręcały: po nicościach na naszych talerzach zawsze w końcu zostawało jakieś małe coś.

Czerwiesio coraz bardziej znikał nam z oczu, a nam nie wolno było nawet napomykać o jego istnieniu. Wyglądało na to, że nawet moja matka się poddała. Jednak wiedziałem, że po kryjomu odwiedza kurnik. Wymykała się tylnymi drzwiami wśród nocy, siadała w ciemności i nuciła mu kołysankę, tę samą, której wszyscy słuchaliśmy przed snem. Z początku Czerwiesio nucił razem z nią. Jego głos sprawiał, że opadał nas smutek i spuszczałyśmy oczy. Potem Czerwiesio nie potrafił już nawet wymówić ludzkich słów. Wydawał z siebie kilka piskliwych „ko ko ko!” i zwieszał głowę pod ramieniem. I tak zasypiał.

Pewnego ranka kurnik zaświtał bez niego. I nigdy więcej już nie było Czerwiesia. Umarł, uciekł, przemknął w nieskończoność? Nikt nie mógł tego odgadnąć. Sąsiedzi mówili, że to mój ojciec, zupełnie pijany, pomylił szyję prawdziwego ptaka z szyją własnego potomka. Inni twierdzili, że to jacyś bando przewędzili kurnik, aby uśmierzyć swój głód. Moja matka w swym zamyślnym milczeniu skrywała inne wersje. Kto wie, może to ona otworzyła furteczkę w siatce i wypuściła swoje dziecko, aby podziobało sobie teraz tam, w tej całej oddali?

Zniknięcie mojego brata doprowadziło cały nasz dom do obłędu. Najbardziej zmienił się ojciec. Stopniowo porzucał wszelkie dodatkowe zajęcia, świtając i zmierzając w pijaństwie. Jego łódź drzemała na wydmie, z żaglem skręconym, stęsknionym wiatru. Mój stary upijał się oparty o burtę. Było tak, jakby oboje, łódź i rybak, czekali na podróż, która nigdy nie miała nastąpić. Stan jego karłał miarowo, aż znalazł się poniżej poziomu żalości, wymierzwiony wśród wódczanych wyziewów. Jedyńą jego treść stanowiła sura. Pewnego dnia znaleźliśmy go tak napompowanego, że już nawet nie gadał. Czerwona piana bąbelkowała mu z ust, nosa, uszu. Kurczył się jak dziurawy worek, a kiedy już był samą skórą, padł na ziemię wyuczony jak liść.

Ceremonia pogrzebowa odbyła się w wodzie – znalazł grób wśród fal. Nazajutrz stało się coś, czego nikt nie śmiałyby sobie wyobrazić: morze wyschło, w ułamku chwili znikła cała woda. W miejscu gdzie wcześniej plażował błękit, pozostała równina pokryta palmami. Każda była brzemenna w owoce – tłuste, lśniące od smakowitości. To nawet nie były owoce – przypominały złote tykwy, każda o wadze tysiąca bogactw. Mężczyźni rzucili się w ten padół z katanami w rękach, czując już przedsmak tych darów. Wówczas zabrzmiał głos

rozrastający się wieloechem; zdawało się, że każda palma obdarzona jest nieskończonością ust. Mężczyźni przystanęli w urywku wahania. Ten głos brał się z unaocznionego snu? Dla mnie nie było wątpliwości: to był głos mojego ojca. Prosił mężczyzn, aby wzięli coś pod rozwagę: te owoce były bardzo święte. Jego głos klękał, błagając, aby oszczędzono drzewa: los naszego świata wisi na cieniutkich niciach. Wystarczy przeciąć jedną z nich, żeby wszystko obróciło się w wielką strugę nieszczęść i zamętów. Wtedy jeden z mężczyzn spytał drzewo: czemu jesteś takie niehumanitarne? Odpowiedziało mu tylko milczenie. I nie rozległ się już więcej żaden głos. Tłum znowu rzucił się na palmy. Jednak kiedy ucięty został pierwszy owoc, z rany trysnęła przeogromna struga i dolinę ponownie zapełniło w śpiewospadach morze, topiąc wszystko i wszystkich.

Przypominam sobie ten potop tylko wtedy, gdy śpię. Podobnie jak tyle innych wspomnień, które tylko w snach mnie nawiedzają. Wydaje się, że ja i moja przeszłość śpimy naprzemiennie – jedno robi postój, kiedy drugie kontynuuje swą podróż.

Moja matka, owdowiawszy, zasklepiła się w smutku jak w ciemnym zakątku. Poradziliśmy się czarownika, chcąc poznać szczegóły śmierci ojca. Kto wie, może był to jeden z tych bezprawnych zgonów, które domagają się całkiem specjalnych obrzędów? Czarownik potwierdził osobliwość tej śmierci. Zalecił matce: niech zbuduje dom, i to daleko. W tej samotnej rezydencji powinna umieścić łódź mego ojca, z masztem i rozżalonym żaglem. Jak powiedział, zrobiliśmy. Z pomocą wszystkich obecnych zaczęliśmy pchać concho. Takiego ciężaru w życiu nie widziałem. Pchanie łódki zajęło cały dzień. Mój starszy wujek wyśpiewywał swym korpulentnym głosem komendy. Nocką, przy ognisku, wytłumaczyli mi tradycję. Sens tej łodzi w środku domu: ojciec mój może powracać z morza. Dlatego co wieczór zanosilem do samotnego domku garnek pełen jedzenia. Następnego dnia garnek był pusty, wyskrobany do cna.

Czasem, kiedy szedłem przez mrok, niosąc posiłek zmarłego, słyszałem, jak chichoczą hieny. Gdy uładziłem lęki, nabrałem podejrzeń: a jeśli to quizumba opróżniają garnki? A może on, nieboszczyk, przybiera postać zwierza, aby się obzertuszyć? Którejś nocy, kiedy hieny głosowały, ujrzałem sylwetkę wymykającą się z chaty. Dostrzegłem jedynie rękę całą obwieszoną czerwonymi wstążkami. Zaraz pośpieszyłem, aby zawołać matkę. Bardzo bardzo chciałem jej unaocznić istnienie innej istoty, innego pożeracza jej kolacji. Udowodnić absolutny brak ojca – to byłoby dla mnie zwycięstwo. Wszedłem w światło podwórza i ujrzałem matkę, jak szepcze słowa piosenki. Jeszcze nic nie powiedziałem, a ona od razu:

– To był on! To był twój ojciec...

Jak to, ona też wiedziała o dziwnej postaci? Z pewnością już wiele nocy temu zauważyła krążenie tego osobnika. Teraz chciała, aby zjawa była nieboszczykiem mężem, o rękach obwieszonych bransoletami.

– Mamo, to nie był on! – upierałem się.

Znów zaczęła przynućać piosenką. Zawahałem się: czy warto? Stara nigdy nie uzna moich wątpliwości. Kto na tym świecie przyznaje wagę dziecku? I odpuściłem. Nawet jeśli prawda była inna, matka nigdy by jej nie przyjęła do wiadomości. Moje pragnienie, aby odkłamać powrót zmarłego, byłoby jak deszcz, który gnije w górze, na wierzchołkach chmur. Ostatecznie za życia mojego ojca matka poświęcała się całkowicie jego nieobecności. Teraz, kiedy już nie żył, dbała o jego bezobjawianie się, gotując dla jego niewidzialnych głodów. Rozważałem czas tej kobiety, to, co o niej zapamiętałem: zawsze bezmiernie matczyzna, wiecznie ciężarna, jedno dziecko wychodzi, drugie wchodzi. Przewlekłe wspomnienia – jadła czerwoną ziemię, aby utrzymać w ciele krwawe posoki. Nosiła piasek w glinianym garneczku i przystawała chwilami, aby pełnymi dłońmi obsycić się ziemią. Teraz łyzy na twarzy, na wygaszonych oknach życia, moczyły jej słowa:

– Miałam tyle dzieci... Tyle, tyle dzieci. Wszystkie odeszły. Tylko ty zostałeś, Kindzu. Właśnie ty, najgorszy ze wszystkich.

To była prawda: ta resztką, którą stanowiłem, oznaczała dla niej jedynie karę i tęsknotę za pozostałymi dziećmi. Z dobroci zawsze trzymałem się z dala od matki, uwalniając ją od mojej osoby; choroby jej pamięci. Całymi dniami błakisnułem się, ocierając stopami fale ocierające plażę. Wcześniej jeszcze wdrażałem się w domu pastora Afonsa, czytając jego książki i słuchając jego nauczania. Jednak teraz unikałem już mędrca nauczyciela. Moja dusza była zamarłą rzeką, żaden wiatr nie wysrebrzą! żagla moich marzeń. Od śmierci ojca płynę sam, osierocony jak fala, brat wszystkich bezimiennych stworzeń.

Leniusząc się tak bez celu, słyszałem, co mówią ludzie: ten Kindzu złapał wielorybią chorobę. Mówili o wielkim wielorybie, którego oddech sprawiał, że ocean wypełnia się i kurczy. Podobności moje do zwierzęcia budziły wspomnienia dawnych czasów: my, mali chłopcy, siedzący na wydmach. Słuchaliśmy szumu fal pękających na horyzoncie, z nadzieją że ujrzymy wieloryba. To tam było miejsce, w którym się pojawiał, kiedy słońce klękało na brzuszysku świata. Nagle wystraszał nas hałaśliwy odgłos: to stworzydło wysysało wodę! Siorbał, aż opróżnił się cały ocean. Słyszeliśmy wieloryba, aleśmy go nie widzieli. Aż pewnego razu jeden z tych wielgachnych przyssaków zdesantował na plażę. Chciał umrzeć na piasku. Oddychał z trudem, jakby targał cały świat na swych żebrach. Wieloryb śmiertelnieł w omdlagonii. Ludzie zbiegli się, aby mu odrzynać mięsiwo, tysiące kilowych plastrów. Jeszcze nie umarł, a już jego kości bielily się w słońcu. Zobaczyłem teraz mój kraj jako jednego z takich wielorybów, który przyplęwa, by skonać na plaży. Śmierć jeszcze nie nadeszła, a już go noże rozkradają na części, a każdy stara się wyrwać jak najwięcej. Jakby to było ostatnie zwierzę, jedyna szansa, aby zdobyć porcyjkę. Tymczasami zdawało mi się, że słyszę jeszcze oddech giganta, który łyka falę po fali, obracając nadzieję w odpływ. W końcu nastał czas, w którym czas już się nie zdarza. Życie, moi przyjaciele, już mnie do siebie nie zaprasza. Jestem skazany na dożywotnią ziemię, jak wieloryb wygaśnięcy na plaży. Jeżeli pewnego dnia poważę się na inne miejsce, będę musiał zabrać z sobą drogę, która nie pozwala mi siebie opuszczać. Jeżeli sprawy rzetelnie rozważyć, jestem zgubiony bardziej niż mój brat Czerwiesio.

Wojna rozrastała się i zabierała stąd coraz więcej mieszkańców. Nawet w mieście, centrum regionu, betonowe domy świeciły teraz pustkami. Ściany, pełne dziur po kulach, upodobniły się do skóry trędownatych. Bando strzelali do domów, jakby budziły w nich gniew. Może celowali nie w domy, lecz w czas, ten czas, który przyniósł beton i domostwa trwalsze niż ludzkie życie. Na ulicach wzrastały krzewy, w oknach pleniła się trawa. Zdawało się, że sawanna wraca teraz, aby upomnieć się o tereny, których była kiedyś wyłączną właścicielką. Zawsze mi powtarzano, że miasto trzyma się z woli prastarych mocy, mocy pochodzących z daleka. Miasta nie buduje ten, kto je wzniósł, tylko ten, kto w nim mieszka. I teraz betonowe domy, pozbawione mieszkańców, murszały jak szkielet wydarty zwierzęciu.

W mieście pozostał tylko jeden kupiec: Surendra Vala, Hindus z zawodu i pochodzenia. Lubilem go odwiedzać, słuchać jego gawęd, próbować zapachów jego domu. Podawał mi nader obfite posiłki, z tych, od których oczy się ślinią na języku. Jego żona Assma nie zniosła ciężaru świata. Całymi dniami tkwiła w cieniu za sklepową ladą, z głową przytkniętą do radia. Czego słuchała? Zgiełków bez jakiegokolwiek syntonii. Jednak ona w tle tych jazgotów rozpoznawała muzykę swoich Indii, melodie kojące tęsknotę za Wschodem. Z wonnych trociczek wzlatywały dymy. Oczy Assmy śledziły te wonie, pląsając w obłądnych kierunkach. Zasypiała ukołysana zgrzytami i trzaskami. O zmierzchu Surendra wyłączał radio, podchodząc na palcach, aby nie zbudzić żony. Sklepowy pomocnik Antoninho przyglądał mi się złośliwie. To był ciemnoskóry przytłuszczony chłopak. Wielokrotnie okłamywał mnie w drzwiach, mówiąc, że pan wyszedł. Chyba zazdrościł mi tego, że cieszyłem się łaskami Hindusów. Moja rodzina także nie życzyła sobie, abym zachodził do sklepu.

– Ten facet to monhe – powtarzali, jakbym sam tego nie zdążył zauważyć. I dodawali: – Monhe nie przyjaźni się z Czarnym.

Rok po roku człowiek ten dowodził czegoś wręcz przeciwnego. Zaraz po wyjściu ze szkoły śpieszyłem do jego domu. Wchodziłem tam, jakbym zanurzał się w innym życiu. Mój prywatny światek był tak znikomy, że nie potrafiłem sobie wyobrazić żadnych podróży poza tymi nieposłusznymi wizytami. Traciłem całe godziny w tym przybytku, siedząc między towarami, podczas gdy długie ręce Surendry wodziły lekko po płótnach. To Hindus pomógł mi postawić pierwszy krok na drodze, przestrzegając mnie, że jestem spóźniony. Surendra wiedział, że moi ziomkowie nie wybaczą takich zażyłości. Jednak nie rozumiał dlaczego. Problemem nie był on ani jego rasa. Problemem byłem ja. Moja rodzina obawiała się, że oddalę się od świata dzieciństwa. Miała swoje powody. Po pierwsze, chodziło o szkołę. A raczej o przyjaźń z moim nauczycielem, pastorem Afonsem. Jego lekcje ciągnęły się nawet po szkole. Dzięki niemu uczyłem się nowej wiedzy, magii Białych, jak mawiał mój ojciec. Dzięki niemu zapalałem miłością do liter, stając się gryzmołnikiem kartek, jakby miały się z nich narodzić te wszystkie czary, o których opowiadał stary Taimo. To jednak było zło zgoła pożądane. Dobrze mówić, bardzo dobrze pisać i, przede wszystkim, jeszcze lepiej liczyć. Powinienem przyswoić sobie te wszystkie sztuczki, aby mieć lepszą przyszłość. Gorzej, znacznie gorzej było z Surendrą Vala. Przez niego moja dusza mogła się zmulacić, dając niskiej jakości krzyżówkę. To ryzyko było prawdziwe. Wielokrotnie pozwalałem sobie mieszać w uczuciach Surendry jako adept nowego serca. Zdarzało się, że siedzieliśmy o zmierzchu na werandzie, patrząc, jak resztki zachodu odbijają się w falach Oceanu Indyjskiego.

– Widzisz, Kindzu? Tam, po drugiej stronie, leży moja ojczyzna.

I dzielił się ze mną swą myślą: my, ci z wybrzeża, nie jesteśmy mieszkańcami kontynentu, tylko oceanu. Ja i Surendra dzieliliśmy tę samą ojczyznę: Ocean Indyjski.

I było tak, jakby w tym olbrzymim morzu rozwijały się nici historii, stare wątki z czasów kiedy mieszała się nasza krew. Dlatego właśnie bez końca podziwialiśmy ocean: kryli się w nim nasi wspólni przodkowie, dryfując bez granic. Takie było źródło mojej namiętności do udomowiania się w sklepie Surendry Vala.

– Jesteśmy tej samej rasy, Kindzu: jesteśmy Indyjczykami!

Śmiał się, powtarzając: nie Hindusami, lecz Indyjczykami. Udawałem, że mnie to śmieszy, śmiejąc się tylko z powodu dobrego samopoczucia. Kiedy tam siedzieliśmy, robiąc absolutnie nic, czułem, że awansuję. Wymieniając się ze mną swymi jałowymi sprawami, Surendra zapominał o swoich klientach. Komentowałem się: jeszcze nigdy nikt o niczym nie zapomniał z mojego powodu.

To zdarzyło się pewnego wieczora Przyszedł waźniak z sąsiedniej wioski Omiółł sklep oczami wylazącymi z orbit. To ja zauważyłem, że kradnie. Ostrzegłem Surendrę, który z kolei upomniał złodzieja. Mężczyzna się obrzucił, obstając przy swoim. Antoninho, gruby pomocnik, kłamał, twierdząc, że mężczyzna jest niewinny. Nie chciał zdradzić swojego krajana, przyznać racji komuś z innej rasy. Nastroje się rozpały. Klient był tym, który dorzuca do ognia. Surendra pozostał niewzruszony, domagając się tylko, aby towar został odłożony na miejsce. Gniew klienta, rozdęty i wścieknięty, skupił się teraz na mnie. Przybysz wydał rozkazy Antoninho: niech mnie wyrzuci za drzwi, bo dyskusowanie zamieni się w łanie. Antoninho chciał to śpiesznie wykonać, usiłując chwycić mnie od tyłu. Ale wtrącił się Surendra, biorąc panowanie nad chwilą. I rozkazał pomocnikowi, aby wyrzucił za drzwi bezprawnego nabywcę. Antoninho międlł dłonie w palcach, nie mogąc się zdecydować. Intruz skoczył do Hindusa, charcząc flegmą i furią, dławiąc się własnym płucem. Piął się tak po swych żyłach i nerwach, aż w końcu plunął Surendrze w twarz. Hindus stał skamieniały, podczas gdy ślina ściekała. Ale choć pomoczony, nie był poniżony. Kiedy chciałem się porachować z intruzem, Surendra poprosił mnie o spokój:

– Zostaw to, Kindzu. Jak narobimy hałasu, obudzimy Assmę.

Wtedy klient wyjął zapałkę z pudełka i ukrył ją w dłoniach.

– Zaraz będzie z tego niezłe ognisko – zagroził złośliwerczo. Hindus spojrział na śpiącą żonę i powiedział:

– Kindzu, proszę cię, pogłośnij radio.

– Tak, pogłośnij muzykę, bo fakir będzie tańcować – rzucił złodziej.

Wówczas stała się rzecz niespodziewana: do sklepu wszedł przedziwny człowiek. Strój jego był znikomy, ale za to pełen wisiorków, piór, wstążek i zdobień. I dreszcz mnie przeszedł do szpiku: ręce obwieszane były czerwonymi wstążkami i bransoletami do xicuembo, dokładnie takimi, jakie widziałem u osobnika, który wymykał się z chaty mojego nieboszczyka ojca. Wpatrywałem się w postać przybysza. Klient napastnik też się zdurnił i cała zapalka spłonęła mu w blaskodrżących palcach. I tak też – z płomykującymi dłońmi – wyszedł. Nowo przybyły podszedł do lady i zaczął cicho rozmawiać z Surendrą. Radio grało tak głośno, że nic nie słyszałem. Podszedłem znowu do półki, aby je ściszyć. Kiedy wróciłem na miejsce, przybysza już nie było. Nie zdołałem opanować ciekawości:

– Kto to był?

– To naparama.

Naparama? Nigdy o kimś takim nie słyszałem. Surendrą zaczął mi mgliście tłumaczyć: to tradycyjni wojownicy, błogosławieni przez czarowników, którzy walczyli ze sprawcami wojny. Na Północy przynieśli już pokój. Walczyli za pomocą włóczni, krótkich dzid i łuków. Z wszelkich wystrzałów nic sobie nie robili, byli opancerzeni, chronieni od kul.

– A ten po co tu przyszedł?

– Przyszedł prosić o płótno. Potrzebują go do obrzędów inicjacyjnych, kiedy przyjmują w swoje szeregi nowych, którzy także chcą być naparama.

Wtedy opowiedziałem Surendrze o tej nocy, gdy zaskoczyłem jednego z tych ludzi w chacie starca. I o uporze, z jakim moja matka twierdziła, że to był duch jej męża.

– Miała rację, Kindzu. Ten, którego widziałeś, to był twój ojciec.

– Ale Surendro...

– Możesz być pewien. To był wasz nieboszczyk.

– Wyjaśnij mi to, Surendro. Wyjaśnij mi, dlaczego chcesz, abym uwierzył w coś, czego nie widziałem.

– Ponieważ nie chcę, byś cierpiał. Jesteś dla mnie jak syn, którego Assma mi nigdy nie dała.

I spojrział na mnie głęboko, z powagą, która rodzi się tylko ze smutku. Jego oczy lśniły chłopczęco, jak u kogoś, komu nie dane było się w życiu nauczyć sposobów na szczęście. Wtedy moja dłoń sięgnęła jego twarzy i starłem ślinę, która wciąż z niej ściekała.

Pewnej nocy bandyci napadli na sklep Hindusa, skradli płótna, spalili budynek. Wiadomość rozeszła się szybko. Nikt nie wykrzesał z siebie żadnego uczucia dla nieszczęścia Surendry Vala. Był kimś obcym, nie zasługiwał nawet na litość. Przybiegłem, gdy się dowiedziałem o zajściu. Zostałem Surendrę na podwórzu jego starego domu otoczonego mnóstwem paczek.

– Wyjeżdżam, Kindzu!

Rozdarła mnie ta zapowiedź. Handlarz zawsze mnie zapewniał, że zostanie. „My, kupcy, zawsze się adaptujemy”, tłumaczył. „Wojna, nie wojna, Hindus zawsze tkwi pośrodku”, żartował, naśladując wypowiedzi swych ziomków. Teraz jego decyzja przepełniła mnie bezbrzeżnym lękiem. Tyle znękało mnie nieszczęście: zniknięcie brata, śmierć ojca, obłęd rodziny. Jednak nic mnie tak nie zabolalo jak wyjazd Hindusa. Usiłowałem go nakłonić, by został. Na próżno. Surendra miał w zanadrzu głębokie powody:

– Ty masz przodków, Kindzu. Są tutaj, mieszkają z tobą. Ja ich nie mam; nie wiem, kim byli ani gdzie przebywają. Widzisz, co się teraz stało? I kto mnie przyszedł pocieszyć? Tylko ty, nikt więcej.

Nie chciałem zrozumieć sklepikarza. Albowiem jego słowa mordowały miraż oceanu, który nas jednoczył w przeszłości. Ostatecznie Surendra naprawdę był sam, pozbawiony więzów ze swoimi sąsiadami i korzeni w tym kraju. Poza mną nie miał się z kim żegnać. Jeszcze nalegałem, nagle dziecinny, wyrzucając z siebie myśli, które nawet w mojej piersi nie znajdowały potwierdzenia. Że ten kraj należy także do niego, że znajdzie się w nim miejsce dla wszystkich. Dopiero kiedy zacząłem mówić, poczułem słony smak wody oczu: płakałem, a strach dusił mój głos.

– Jaka ojczyzna, Kindzu? Dla mnie nigdzie nie ma miejsca. Mieć ojczyznę znaczy robić to, co ty teraz robisz: znaczy wiedzieć, że warto jest płakać.

Antoninho, pomocnik, słuchał w niepojęciu. Dla niego byłem zdrajcą rasy, Czarnym, który uchyla się przed afrykańską tradycją. Wszedł między nas ten niedrażlikiaty prowokator, tylko po to aby okazać nam swoje wzgardy. Przechodząc, zarechotał głośno i wszetecznie. W pamięci stanęły mi hieny. Surendra powiedział wówczas:

– Nie lubię Czarnych, Kindzu.

– Jak to? To kogo lubisz? Białych?

– Też nie.

– Już wiem: lubisz Hindusów, lubisz własną rasę.

– Nie. Lubię ludzi, którzy nie mają rasy. Właśnie dlatego lubię ciebie, Kindzu.

Omroczony lękiem, porzuciłem sklep. Byłem teraz odarty i z rodziny, i z przyjaźni. Cóż znaczymy bez rodziny? Mniej niż ziarno pyłu. Bez rodziny, bez przyjaciół: cóż mi pozostało? Jedynym wyjściem było usamotniczyć się na własny rachunek, zanim mnie pchną w ten ogień, który pożerał wszystko dookoła.

Jednak opadły mnie wątpliwości: czy mógłbym uciec z tego przekłętą miejsca? Przypomniałem sobie słowa Surendry: „Zostań, ty nie wiesz, co znaczy snuć się ucieczniczo po obcej ziemi”. Mówił, tak jakby sam został zmuszony do porzucenia swych ojczystych stron. Nigdy nie dowiedziałem się o jego historii niczego pewnego. I już nigdy nie miałem się dowiedzieć.

Rozbity, odszukałem mego dawnego nauczyciela, starego pastora Afonsa. Szkołę spalono, zostały tylko spopielenie ruiny. Udałem się do jego domu położonego nieopodal. Pastor miał dom z drewna i metalu. Przybyłem pełen szacunku – zastałem żałobę. Nauczyciel został zamordowany. To się stało poprzedniej nocy. Obcięli mu ręce i zostawili przywiązane do wielkiego drzewa, pod którym uparcie prowadził swoje lekcje. Jego ręce, zwisające ze smutnej gałęzi, pozostały tam jak ostatnia lekcja, nauka udzielnego prawa śmierci.

Moja rozpacz przerodziła się, rzecz jasna, w pragnienie: przyłączyć się do naparama. Tak, chciałem stać się jednym z wojowników sprawiedliwości. Widziałem już siebie z obnażonym tułowiem, zdobnego w wisioriki, wstążki oraz czary. Otrząsnąłem się z tej myśli tknięty strachem. Rozdawał mi wybór między drogą walki i poszukiwaniem cichego zakątka, w którym panowałby pokój. W istocie było ze mną tak, jak to ujmował nasz wioskowy pieśniarz: „Spokój to dla mnie ślepotą; timaka bielmo na oczach”...

Jakakolwiek miała być moja decyzja, jedno było pewne: musiałem opuścić to miejsce. Ten świat zaczynał mnie już mordować. Kiedy po raz pierwszy zwątpiłem w sprawę, nie mogłem zasnąć. W końcu zasnąłem, a wtedy ukazał mi się mój ojciec i spytał:

– Chcesz opuścić swoją ziemię?

– Ojczy, ja już tutaj dłużej nie wytrzymam. Zamykam oczy i widzę same trupy, widzę śmierć żywych i śmierć nieboszczyków.

– Jeżeli stąd odejdziesz, nigdy nie uwolnisz się od mojego widoku: będę musiał cię prześladować i już zawsze będą cię dręczyć moje zjawy.

– Ale ojczy...

– Nigdy więcej nie nazywaj mnie ojcem, od dzisiaj jestem twoim wrogiem.

Chciałem mu coś jeszcze powiedzieć, ale już opuścił mój sen. Zbudziłem się przepecony, z prześcieradłem na głowie. Byłem przerażony pogroźkami, które rzucił duch mojego ojca.

Wyszedłem rześkim rankiem, lecząc się od razu z nocnych wizji. Udałem się do centrum wioski, w wielki cień canhoeiro. Tam od rana do wieczora przesiadywali starcy. Chciałem wysłuchać ich prastarych mądrości. Powiedziałem im, że chcę odejść, przyłączyć się do wojowników naparama. Nic nie odrzekli. Nadal przeżywali czas, chrzcząc się. W końcu jeden z nich się otworzył:

– Synu, zadanie bando to zabijać. Zadanie żołnierza to nie umrzeć. My dla jednych jesteśmy ziemią, dla drugich dywanem.

– Czy to nie jest kolejny powód, abym dołączył do opancerzonych wojowników?

– Zostaw tę wojnę, synu. Śmierć uczy tylko zabijać.

Wyjaśnili mi, że najpierw powinienem się zająć sprawą mojego ojca, ukoić jego śmierć. Dopóki nie pożegnám go we właściwy sposób, moje życie będzie nierozwikłanym kłębkim. Zgodziłem się. Jak jednak mógłbym przewyciężyć tę wściekłość zmarłego?

– Twój ojciec nie przemawia własnymi ustami, to zmarły, który oszalał. Z powodu tego, co się dzieje w naszym kraju.

Przerzucali się jeszcze mnóstwem słów na temat stanu zdrowia nieboszczyka, ale już przestałem ich słuchać. Nagle odniosłem wrażenie, że ta gromada starców również się zagubiła. Już nie byli mędrkami, lecz zdezorientowanymi dziećmi. Obraz konającego kraju dręczył ich bardziej niż kogokolwiek innego. Każdy zburzony dom przysypywał ruinami ich serca. Ręce nauczyciela krwawiły w piersiach najstarszych. Ta wojna nie przypominała żadnej z wojen, o jakich dotychczas słyszeli. Tego zamętu nie dawało się porównać z niczym, nawet z dawnymi walkami, kiedy porywano niewolników, aby sprzedawać ich na wybrzeżu.

– Ludzie umierają przepełnieni tęsknotą za życiem – rzucił jeden z nich.

Chciałem dołączyć do naparama? Wojownicy, o których marzyłem, z pewnością w rzeczywistości nie istnieją. Starcy posiali niewiarę: tacy wojownicy nie pochodzą z naszej ziemi, nasze moce nie panują nad ich czarami. A zatem lepiej będzie uciec? Ale dokąd? Nie było dokąd uciekać. Wojna rozlała się po całym kraju. Ze wszystkich stron dobiegał odgłos kul, wszędzie rozsiewały się błyskawiczne ziarna zniszczenia. Gdziekolwiek się udam, duch ojca mnie tam odnajdzie.

Słuchałem starców, lecz jeszcze wątpiłem: czy nie został nigdzie choćby najmniejszy zakątek, gdzie mógłbym znaleźć mój prywatny spokój? Miejsce, o którym zapomniała wojna? Tego najstarsi nie wiedzieli. Ich świat kończył się tutaj, cała reszta odległa była ponad niemożliwość.

– Jedynie nganga może ci pomóc. Może on zna jakieś przespokojne miejsce.

Tak, powinienem zasięgnąć rady wróżbity. Tylko on mógł coś wiedzieć o takim zakątku, gdzie moje sny byłyby bezpieczne. Jednak nie mogę mu wspomnieć o naparama. Te sprawy leżały w gestii czarowników z Północy.

Kiedy oddaliłem się od rozłożystego canhoeiro, zmierzchało. Choć robiło się już późno, mimo to zaszedłem po drodze do chaty ngangi.

– Takie miejsce istnieje, jednak cierpi od straszliwej odległości. Tak powiedział czarownik, trzymając dłonie na kolanach. – Problemem nie jest miejsce – stwierdził – lecz droga.

– Droga? – spytałem.

– Zobacz, co się stało z twoim ojcem.

Nie zrozumiałem. Wróżbity gładził swoje wykolanie nogi, jakby czerpał z nich siłę wróżebną. A potem wyznał mi rzeczy niezwykle. Powiedział, że są dwa sposoby odejścia: jeden to ruszyć w drogę, drugi oszaleć. Mój ojciec wybrał obie drogi – jedną nogą tkwił w obłądnie odejścia, drugą w szaleństwie pozostania.

– Dlatego powtarzam ci: nie liczy się cel, tylko droga.

Mówił zatem o podróży, której jedynym celem było pragnienie, aby znowu wyruszyć w drogę. Lecz podróż ta miała zachować szacunek dla jego porady: powinienem ruszyć nad ocean, przemierzyć ostatnią wargę ziemi, gdzie woda budzi pragnienie, a na piasku nie zostają ślady. Mam zabrać z sobą amulet podróżnych i trzymać go w starej łupinie owocu ncuacua. I odszukać rubieże, gdzie ludzie nie ciulają żadnych wspomnień. Aby się uwolnić od śledzącego mnie ojca, nie wolno mi też zostawiać za sobą żadnych śladów. Mój trop będzie jak trop ptaków o zachodzie słońca.

Zastosowałem się do rady starców, porzucając myśl o naparama. Nasz wróżbita czułby się nieszczęśliwy, gdyby nie mógł pogmerać w moich prośbach. Zamilkłem zasłuchany w jego rozwlekłe porady.

– Odłączysz się od twoich przodków. Musisz się teraz przemienić w nowego człowieka.

Stary nganga rzucił magiczne kosteczki na skórę gazeli. Wszystkie ułożyły się karnie w jednym szeregu.

– Widzisz, jak równo leży jedna za drugą? To znaczy, że jesteś człowiekiem podróży. A tu widzę wodę, widzę ocean. Ocean będzie twoim lekarstwem – ciągnął starzec. – Ziemia obłożona jest prawami, nakazami i zakazami. Ocean nie ma pana. Jednak uważaj, synu, nikt nie może mieszkać w oceanie. Nawet twój ojciec, który zawsze po nim żeglował: dom, do którego jego dusza przychodzi odpoczywać, leży na lądzie. Spotkasz kogoś, kto cię zaprosi, abys zamieszkał w oceanie. Strzeż się, synu, w oceanie mieszka tylko ten, kto sam jest oceanem.

Tak brzmiała mowa wróżbity, słowa, których głębi nigdy nie rozszyfrowałem.

I tak, za radą odmętnych orzeczeń, poważylem się na szykowanie czółna, aby w nim zdobywać plaże, z nadzieją że uwolnię się od moich niedoli. Ale najgłębszym moim życzeniem wciąż było stać się naparama, mścicielem krzywd mego ludu. Wspomnienia o Czerwiesiu, pastarze i Surendrze zlewały się w jedną przysięgę: moje ramiona muszą się okryć czerwonym płótnem, moje ciało odbijać będzie kule.

Pożegnałem się z matką, która nie powiedziała nic. Nawet nie uniosła głowy, nawet mnie nie pobłogosławiła.

– Matko, teraz ktoś inny musi zanosić ojcu jedzenie.

Tym kimś będzie ona, wiedziałem o tym. Pochyliła głowę, kryjąc się w sobie, tak jak to miała w zwyczaju. Przemówiła głucho zasklepionym głosem, zmuszając mnie, abym się przybliżył:

– Widziałam go tutaj, chodzi jak pijany za granicą nocy. Nie mów, że dostałeś tej choroby ojca, który mieszka w snach.

Zaprzeczyłem. Nigdy nie zauważyłem, by wychodził ze mnie, aby się śniwłoczyć. Potem matka skinęła na mnie, bym podszedł jeszcze bliżej. Ujęła mnie za rękę i położyła ją sobie na łonie.

– O co chodzi, mamó?

– O to, że mistrzownie jestem w ciąży.

Stara rozmarzonka musiała majaczyć. Jak w tym wieku mogła się rozdziwić? Ale jej głos wspierało przekonanie zdolne mnie zbić z tropu.

– Jestem w ciąży, synu. Ono nie jest z teraz, jest z bardzo dawnych czasów.

– To znaczy z jak dawnych?

– Trzymam to dziecko od lat. Nie chcę, aby rodziło się w takich czasach. Siedzi tak sobie we mnie, dotrzymując towarzystwa sercu.

Pogładziłem jej brzuch, powierzając mojemu ukrytemu brata matczynej opiece. Porzuciłem starą drogę do domu, spojrzałem na cały ten pejzaż, na cierpliwą zieleń. Moje oczy rozmazały te wszystkie obrazy, może po to, aby zachować przeszłość w żeglownych wodach. Kiedy czółno rozwinęło przed sobą drogę, była już noc. Mrok mnie zamykał, wygaszając powoli miejsca, które kiedyś do mnie należały. Nie zdając sobie z tego sprawy,

zaczynałem podróż, która miała zabić pewniki mojego dzieciństwa. Szkolne nauki, rady pastora Afonsa, marzenia Surendry: wszystko to miało rozpuścić się w zwątpieniu. Spojrzałem po sobie, a widząc się lekkim, pozbawionym wszelkich ciężarów, wspomniałem słowa ojca:

– Kto nie ma przyjaciół, podróżuje bez bagażu.

ROZDZIAŁ DRUGI

LITERY SNU

Muidinga zerka znad kartki na starego. Ten ma zamknięte oczy, wygląda, jakby spał. „Do krańca końców czytałem tylko własnym uszom”, myśli Muidinga. „Ale bo i czytam już od trzech nocy, stary ma prawo być zmęczony”, ulega po chwili. Zeszyty Kindzu stały się w ich schronieniu jedynym źródłem zdarzeń. Szukanie drewna na opał, przygotowywanie zapasów znalezionych w walizce, noszenie wody – wszystko to chłopiec robił pośpiesznie. Cały czas chciał poświęcać na nurkowanie w zagadkowych stronach. Chłopiec głowi się samotnie: kim może być autor tych zapisków? Czy mężczyzna w zakrwawionej koszuli, rozciągnięty obok walizki, to może być ten Kindzu? Zaskakuje go głos Tuahira:

– Założę się, że myślisz o tych gównianych zeszytach.

– Skąd wiesz?

– Bo nic innego ostatnio nie robisz. Już mnie to zaczyna nudzić.

Chłopak wiedzie dłonią po zeszytach, jakby macał litery. Jeszcze teraz nie może się nadziwić: rzeczywiście umie czytać? Jakże inne – jeszcze nieznanne – zdolności posiada?

– Tuahirze, nie gniewaj się, że czasem nazywam cię wujkiem...

– Gadaj, czego chcesz?

– Opowiedz mi o moim życiu. Kim byłem, zanim mnie wzięłeś?

– Wujku, wujku, wujku! Tego słowa po prostu nie cierpię...

– Opowiedz mi, proszę.

– Ty nie masz żadnej historii. Zabrałem cię z obozu; żal mi się zrobiło, kiedy zobaczyłem, jak się wypajęczasz, twoje nogi zapomniały już o chodzeniu...

– Znałeś mnie, wiedziałeś, kim jestem?

– Ależ skąd. Nigdy przedtem cię moje oczy nie widziały. A teraz już koniec gadki. Zgaś ognisko.

Chłopiec rezygnuje z dalszych pytań. Dlaczego stary z uporem odmawia wyjawienia jakichkolwiek szczegółów z jego przeszłości? Czy jego niewiedza jest prawdziwa? Już od dawna są razem. Stary poświęca mu wiele cierpliwości z ojcowskim macierzyństwem. Nigdy mu się przy tym nie wymknęła żadna czułość. Rozmowy też są skąpe, nie trwoni się żadnego słowa. Tuahir ponownie się domaga, aby zgasił ogień. „Wewnątrz pojazdu to niebezpieczne”, tłumaczy. Jednak chłopiec się sprzeciwia, boi się mroku. Ogień pomaga zwalczyć strach. Czytanie zapisków zmarłego to pretekst, aby nie stanąć oko w oko z ciemnością. Górę bierze decyzja Tuahira, wkrótce królują mroki. Oddechy śpiących to odgłos, który niepokoi. Jakby pobrzmiwała w nich jakaś inna dusza.

Po jakimś czasie Muidinga budzi się gwałtownie. Jakaś lepka masa ociera się o jego twarz. Może to podbrzusze złośliwej żmii? Strach wyziera przez szpary w powiekach: potwór wylizuje mu twarz. Zlustrowany od góry do dołu pyszczek nabiera strachnych

rozmiarów. To wygląda jak cała planeta, i to pokryta rogami. Słońce jeszcze nie całkiem wynurzyło się zza horyzontu. Tuahir krzyczy w ciemności:

– Przestań się wiercić, mały!

Chłopak czeka w bezruchu. Obraz w zarysach ukazuj e się w końcu jego oczom: to koźlę się pasie na jego twarzy. Koźlaczek przekrzywia głowę, aby wy badać, czy twarz, którą wylizał, jest jadalna, czy nie. Tuahir wstaje z ławki i zbliża się, ostrożnie stawiając stopy. Podchodzi od tyłu i strzela w zwierzę wystawnym kopniakiem. Przez noc niesie się przeciągłe „meeee!”.

– Ulalaaa! A więc to koźlę!

– A ty myślałeś, że co?

– Myślałem, że hiena. To hieny lubią pałaszować ludziom nosy.

Koźlę nie umyka daleko. Wychodzi z autobusu, potrząsa ogonem. Tuahir odpędza zwierzaka. Na próżno.

– Pogonię je, wujku.

– Pogoń. Ale nie wykorzystuj sytuacji do tego, aby mnie znowu nazywać wujkiem.

Muidinga wstaje. Wychodzi z wraku autobusu, podnosi kamień i ciska nim w koźlę. Zwierzę truchta wierzgliwie, kopytkując i posrywając. Ale się nie oddala.

– Zostaw go. Brakuje mu towarzystwa. Mnie też zaczyna brakować tego koźlęcia. Dokładnie rzecz biorąc – w żołądku.

– Zjemy zwierzaka?

Rodzi się powód do kolejnej sprzeczki. Muidinga sprzeciwia się zabiciu czworonoga. Dzięki koźlęciu czuje się, jakby był w wiosce, daleko od tego zatraconego miejsca. W istocie dzieje się rzecz niewiarygodna: zwierzę przywraca mu poczucie przynależności do ludzkiej rodziny. Stary nalega, aby koźlę upiec: niech no tylko minie trochę czasu, a i chłopak zacznie myśleć brzuchem. Jak głód przypieka, bestia wyłazi z człowieka. Muidinga wyciąga z walizki sznur.

– Przywiążę zwierzaka gdzieś tutaj, blisko – oświadczają.

– Nie, blisko nie. Wypuść go gdzieś daleko stąd, bez sznura.

Chłopiec marszczy nos zdecydowany nie usłuchać starego. Nie chce, by zwierzę uciekło. Wyszukuje w okolicy gałąź, na takiej wysokości, aby zrobić węzeł. Nagle się zadziwia: czy to jamboleiro wczoraj tu było? Nie, nie było go. Jak mogłaby ujść jego uwadze obecność tak zanego drzewa? A gdzie palma, która zeszłego wieczoru przydawała wdzięku okolicom machimbombo? Znikła! Jedyne drzewem, jakie pozostało na swoim miejscu, był baobab, o który machimbombo wspierał się maską. Czy można było dać wiarę tym zmianom pejzażu? Muidinga waha się, czy zasięgnąć rady Tuahira. Wyszczrzyłby się pewnie swoim rybim uśmiechem, łypiąc, czy i mały chwyta dowcip. Tak, na pewno zarzuciłby mu kretynizm. Lub jeszcze gorzej: przypomni mu o chorobie, która nie wygna go z życia, ale wygna z dzieciństwa. Dlatego Muidinga woli tę sprawę zostawić.

Żegna się z koźlęciem i krąży wokół owocowego drzewa, które go tak intryguje. Zrywa jedno jambalau i przygląda się czarnemu owocowi. Dzień już wstał, cienie kurczą się na rozgrzanej ziemi. Systematyczne, opasłe słońce po raz kolejny staje się jednym i tym samym. Muidinga wyobraża sobie, jak mogłaby wyglądać wioska, taka z dawnych czasów, pełniutka odcieni. Jakimi barwnościami mieniła się rodzinna miejscowość Kindzu, zanim nadzieje wyblakły od wojny?! Kiedy znów zakwitną kolory, kiedy rozłęcz się ziemia?

I małym patykiem gryzmoli na ziemi, w kurzu, słowo „niebieski”. Patrzy na swoje dzieło, przechylając głowę na bok. A więc potrafi też pisać? Niemal ze strachem zlustrował swoje dłonie. Kto w nim siedzi i z czasem dochodzi do głosu? I czy ten drugi by go lubił? Czy też

by się nazywał Muidinga? A może nosiłby inne imię, jedno z tych, które przyjmują zasymilowani², aby używać ich w dokumentach?

Ponownie przygląda się słowu wypisanemu na drodze. I przeprowadza obok kolejny test, bo nachodzi go jeszcze jedno słowo, nad którym się zbyt długo nie zastanawia: „światło”. Robi krok do tyłu i znów przygląda się swojemu dziełu. Po czym myśli: „Kolor niebieski dobrze się nazywa. Ma te same litery co »światło«, nawet jeśli to jego żeńska odwrotność”³.

Nagle docierają do niego dźwięki odległe w czasie, podobne do okrzyków chłopczyństwa podczas przerwy między lekcjami. Chłopak drży: takie było pierwsze wspomnienie. Nigdy dotąd nie przypominały mu się zdarzenia sprzed choroby. Pędzi na oślep w stronę autobusu.

– Wujku, wujku! Przypomniałem sobie moją szkołę!

Tuahir uśmiecha się grymasznie. Mały uświadamia sobie, że stary niczego nie słyszy pochłonięty nicnierobieniem. Chłopiec potrząsa swoim fałszywym wujkiem i powtarza:

– Przypomniałem sobie, przysięgam!

– Co żeś sobie przypomniał?

– Głosy, harmider innych chłopaków.

– Raz na zawsze wbij sobie coś do głowy: nigdy nie było innych chłopaków, nigdy nie było niczego. Słyszysz? To ja cię pozbierałem do kupy, zaślinionego i poranionego. Wygląda na to, że taki już przyszedłeś na świat. Urodziłeś się dzięki mnie. Nie jestem twoim wujkiem: jestem twoim ojcem.

Pchnięty gwałtownie chłopiec pada na stalową podłogę machimbombo. To dlatego właśnie zabraniał nazywać się wujkiem? To z tego powodu ukrywał przed nim całą jego przeszłość? Chłopiec uśmiecha się słodko i unosi na kolanach. Jego ciało przenika skurcz słabości; pozostaje na czworakach. Stary pochyła się nad nim pośpiesznie, zatroskany:

– Coś ci zrobiłem, mały?

Muidinga tylko kręci przecząco głową. Tuahir dopytuje się dalej:

– No powiedz, źle się czujesz? Wróciła ci choroba?

Chłopiec staje naprzeciwko starego. Wyraz twarzy ma poważny, wygląda, jakby nagle dorósł. I mówi:

– Jeżeli o to właśnie się lękasz, powiem ci tak: nawet gdybyś był moim prawdziwym ojcem, lubiłbym cię tak samo.

Tuahir odskakuje do tyłu, jakby wpadł w potrzask. I zaraz twardnieje:

– Wstawaj, chłopcze! Czemu łazisz po ziemi na czworakach jak koźle?

Obaj odchodzą na swoje miejsca i ogarniają się w milczeniu. Siedzą tak nadąsani, aż zaskakują ich odgłosy dobiegające z buszu. Chłopiec pośpiesznie wstaje. Jest przekonany, że zbliżają się jacyś ludzie. Próbuje puścić się biegiem, poddać się z rękami w górze, nie zważając na to, kto nadchodzi. Jednak Tuahir powstrzymuje go gwałtownym ruchem:

– Nie ruszaj się, mały!

– Dlaczego? Idą tu jacyś ludzie. Zabiorą nas stąd...

Nie kończy zdania. Dłoń starego tratuje mu usta, wymuszając ponure milczenie. A wtedy spomiędzy wysokich traw wyłania się słoń. Zwierzę wlecze się zmęczone własnym ciężarem. W ociągających się nogach tkwi zapowiedź wędrownej śmierci. I rzeczywiście, można dostrzec niewyraźnie, że cała tylna część jego ciała powalana jest krwią. Zwierzę oddala się ociężale. Muidinga czuje śmiertelny skurcz w piersi. Ten słoń zagubiony wśród traw to skrwawiony kraj, konający od długich stuleci w sawannie.

2 W oryginale „*assimilado*”: w czasach kolonialnych określenie rdzennych mieszkańców Mozambiku, angażujących się w ten lub inny sposób w „białe” struktury państwowe, zgodnie z polityką portugalskich władz. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

3 Po portugalsku „światło” to „luz”, a „niebieski” to „azul”, czyli odwrotność pierwszego poprzedzona żeńskim rodzajnikiem „a”.

- Strzelali do niego.
- Kto to zrobił, wujku?
- To ci od wojny. Chcą mieć kły na sprzedaż.

Znowu siedzą w milczeniu. Unosi się smutek, którego nawet podśpiewywanie starego nie jest w stanie rozproszyć.

- Wujku Tuahirze: coś tak sobie myślę. Ale wiem, że będziesz się gniewał.
- Ty w ogóle za dużo myślisz. Szkoda, że cię tak gruntownie wyleczyłem. Odrobina choroby nawet dobrze by ci zrobiła. Mniej byś przynudzał...
- Ale to tylko coś, co sobie wyobraziłem, wujku. Takie moje marzenie...
- Nie myśl o tym, mały. Życie jest takie krótkie, a ty chcesz je jeszcze wypełniać smutkami?
- Nie, wujku. Tylko tak sobie myślę... Nie, lepiej o tym nie mówić.
- Żebyś wiedział. Siedź cicho.

Po chwili milczenia Muidinga zaczyna od nowa. Stary zdążył już powrócić do swego nucenia.

- Powiem. Myślę o tym, że jestem Czerwiesiem.
- Kto to jest Czerwiesio?
- Czerwiesio, ten chłopiec z opowieści, którą przeczytałem, ten z kurnika.
- A, to szkoda, że nim naprawdę nie jesteś. Jakbyś był kurą, już dawno bym cię oskubał i przyrządził w sosie curry.

- Mówię na serio, wujku Tuahirze.
- I zamkniesz się też jak najbardziej na serio. Chłopiec rzeczywiście milczy aż do końca dnia. Już zmierzcha, kiedy wchodzi z powrotem do machimbombo, aby się przyszykować do snu. Znowu dobiegają ich odgłosy słońca. Brzmi to jak odległy chrzęst. Może zwierzę runęło na bezkresną ziemię i zgasło? Mrok wykorzystuje okazję i wślizguje się do kryjówek dwóch wyczekiwaczy.

- Wujku, mogę rozpaść ognisko?
- Rozpał na zewnątrz.
- Chciałbym poczytać, wujku.
- To poczytasz na zewnątrz.

Muidinga szykuje wiązkę suchych patyków i zabiera ją wraz z zapiskami Kindzu. Rozpala ogień na skraju drogi. Potem sadowi się wygodnie, aby rozpocząć lekturę drugiego zeszytu. Nagle rozlega się głos Tuahira: – Chyba nie będziesz tego czytał tylko sobie samemu, co?

DRUGI ZESZYT KINDZU

Grób na dachu świata

Tamtej nocy, kiedy opuściłem wioskę, wziąłem na barki trud podróży. Wędrowałem zawsze wzdłuż wybrzeża, gdzie woda skłania swoje białe piany. Kiedy indziej posuwałem się stałym łądem, ciągnąc moją łódkę na linie. Dawałem w ten sposób wytchnąć temu czółnu, steranemu wielkimi falami. Wyglądało na końcu liny jak osiołek, chybofalący się w napodrzutach wody.

Ledwo wyruszyłem w podróż, a już mnie zaczął prześladować duch starego. Kiedy spojrzałem wstecz, zobaczyłem, że wiosła zostawiają ślady na falach, dwie przerywane linie. Ten trop na wodzie to były znaki chissili, złego spojrzenia, które mnie karało. W ten sposób złamałem przysięgę, że nigdy nie będę zostawiać śladów mojej podróży. Przypomniałem sobie radę ngangi i wyciągnąłem spod ławki zdechłego ptaka. Byłem przygotowany do walki z siłami zaświatów. W oba ślady na wodzie cisnąłem po białym piórze. W jednej chwili z pióra zrodziła się mewa, która, wznosząc się w powietrze, zatarła za sobą kilwater. Lot ptaków, które siałem na wodzie, zamazywał mój trop. Dzięki tym sztuczkom wygrałem pierwszą potyczkę z duchami.

Jednak nie wyobrażałem sobie nawet, ile mnie jeszcze dzieliło od prawdziwego zwycięstwa. Bo im bardziej się północniłem, tym dziwniejsze mi się zdarzały przygody. Nie pamiętam nawet, ile razy wiatr podał żagle. Ich postrzępione skrawki zmieniały się w ryby, które mi krążyły nad głową. Nawet moje wiosła posłużyły jako materiał do czarów. Ich drewno zaczęło zielenieć i puszczać listeczki: wiosła przeistaczały się w drzewa. Cisnąłem je precz do wody, a wtedy poszły na dno, niepomne swych zobowiązań. Dalej wiosłowałem już własnymi rękami, trudząc je tak bardzo, że między palcami wyrosły mi błony. Gdy zanurzałem dłonie w wodzie, czułem, że pokryte są łuskami, nie skórą. Przypomniałem sobie słowa czarownika: w oceanie będziesz oceanem. I rzeczywiście nim byłem: zgodnie z wyrokiem, rybiałem.

Moja prawdziwa historia rozpoczyna się jednak na piaskach Tandissico, gdzie ocean otwiera się jak słowo „niebieski”. A może tam – kto wie? – kolor niebieski jest samą wodą? Tamtego ranka woda, oklaskiwana przez słońce, była w świetnym nastroju. Wyciągnąłem łódź, zwinąłem żagle i rzuciłem kotwicę. Przysiadłem na burcie i uraczyłem się z manierki. Następnie ruszyłem przez wydmy, wodząc oczyma po tych wszystkich bezkresach. I wtedy nagle zobaczyłem, jak z ziemi wynurza się ręka. Wzniosła się w powietrze i, sunąc niezdarnie jak ślepiec, chwyciła mnie w końcu za nogę. Upadłem, krzycząc. Udało mi się oswobodzić. Zerwałem się i zacząłem pędzić przez piachy, aż całkiem opadłem z sił. Przystanąwszy, padłem na kolana, wlewając w siebie całą zawartość manierki.

Pomogło mi, przestałem się burzyć? Nie wiem tego do dziś. Jak mogę zdzierżyć to wspomnienie bez drżenia? Albowiem z piachów zaczęły się wynurzać kolejne ręce, coraz więcej i więcej rąk. Wyglądały jak żerdki wyciosane z mięsa, a ich palce poruszały się rozpaczliwie jak ptaszki proszące o pokarm. Wyznam: w tamtej chwili płakałem jak dziecko.

Trwałem w tym lamencisku, aż doleciała mnie woń czyichś kroków. Podniosłem oczy. On tam stał! Nawet ja nie potrafię przywołać w pamięci obrazu tej postaci. Jej kształty nie układały się w całość, którą by można opisać; na podobieństwo złosprawcy, który wyszedł z piekieł. Zawsze o nich jedynie słyszałem, o tych psipoko, zjawach, które radują się z naszych cierpień. Oto był właśnie jeden z nich, cały z cienia i dymu. Chwycił łopatę i zaczął nią

grobie w najlepsze. Piasek przemieniał się w wodę, aby zaraz rozpełzać się z mokrym sykiem. Nie, nie bredzę: poczułem, że skroplepiły mnie mokre drobiny. Jeszcze chwila i grób był gotowy.

– Włóż!

Skuliłem się, wierząc, że to moje ostatnie męki. Żeby rzecz ująć wprost – szczałem na własne pięty. Ale śmierć to nagła chwila, która bez końca zwleka. Zjawa pochyliła się, mówiąc:

– Wiedz to: ziemia tego świata to dach innego świata, który leży poniżej. I tak dalej, aż do samego środka, gdzie mieszka pierwszy zmarły.

Xipoco zakreślił łopata nad głową, zgiełcząc się we wrzasku:

– Włóż do grobu!

Jako że nie stawilem się na wezwanie, chwycił mnie za ramiona i pchnął. Uciekał się do gwałtów? I w tym właśnie jest zadziwienie: obchodził się ze mną delikatnie, wręcz wzajemniancko, niemal w pasku mnie chwytając do tańca. Aż poczułem, że padam sukubulegle w jego ramiona. I wszędzie wokoło zgasł świat.

Gdy powróciłem z tego koszmaru, była już noc. Obudziłem się pokryty piaskiem; włosy i ziarenka w jednym odczesaniu. Chciałem się stąd tylko wydostać, zniknąć. W którą miałem ruszyć stronę? Nie mogłem już stąpać po piaskach: dłonie koszmaru wciąż strachem mnie nacierały. Nie było czego szukać, nie było co rozdrabniać kierunków. Cóż, światło ślepeca leży w jego dłoniach. Toteż złapałem czółno i na oślep rzuciłem się w drogę, podczas gdy fale były do środka. Spojrzałem w mroczną głębinę nocy, gdzie ocean dotyka stóp Boga. Zostawiłem oczy w tej nieskończoności, tam gdzie być może niebo przysiadło na ziemi i gdzie, jak powiadają, kobiety winny przyklękać do ubijania kukurydzy.

I sunałem tak przez długie dni i nieskończone noce. Własnymi rękami popychałem łódź. Jeżeli zmęczenie jest nagłą starością, ja liczyłem już sobie wiek najsędziwszy. Nie wiem, ile czasu minęło. Więcej pamiętam z nocy. Pamiętam gwiazdy, dalekie sąsiadki, które nigdy nie śpią. Pamiętam księżyc, lśniący jak medal na dekolcie nocy. Patrzyłem na gwiazdy, na ich srebro. I przeklinałem mój los: rogi księżycyca zawsze były zwrócone do góry! Ojciec nauczył mnie czytać z księżycyca.

Te czubki, skierowane do góry, świadczyły o tym, że wciąż ciążyła nade mną niedola. Perkoziłem się w czólnie, naiwdurny wierbożnik. Czy to było sprawiedliwe? Prowadziłem życie w streszczonych powtórkach, owszem, były niecnoty i cenne potknięcia. W jakim życiu ich nie ma? To tak jakby na dzień piekła szukać suchych patyków. Jednak zawsze przestrzegałem zachowań zaleconych mi przez starszyznę. Poświęciłem się losowi syna; byłem czeladnikiem mego przeznaczenia. Łódź, którą płynąłem, została pobłogosławiona podczas stosownych obrzędów i nadałem jej imię ojca: Taimo. Przed pierwszą podróżą uraczyłem wszystkich jedzeniem i trunkiem, ludzie świętowali, tańcząc na łódeczce, tak jak każą tradycje. Dlaczego zatem taki pech usłał moją drogę? W gruncie rzeczy odgadywałem odpowiedź.

– Ojczy, nie karz mnie tak – błagałem.

Znikąd odpowiedzi. Tylko fala następuje za falą, a z każdą falą ocean coraz bardziej się obnaża, ale nigdy nie staje się nagi. Byłem więźniem tej nieskończoności. Woda zawsze niosła mi radość, brykałem w niej jak pasikonik w chaszczach. Teraz jednak trafiały mi się same peszące bezładny. Naszła mnie chęć, aby wrócić, znów karmić mojego nieboszczyka ojca, znormalnieć w wioskowym nicniedzianiu się. Zateśniłem za wieczorami z Surendrą. Tam, w mojej wiosce, gdzie wszystkie dni zawsze były takie same, czas nie istniał. A jednak wciąż żywe pragnienie, aby się stać naparama, kazało mi iść dalej. Otrząsnąłem się z myśli, które zachęcały mnie do rzucenia podróży. Myśli, jak wiadomo, nie rodzą się w ludzkich umysłach. Wykwitają byle gdzie jak bezładne, deliryczne dymy, a potem krążą w poszukiwaniu odpowiedniej głowy.

Podczas jednej z nocy, które później nastąpiły, tak ciemnych, że zgubić można własny nos, miałem – tak to nazwijmy – sen. Ocean przystanął w bezruchu. Fale wypłaszczyły się w oniemiałym wrzasku. Wszędzie panowało ciszydło, jedno z tych, które poprzedzały narodziny świata. I wtedy, nagle i niespodziewanie, z morskich głębin wychynęli topielcy. Wypłynawszy na powierzchnię, zaczęli fiestować z chłupotem. Był między nimi mój ojciec, w wieku bardziej sędziwym, niż kiedy widzieliśmy go po raz ostatni. Zawołał mnie i pozdrowił bez śladu wzruszenia.

– Dobrze zrobiliście, żeście mnie nie pogrzebali. Ta ziemia pełniutka jest trupów.

Oczekiwałem od niego odrobiny ojcowskiego uczucia, choćby wskutek gapiostwa. Ale nawet teraz, gdy wrócił, nie wkładał w to serca. Ograniczał się tylko do chełpiństw na temat swojego nowego miejsca poobytu. Nie był zadowolony z zaświatów, gdzie też nie mógł zaznać spokoju: kości kłóciły się tam nieustannie o miejsce w swoich starych ciałach. W tym zamęcie wszystkie się pomieszały, a potem poukładały nietrafnie, toteż kości jednych znalazły się w ciałach drugich. W rezultacie wykłuły się niespotykane poczwary.

– A ty, synu, po co łazisz po tych dzikich drogach? Nie wiesz, że tych szlaków nie oczyszczono z xicuembo? Czy może w ciężką biedę chcesz popaść?

Próbowałem mu odpowiedzieć, wyznać mój zamiar dołączenia do opancerzonych wojowników, ale mój ojciec już odwrócił się do mnie plecami. Nawet po śmierci, odwiedzając mnie tylko we śnie, ojciec mnie ignorował. Krzyknąłem za nim, tłumacząc się podniesionym głosem: kieruje mną moja wola, i to on mnie nauczył tej woli! Od początku do końca spełniałem jego milczące rozkazy. Jednak mój ojciec, stary, uparty Taimo, zaprzeczył, jakoby były to jego polecenia. Porównał mnie do trupów. Oni mieli cudze kości – ja cudzą duszę.

– Możesz być pewien: to nie moje rozkazy. Ja tylko słucham twoich kroków. Czego właściwie szukasz?

– Pomogę w zakończeniu tej wojny. Uwierz mi, ojczu.

Uśmiechnął się wzgardliwie. Miałem się za spryciarza, a nie potrafiłem odgadnąć, czemu moje życie wygląda jak kupa gówna? To wszystko była kara wymierzona przez niego, mojego prawomocnego ojca. Wszystkie moje niesnaski i potknięcia brały się z tego, że nie uczyniłem zadość tradycji. Ponośm teraz karę z rąk bogów, naszych przodków. Uskarżał się na męczącą śmierć:

– Niepoczyszony ze mnie nieboszczyk. Nikt mi nie poświęca obrzędów. Nikt nie zarznie dla mnie kury, nikt nie ofiaruje mi garstki mączki, ni płótna, ni napojów. Jak mogę ci pomóc, jak uwolnić cię od twoich wszeteczeństw? Opuściłeś dom, porzuciłeś święte drzewo. Odszedłeś, nim żeś się za mnie pomodlił. Teraz ponosisz tego konsekwencje. To ja, niczym szczurzysko, kąsam twój rozum.

– Ale ojczu, przez te wszystkie dni nosiłem ci jedzenie...

– Przez pierwsze wieczory, owszem. Później nigdy więcej nie oglądałem już żadnego jedzenia. Tylko pusty garnek, nic więcej.

– Ktoś zjadał...

– Nikt nie tyka talerza zmarłego.

Stary Taimo się objaśnił: nie zdołam osiągnąć nawet drobnej części mych marzeń, dopóki ciąży nade mną jego cień. To samo dotyczyło naszego kraju, który wziął rozwód z przodkami. Ja i kraj ponosiliśmy tę samą karę. Potem zaczął rzucać pogrózki: skoro tak bardzo pragnę podróży, nadejdzie taki zmierzch, kiedy ukaże mi się mampfana, ptak, który morduje podróże.

– Będzie siedział z rozpostartymi skrzydłami na olbrzymim drzewie – powiedział.

– Proszę cię, ojczu, nie rób tego.

Zaczął się śmiać z mojego lęku. Podniósł ręce, tak chude, że wznosząc się, wyciągnęły do góry całe ciało. Znowu miał się wycofać, kiedy zamarł nagle i, po namyśle, rzucił:

– Kiedy spotkasz mampanę, zawołaj mnie. Może tym razem cię wysłucham. Tylko nie zapomnij przynieść mi dobrej sury. Bez niej nie odprawię żadnego obrzędu.

Oddaliłem od siebie te sprawy, lękodrząc przed jutrem. Nie mogłem pozwolić, by mój sen się przebudził, nie przekazując mi przedtem wiadomości z domu. Spytałem go o moją matkę, o warunki, w jakich ciągnie swoją niedolę. Ojciec uspokoił mnie i wyjaśnił: na początku, kiedy dopiero się uczył, jak być trupem, wydawało się, że stara już od dawna zna się na wdowieństwie. On, który za życia zawsze był kotwiesiem, teraz dochowywał jej wierności. Mój ojciec stał się jej nieboszczykiem-mężem, z przywilejem własnego domu i gotowego jadła. Jednak po jakimś czasie matka go rzuciła: poślubiła żywego.

– Nieprawda. Matka nie wyszła ponownie za mąż.

– Owszem. To było już po tym, jak odszedłeś. Teraz jestem samotnym wdowcem-kawalerem.

To nie zdrada go gnębiła. Ciężył mu los zmarłego pozbawionego towarzystwa. Spytałem go, czemu nie wziął sobie nowej żony. Odparł, że sprawa jest już w toku. Nhamussoro rozesłał już wici za nową żoną, jedną z tych, co mieszkają za granicą życia.

– A zatem masz żywą żonę?

– Mam. Już zachorowała, zgodnie z nakazami tradycji. Jej rodzina ma ją na oku. Teraz należy już do mnie; nie może sypiać z żadnym mężczyzną, ani żywym, ani umarłym. Mógłbyś nawet wyświadczyć mi przysługę i zająć się kontrolą mojej nowej żony.

– Kim jest ta kobieta? Jest z naszej wioski?

– Ta kobieta... ona... Może to zostaw, sam się tą sprawą zajmę.

– Ależ ojcze, pozwól, że ci pomogę, tak bardzo bym chciał!

– A co ty umiesz? Tylko śnić, nic więcej.

– Powiedz, jak się nazywa twoja nowa żona. Powiedz mi to, ojcze.

Wtedy pochylił nisko głowę, jakby się czegoś zawstydził. Kłębził się w nim jakiś zżenuszmacony lęk. W końcu szepnął:

– To kłamstwo, synu. Nie ma żadnej żony.

Po raz pierwszy zrobiło mi się żal ojca. Chciałem go pocieszyć w smutku, dotknąć czule ręką. Ale nagle ocean znów zaczął się ruszać. Wyglądało to tak, jakby zatrzepotała ogromna kapulana. Moja bezradna łódeczka została ciśnięta na nieznaną plażę. Wodny sen miał się zaraz skończyć. Ojciec się wystraszył:

– Muszę wracać!

– Ojcze, zostań jeszcze przez chwilę.

Chciałem go zatrzymać jak najdłużej, napięścić się moim synostwem. Zgodził się odrobinę zapóźnić. Siedliśmy na lśniącym piasku plaży. Chciałem, aby opowiedział mi historie, których nigdy dotąd nie wyjawiał. Jednak on, tak jak to miał w zwyczaju, pozostał niezdecydowany i zamknięty. Aby zabawić czymś ciszę, chwyciłem patyk i zacząłem nim kreślić w piachu. Cały był positawiony krabimi domkami.

Co jakiś czas krabiki wyglądały na zewnątrz, wysuwając swoje telesferyczne oczka. Jednak mój sen coraz bardziej mnie usypiał. To była jedna z tych głębi, na które pozwala tylko dzieciństwo.

– Masz się dobrze, ojcze, prawda?

– Tak. Śmierć dobrze mi zrobiła.

Poprosiłem, aby pozwolił mi oprzeć się na jego piersi, tak jak zawsze tego pragnąłem w przeszłości. Nic nie odpowiedział. W porównaniu z moimi wspomnieniami z tamtych czasów wydawał się sterany niezmiernym wiekiem. Kiedy tak czekałem na jego przychylność, mój głos dziecięnił:

– Ojcze, ziemia się nie starzeje. Dlaczego?

– Dlatego, że pracuje na leżąco. Kiedy czuje zmęczenie, już i tak leży na swojej słomiance ukojona w senności. Wiele się nauczyłem o ziemi. I ty też powinienes się tego nauczyć.

To była rozwodniona rozmowa, niezasługująca na konkretny temat. Pragnąłem jedynie pomieszkać chwilę w tym spokoju, odwlec ojca od jego pośpiechów. Posłałem w mgłę jeszcze jedną chmurkę:

– Ojczy, opowiedz mi, jak dawałeś kozłatom pić surę...

Wybuchnął zdrowym śmiechem, przypominając sobie gniew mojej matki, kiedy zobaczyła, że daje zwierzętom alkohol. Nikt nie rozumiał, dlaczego to robi.

– Po co to było?

– Po to, żeby zwierzaki nie cierpiały z tęsknoty za pastwiskiem. Biedactwa były takie wyszczerzałe, nawet rogi im wychudły. Z ich pijaństwa płynęła podwójna korzyść: po pierwsze, nie cierpiały, po drugie, miały od razu wymacerowane mięsko. A teraz zazdroszczę tym nabzdąkanym kozłatom...

Roześmieliśmy się obaj, przypominając sobie pijacki chód kozłat, dla których cztery nogi to było wtedy najwyraźniej za mało. Ten śmiech wzniosł mnie do nieba. A więc ojciec przystał na grę w upuszczanie ze mnie strachu? Stary Taimo dawał mi w końcu pokój? Pomyłka. Bo nagle mój sen znów obrócił się w koszmar. Ojciec przerwał śmiech, a jego słowa zgorzkniały:

– Zmyśliłeś mnie w swoim kłamliwym śnie. Zasłużyłeś na karę: nigdy więcej nie będziesz w stanie śnić, chyba że ja sam ci na to pozwolę.

Po czym Taimo znikł. Moje wizje powoli pustoszały, a ja zacząłem budzić się ze snu zmęczony – kto wie, może tym, że nie umarłem.

ROZDZIAŁ TRZECI

GORZKI SMAK MAOUELI

Muidinga budzi się z pierwszym brzaskiem. Jeszcze w nocy jego sen omal się nie ocknął przed nim samym. Zapiski Kindzu zaczynają panować nad jego wyobraźnią. O świcie zdawało mu się nawet, że słyszy pijane kozłeta Taimo. I uśmiecha się na to wspomnienie. Stary wciąż chrapie. Chłopiec wychodzi z machimbombo i się przeciąga. Mgła jest tak gęsta, że ledwo cokolwiek widać. Sznur kozłęcia nadal przywiązany jest do gałęzi drzewa. Muidinga pociąga za niego, chcąc zobaczyć samo zwierzę. Nagle czuje, że sznur zwisa luźno. Kozłę uciekło? Lecz jeśli tak było, skąd się wzięły czerwone ślady na postronku?

– Wujku, wujku! Ktoś zjadł kozłę!

Stary wyłazi bezładnie z machimbombo, stopykając się na schodkach. Najpierw staje zdezorientowany, przeżuważając mgły. Potem zaczyna młócić rękoma furie, łapać się za głowę niczym wściekły dziobacz.

– Kto ci kazał tutaj przywiązywać to zasrane kozłę!

Wrzeszczy z bezbrzeżnej żądzy roztrzaskania świata na kawałki. Chwyta koniec sznura i potrząsa nim chłopcu przed nosem. Muidingę zadziwiają te wściekłości. Czemu stary tak wrzastkliwie rozpacza?

– To musiała być hiena, wujku...

Stary chwyta szorstko głowę chłopaka i gwałtownie naciera go sznurem po twarzy.

– Patrz na ten sznur, diabłoświnio! Patrz!

Biedny chłopiec nie ma na to najmniejszej ochoty. Dłoń starego obcęguje mu szyję, gnąc jego kruche ciało nad czeluściami piekieł.

– Puść mnie, wujku! – Wydaje z siebie to błaganie, kiedy już jest na kolanach.

– Patrz! – krzyczy Tuahir. – Ktoś przeciął sznur nożem!

Muidingę przechodzą szpilciarki. Kto mógł się tu zjawić z tak ciętymi zamiarami? Teraz rozumie wściekłość starego. Uwiązane kozłę tylko przyciągało wzrok przechodniów.

– Ale nas nie znaleźli, wujku...

– Nie odzywaj się do mnie.

Gniekwachy nie mijają Tuahirowi aż do końca dnia. Noc upływa im przy otwartych, czujnych oczach. Czy zabójca kozłęcia powróci? Chłopiec wypytuje sam siebie: kim mogli być nocni brzytwastnicy? Matsanga? Naparama? Zwykle głodomory? Ktokolwiek to był, tej nocy już nie wrócił. O świcie Muidinga przypełza do starego i przeprasza:

– Nigdy więcej nie zrobię niczego wbrew twojej woli.

Tuahir jest już nieco zmiękczonej, wzdycha z ulgą.

– Uratowało nas to, że machimbombo jest spalone – stwierdza. I dodaje: – Ci, którzy tu byli, już nie wrócą. Możemy odetchnąć...

Znowu wszystko opada obojętna nuda. Dla zabicia czasu wyciągają ławkę z autobusu i stawiają na środku drogi. Siadają na niej w pełnym słońcu, zastygając pełniej niż jaszczurki.

Muidinga zauważa, że otaczający ich pejzaż zmienia swoje rysy. Ziemia nadal jest sucha, jednak na rzadkich źdźbłach dają się zauważyć resztki nocnej mgły. Dla Muidingi te kropelki są niemal zapowiedzią nadchodzących prawd. Było tak, jakby ziemia czekała na wioski i ich mieszkańców, aby dać schronienie temu, co przyszło i szczęśliwe. Jednak dziki busz nie ofiarowuje pożywienia komuś, kto nie zna jego tajemnic. I głód zaczyna podszczypywać żołądki tej pary. W brzuchu Muidinga burczy. Stary go dręczy:

– Głodny jesteś, mały, co? A kto ci kazał litować się nad kozłębem?

Chłopiec jest przybity, wygląda tak, jakby wróciła mu choroba. Jest teraz niemal pokrewny drodze: zastygły i zakurzony. Starego Tuahira irytuje marazm młodzieńca.

– No i co, znowu żeś języka w gębie zapomniał? To z głodu. Wiesz, co powinienesz zrobić? Mocno przełknąć ślinę. Dalej, przełknij ślinę, będzie ci się zdawało, że łykasz jedzenie. Oszukasz w ten sposób głód.

Stary demonstruje osobiście swoje zalecenie. Muidinga nie reaguje. Tuahira nagle intryguje twarz chłopca i przygląda się jej, tak jakby to było matowe lustro jego wnętrza. Podnosi się – on i jego głos – i działają teraz razem w jednej furii:

– Nie skończyłeś jeszcze z tą manią szukania swoich rodziców? Zabraniam ci! Słyszałeś? Nie chcę nawet widzieć, że o tym myślisz. Nigdy więcej.

Widać, że powstrzymuje się, aby nie kopnąć chłopca, sypią się z niego iskry agresji, jakby miał w oczach zęby. Łamie gałęzie krzewu i dźga ławkę, na której cały czas siedzi chłopiec.

– Słuchaj, co ci powiem: twoi rodzice zmarli. Tak, zginęli od kul bandytów. Właśnie dlatego cały czas ci powtarzam: zostaw te zaszranie myśli.

Odwraca się do chłopca plecami. Muidinga wydaje się zobojętniały, jego dusza zarysowana jest w skostniałym pionie. Wygląda, jakby już wiedział, jakby to nie była dla niego żadna nowina. A możliwe też, że wcale nie wierzy w te rewelacje. Został tam, znieruchomiały, przez resztę poranka. Jest już prawie południe, kiedy Tuahir nim potrząsa, oznajmiając, że muszą spenetrować okolicę. Trzeba pilnie poszukać jedzenia, znaleźć więcej wody.

– Idziesz czy nie?

Chłopak wstaje w milczeniu. Ruszają w drogę. Muidinga, nadąsany, idzie z tyłu. To jego pierwsza wędrówka po buszu. Po niej miały nastąpić kolejne. Podczas żadnej z tych wypraw nie oddalali się zbyt od autobusu. Za tym pierwszym razem błąkają się długo wśród traw. Muidinga boi się, że nie będą w stanie wrócić. A jeśli stary się zgubi i już nigdy nie znajda machimbombo?

– Jaki masz problem, Muidingo?

– Myślę sobie, że jak się zgubimy, to...

– Jeżeli nigdy nie wrócimy na drogę, to nic nie stracimy.

To była prawda: jakie zalety krył w sobie autobus, teraz, kiedy kończyły się zapasy jedzenia? Jednak gdyby mieli nie wrócić, dla Muidingi byłoby to olbrzymią przykrością. Dziwi się: co go trzyma przy tym wraku na drodze? Aż przychodzi oczywista odpowiedź: to zeszyty Kindzu, historie, które czytał co noc. I nagle zaczyna tęsknić za kolejnymi linijkami, których jest równie dużo jak kroków, jakimi przecina teraz żmudnie chaszczce.

O zmierzchu docierają w końcu na tereny starej machamby. Wszystko zostało porzucone, uprawy pograżyły się w brunatnej zatracie. Ziemia cała się obnażyła, daremnie czekając na pocałunek pługa. Ten widok jeszcze bardziej ich wygłodził, aż zaczęło im się odbijać własnym postem. Tuahir przysiadła na polance, na skraju starej machamby. Zbiera wokół siebie resztki wyschniętego manioku. To jedyna uprawa, która przetrwała, jedyna, która oparła się suszy. Otrząsa korzenie z ziemi i spostrzega na łupinie ślady zębów.

– Kurwa! Szczury nas ubiegły.

Kiedy Muidinga szykuje się już do jedzenia, Tuahir krzyczy:

– Nie jedz tego!

Stary zbiera pośpiesznie resztki manioku i ciska je w krzaki. Drepcze dookoła, żeby ukoić nerwy. Potem siada obok chłopca i mówi:

– Coś ci powiem, mały. To właśnie przez taki maniok zachorowałeś.

– Opowiedz mi o wszystkim, Tuahirze. Opowiedz mi o tym, jak mnie znalazłeś.

W końcu stary się zgadza. Omiata ręką ziemię w miejscu, w którym zamierza usiąść, gotowy na to, aby dłużej tu zabawić. I opowiada: przebywał w obozie dla uchodźców, gdzie trafił ze swojej dalekiej wioski. Pewnej nocy poproszono go, aby pomógł pogrzebać sześcioro świeżo zmarłych dzieci. Ciała leżały w szopie pod starym brezentem. Nikt nie wiedział, kim te dzieci były, skąd przyszły ani z czyich pochodziły rodzin. Były nagie; ich ubrania rozkradziono, gdy tylko dzieci straciły siłę, aby się bronić. Tuahir pomógł zawlec zwłoki do dołu. Kiedy ciągnął ciała za zimne nogi, nie mógł się nadziwić, jak znikomy był to ciężar. Patrzył na rozkołysane ramiona jak na gałęzie kościste, szkieleciste, kiedy nagle spostrzegł zdumiony, że palce jednego z dzieci wpijają się w ziemię. Nie ulegało wątpliwości: te palce czepiały się życia, walcząc z otchłanią. To dziecko wciąż oddychało. Było najbledsze i najchudsze ze wszystkich.

– Stójcie, ten mały jeszcze żyje!

Pozostali grabarze patrzą po sobie z powątpiewaniem. I znowu zaczynają wlec ciała do dołu: jeden żywy nic nie zmienia. Tuahir błaga ich, aby się wstrzymali, tamci są niewzruszeni. Tutaj grzebie się konających, którzy zaczęli już podróż bez powrotu. Stary odchodzi na bok, nie ma odwagi, aby pogrzebać żywego człowieka. Chłopiec był już prawie całkowicie pokryty piachem, którym zasypywano dół, kiedy stary się ocknął:

– Zostawcie go: to mój bratanek...

– I zajmiesz się nim?

– Tak, zajmę się nim.

I tak się stało. Na początku malec wydawał z siebie dziwne kwilenia. Mijał dzień po dniu, a on nie dostawał niczego prócz wody. Przez cały czas był skulony, obolały od stóp do głów, i wymiotował. Przestał się ruszać i czuł już na zębach smak końca. Tuahir prosił go, aby wstał, choćby tylko na chwilę, i spróbował utrzymać się na nogach. Z jego pomocą konające dziecko zaczęło wstawać. Stary rozkazywał:

– Spójrz na ziemię!

Muidinga spoglądał na ziemię, ale niczego nie widział. Zawroty głowy zaburzały chłopcu wzrok. Co stary mu pokazywał?

– Nie widzisz, że straciłeś swój cień?

To była prawda. Choćby nie wiem jak się pochylał, chłopiec nie rzucał żadnego cienia. Wyglądało na to, że jego ciało pogrążone jest w wiecznym południu. Ten omen sprawił, że mały zaczął drzeć. A stary myślał: „Jeszcze mu się nie polepszyło”. Mimo to jednak nie rezygnował. W tamtym czasie chłopiec był w stanie zapanować nad niektórymi słowami. Dobywał z siebie zdyszany głos:

– Ale co... co mi jest?

– Ta choroba nazywa się mantakassa. Zjadłeś kwaśny maniok, jedną z tych gorzkich odmian, z której podczas fermentacji wytrąca się trucizna zwana maquelą.

– A, maniok... wiem...

Stary zdawał sobie sprawę z tego, co miało nastąpić. Jednak chłopiec nie wiedział zupełnie, co go czeka.

– Gdzie są twoi rodzice?

– Moi rodzice?

Chłopiec był oszołopały i mówienie przychodziło mu coraz trudniej. Tuahir, widząc, że dziecko tak rzędnie, poczuł, jak serce wypływa mu z głowy. Ujął Muidingę za rękę i obiecał mu:

– Nie zostawię cię. Nie bój się, zajmę się tobą.

Tuahir dotrzymał słowa. Boleść dalej obrabiała chłopca. Jego ciało opróżniało się z wszelkiej treści. Zanikały w nim ludzkie zdolności. Już prawie nie potrafił mówić ani chodzić, ani się śmiać. Ostatnie pytanie zadał tej nocy, kiedy Tuahir, śledzący jego cierpienie, uрониł łzę.

– Płaczesz nade mną?

Stary nie odpowiedział, ale zaprzeczył wzruszeniem ramion. Chłopiec przestał mu się już jawić jako człowiek. Tylko bardzo mgliście przypominał dziecko. Jego mowa drętwiała, a ciało dziczało.

– Jeżeli wiedziałeś o manioku, to po co żeś go jadł, mały?

Stary zadał to pytanie, ale znał już odpowiedź. Głód przycisnął zbyt mocno. Śmierć, nie śmierć – ważniejsze było, aby zobaczyć jeszcze jeden słoneczny poranek. Muidinga nic nie odpowiedział. Poprosił tylko Tuahira, aby siadł obok niego. Tracił już siły. Z ust skapywały mu ostatnie słowa, jeszcze chwila i nie będzie w stanie wyrazić jakiegokolwiek myśli. Stary udzielił mu w sekrecie pewnej rady: kiedy już mały umrze, niech wybiera tylko drobne ścieżynki, aby trafić do nieba. Wielkie drogi nigdy go tam nie zawiodą. Ma szukać właśnie wąskich drózek, przesmyczków między chmurami, którymi jak dotąd stąpało niewiele ludzkich stóp. Później zamilkł. Dusił mu duszę ciężar smutku. Utrata tego chłopca, mimo że był mu nieznany, oznaczała dla niego połączenie wszystkich odmian bólu naraz.

– Ugnij nogi, szybko. Nie możesz umrzeć z wyciągniętymi nogami.

I stary pomógł dziecku zgiąć nogi. Zaczął czekać na nadejście śmierci. Minął jakiś czas, a chłopiec nie zmienił się w istotę skończoną. I przeszedł na drugą stronę oczekiwania. Nazajutrz Muidinga przebudził się już wzmocniony. Był dzieckiem, które się rodzi, niemal zdrowym. Stary się cieszył: własnych dzieci już prawie nie pamiętał. Tęsknił za rolą ojca. To było jak powrót do czasów młodości.

– Będziesz się nazywał Muidinga – postanowił.

Było to imię jego najstarszego syna, który odszedł i znikł gdzieś w kopalniach Randu⁴.

4 Rand – popularne określenie Republiki Południowej Afryki (od jednostki monetarnej tego kraju).

TRZECI ZESZYT KINDZU

Matimati, kraina wody

Kiedy dotarłem nad zatokę Matimati, straciłem już rachubę świtów. Osada leżała w ramionach wody, wydawało się, że była tam, jeszcze zanim pojawił się ocean. Ujrzałem wówczas rzeczy dla tego świata niezwykłe. Bezmierna ciżba ludzka gromadziła się na plaży, jakby to były szczątki wyrzucane przez fale. Prawda była inna: przybyli z głębi lądu, z ziem, na których swoje królestwo ogłosili mordercy. W miarę jak uciekali stamtąd biedni ludzie, również i bandyci nadciągali ich śladem, niczym hieny, które ścigają konające gazy. A teraz ci wysiedleńcy koczowali tutaj, bez ziemi, która mogłaby im dać choć minimum pożywienia. Musieli tu już być od wielu dni, zważywszy na niezliczone tobołki i ogniska, rozsiane wokół nich w rozwlekłym bezładzie. Kiedy tylko zobaczyli, jak przybijam do brzegu, otoczył mnie wielobarwny tłum. Wytłumaczyłem się w skrócie. Wtedy mnie przestrzegli:

– Lepiej będzie, jak stąd znikniesz.

Nawet nie obrzuciłem łodzi na stałym lądzie. Powinienem wrócić na wodę: tak mi doradzał ogół ludzi. Albowiem miały tam miejsce straszliwe zdarzenia. Strach i zagrożenie nadciągały z wszystkich stron. Nikomu nie można było ufać. Ludzie władzy nie będą mnie o nic pytać. Zostanę przez nich błyskawicznie schwytany i uwięziony.

Usiadłem, zastanawiając się nad przyczyną tak wielkich zagrożeń. To, co mi powiedziano, wywołało we mnie przemożną chęć dowiedzenia się czegoś więcej. Wezwali byłego sekretarza administratora, aby przedstawił prawomocną wersję zdarzeń. Mężczyzna pojawił się niesiony na rękach przez licznych ochotników. Jego nogi były bardziej bezradne niż trzcina podczas wichury. Pomogli mu usiąść. Otrzeptał dłonie i się przedstawił:

– Jestem Assane.

Dopiero świtało i ledwo dostrzegałem rysy tego mężczyzny. Przytaczam teraz jego zeznanie, zachowując wiernie oficjalny tryb całej przemowy: Przed kilkoma dniami miała miejsce burza, wściekła i nieplanowana, której rezultatem było omdlenie księżycy wraz z inauguracją totalnych ciemności w ogólnym zarysie.

Dokładnie tego dnia czekano na okręt wiozący datki dla prowincji. Jednak nieszczęsny okręt roztrzaskał się wskutek nagłego spotkania z nowo narodzonymi skałami i cała załoga znikła za pośrednictwem gigantycznych fal działających w nieograniczonym czasie.

Władze niezwłocznie zainicjowały ofensywę polityczno-ideologicznej weryfikacji, eliminując obecność klasowego wroga. Wniosek odpowiedzialnego za bezpieczeństwo: skał tych nigdy nie widziano przed wzmiankowaną nocą. Odpowiednie struktury rządowe nabrały podejrzeń, iż wypadek miał źródła tubylcze, miejscowa ludność bowiem już wcześniej odznaczała się zachowaniem niezwykle dwuznacznym. Administrator zwołał w miarę publiczne zebranie i ogłosił:

– W ramach wzmiankowanego wyżej kontekstu, kierując się priorytetami wytyczonymi przez naród, jesteśmy na tropie działań wroga ludu.

Rzeczywiście, były powody do nieufności. Nawet Assane przyłączał się do rządowych podejrzeń. Czy skały w takiej ilości i o takich rozmiarach mogą się rodzić w ułamku sekundy? Najpoważniejsze jednak były zdarzenia, które nastąpiły już po wypadku. Bo nagle setki osób zaczęły wskakiwać na wszelkiego rodzaju łodzie, od małych po minimalne, aby rabować nieodżeglowany okręt z rzeczonych datków, przeznaczonych dla ofiar żywiołowych

klęsk. Przedstawiciele władz próbowali jeszcze zatrzymać łódki, jednak, jak słusznie zauważył administrator, powszechnie znane są obsesje ludzi żyjących dniem dzisiejszym i niewiele pojmujących ze świata przyszłości. Były sekretarz Assane, nieustannie otrzępujący sobie dłonie, wspominał, jak administrator niemal popłakał się podczas przemowy:

– Czasem niemalże mam ochotę, aby z was zrezygnować, masy ludowe. Myślę sobie: nie warto. Bo to tak jak prosić drzewo nerkowca, aby nie wyginało swych gałęzi. Ale nam przypadł w udziale los dywanu: Historia musi wycierać sobie nogi o nasze plecy!

Jednak prawdziwa tragedia rozegrała się podczas powrotu owych łódek, które płynęły, teraz już potężnie obładowane najróżniejszymi ubraniami, narzędziami i pożywieniem. Nieznana jest tego dokładna przyczyna, jednak w mgnieniu oka wszystkie łódeczki pogrzały się w morskich głębinach i do dziś nie ma po nich śladu.

Od tamtego czasu sytuacja już tylko się pogarszała, bo, jak to ujął sekretarz administratora, w obliczu głodu lud nie przejawia zachowań obywatelskich. Mnóstwo ludzi upierało się teraz, aby znowu płynąć do wraku okrętu, ponieważ zostało na nim jedzenie, które mogłoby uratować dzieci, matki i afryklicznych krewnych.

Z tego właśnie powodu na wszystkich plażach słychać było odgłosy bębnow i obskuranckich modłów, podczas których błagano przodków, aby roztrzaskały się kolejne okręty, tak by ich ładunek rozpełzł się po wodzie i wylądował w rękach wygłodniałych ludzi. Ci z rządu wydali surowe rozporządzenia. Pozyskiwanie dóbr z okrętu winno odbywać się w sposób zorganizowany. Tłumaczyli, że zmierzają jedynie do tego, by wszelkie pozostałości docierały do celu w sposób uporządkowany i z poszanowaniem panujących hierarchii, przechodząc najpierw przez kompetentne struktury.

Potem przyszły przedziwne wytyczne: zakazano tańców i towarzyszących im obrzędów. Natychmiast rozpoczęły się szemrania: to oficjele nie chcą dopuścić do pomyślnych katastrof morskich. Wszyscy wodzowie byli oskarżani. Mówiło się, że ludzie na kierowniczych stanowiskach chcieli mieć pierwszeństwo, a nawet wyłączność na korzystanie z przechwyconych datków. Jeszcze większa nawet podniosła się wrzawa: twierdzono, że wodzowie na tych towarach zbijają fortuny.

– Tego typu pogłoski winny być natychmiast dementowane. Wydam w wiadomym celu rozważne i priorytetowe zarządzenia. Jeżeli będzie miał miejsce udowodniony przypadek korupcji, zostaną podjęte surowe środki.

Tak brzmiały obiecujące pogrożki administratora pod koniec zebrania. Następnie, aby wzbudzić kurzu bez dotykania piachu, administrator natarł na sekretarza, oskarżając go o nadużycia i wypaczenia. Assane został aresztowany i tysiąc mord zmieszało go z błotem. W więzieniu bito go i chłostano kijem po plecach, aż jego nogi postanowiły umknąć nadmiernemu cierpieniu. Stracił czucie od pasa w dół. Assane przesunął dłońmi po bezrobotnych udach. Dopiero kilka dni temu wypuszczono go z więzienia. Jeszcze nie bardzo umiał czołgać się po ziemi wyłącznie za pomocą rąk. Dlatego wciąż je otrzępywał, czyszcząc z ziemi dłonie, którymi w przeszłości wertował nieustannie dokumenty.

– Takich tu doświadczyliśmy cierpień – zakończył dawny sekretarz.

Inni zgromadzeni pokiwali twierdząco głowami. Obym nigdy tu nie przybył, obym opuścił to miejsce przed nadejściem kolejnych zdarzeń. Bo przewidywano, że około południa administrator przybędzie osobiście, aby usunąć ludzi z plaży siłą. Dlatego powinienem zwodować czółno i nigdy tu nie wracać.

– Czy mogę o coś spytać? Czy w Matimati żyją wojownicy zwani naparama?

Assane odparł, że tak, ale bardziej w głębi lądu. W Matimati słyszano jedynie o ich czynach, ich męstwie. Jednak ani on, ani nikt inny nie dał mi sposobności do dalszej rozmowy. Podsumowali swoje rady: powinienem ruszyć w drogę, zanim tamci zwąchają, że przybył tu jeden z oceanu. Zostałbym schwytany, tak samo jak wcześniej Assane – niczym kozioł, który pozwoli mnożyć kolejne oskarżenia; obcy agitator, którego brakowało, by

potwierdzić wersję władz. Zaopatrzyli mnie w wiosła, wodę i pokarm, żebym mógł kontynuować podróż.

Jednak zanim ruszyłem w drogę, piłem i tańczyłem podczas obrzędu duchów. W miarę moich możliwości pomogłem przodkom zatopić więcej okrętów. W ten sposób dałem tym biednym ludziom kolejną nadzieję. Wypiłem jednak zdecydowanie za dużo. No i o świcie moje ciało nie było moim ciałem. Musieli mnie zanieść na rękach, wsadzić do czółna i zepchnąć na wodę. Wciąż pamiętam, jak moczę sobie głowę wodą, aby cokolwiek dostrzec, i jak przez pewien czas wiosłuję. Aż zapadłem w sen pełen snów. Dziwne było to, że mój ojciec nie pojawił się w żadnym z nich. Gdzie on mógł być?

Zbudziłem się w środku nocy. Ciemności nie zaczęły jeszcze blednąć. Czółno falowało rozespiane wśród nieznanymi wód. W piersi dudniło mi pośpiesznie. Coś mnie wzywało, a ja nie wiedziałem nawet, czy ten głos bierze się ze mnie czy spoza mnie. Pogrążyłem oczy w ciemności, rzucając wzrok w jak najdalszą dal. I wtedy zobaczyłem ogień. Tam, na pełnym oceanie, migotał jakiś płomień. Z początku nie wierzyłem własnym oczom. Jak na środku wody mógł zapłonąć ogień? Później jednak przekonałem się, że moje oczy nie kłamią. Niemal słyszałem głuchą mowę płomieni. I słyszałem ich słodkie trzaski, przypominające te małe ogniska, które pasterze rozpalają w sawannie.

Zawahałem się, nie wiedząc, czy powinienem płynąć światełku na spotkanie. Czy to nie kolejna zjawka z moich dawnych koszmarów? Jednak czółno zaczęło płynąć samo. Pruło zygzakami, torując sobie drogę przez fale. Ogarnął mnie strach: oddalałem się błyskawicznie od brzegu.

Wtedy właśnie rozerwały się niebiosy i chmury, pozbawione podpory, runęły na ziemię. Nad moim czółnem iskrzyły się błyskawice i lunął deszcz, który zatopił cały krajobraz. Woda spadała w kaskadach, ziemia zaczęła przypominać owoc w wilgotnych ustach nieba. Moje czółno było jak trumienka dryfująca w pogrzebowym rytmie. Nagle do mojego czółna wpadł tchóci, jeden z tych karłów, które spadają z nieba. Czółno rozchwiało się od uderzenia i omal nie wypadłem za burtę. Spojrzałem na karła i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Mój ojciec zawsze opowiadał mi historie o tych ludzikach, które co jakiś gdzieś przychodzą do nas z nieskończoności.

Pewnego razu jeden z nich spadł na niego w samym środku buszu. Niespodziewany karzełek celował prosto w jego osobę – i trafił; prawie połamał go na kawałki. Nigdy nie dowierzałem wydurmyśleniom starego. Teraz jednak na moim czółnie pasażerował jeden z tych desantowców.

- Przyszedłem po rzeczy – oznajmił karzełek.
- Jakie rzeczy? – spytałem.
- Nie wiesz? Rozbił się okręt pełen datków.

Pokurcz powtórzył mi z błyskiem w oczach wiadomość, którą już słyszałem: jakiś olbrzymi okręt osiadł na mieliźnie, całkiem niedaleko stąd. Czekaj tam, z ładowniami do dyspozycji każdego, kto się tylko zjawi. Było na nim wszystko: jedzenie, ubrania, pochodnie, nafta i lampy naftowe. Nie przyłączyłem się do jego entuzjazmu, a on odgadł moje wątpliwości.

– W niebie także mamy braki, nie myśl sobie. Właśnie dlatego schodzę na dół. Muszę znaleźć tu jakieś ubrania...

Przedstawiłem moje racje: ten ocean jest niebezpieczny, pełen niedowidzeń. Już raz zgubiłem wiosła, nie chciałbym ryzykować kolejnego razu.

- Kto za dużo brykał, nie lubi ryzyka – wyjaśniłem.
- A po co ci wiosła? Nie widzisz, że łódka płynie sama, z własnej woli?

Chcąc nie chcąc, zgodziłem się. Jednak to ja zgłębiłem naukę odmetów. A do moich uszu docierały już ryki oceanu, wody wirkującej tuż obok nas. Gdzieś tam musiały wyzierać z toni wielkie niebezpieczne skały.

– Kiedy dotrzemy do celu, skały znikną, skryją się ponownie na dnie oceanu – zapewnił tchóti.

Sam nie wiem, czemu uwierzyłem w jego bajduły. Chyba nie umiałem się już zdobyć na sprzeciw. Tchóti stanął wyprostowany na dziobie. Był tak niski, że zawsze wyglądał, jakby siedział. Wypatrywał drogi jak przywódca nocy. Łódź spełniała jego polecenia: w lewo, poczekaj, zwolnij, ostrożnie.

W końcu ukazał się okręt przypominający czarną górę, wyspę pełną wież i żelastwa. Fale lamowały kadłub białymi koronkami piany. Podniecony karzeł krzyczał:

– Widzisz, Kindzu? Oto i nasze bogactwo!

Weszliśmy na pokład i zaczęliśmy przemierzać wymarłe korytarze. Samotny, opustoszały okręt to rzecz nie z tego świata. Słysząc było głosy, rozkazy, jęki. Dobywały się zza ścian, spod pokładu, z sufitów. Wrzasnąłem do tchóti, aby mi wyjaśnił, skąd się biorą te głosy, ale ocean zagłuszył moje słowa. Sunąłem w ślad za karłem, który szedł bez wahania, jakby znał wszystkie tajemnice okrętu. Ruszyliśmy w stronę ładowni, lustrując mroczny, stęchły brzuch potwora. I wszystko okazało się prawdą! Na dole, w głębi, piętrzyły się paki i skrzynie. Wiele z nich było już rozerwanych. Część ładunku została rozgrabiona, ale zostało więcej niż dosyć. Karzeł, pokrzykując, wskoczył na schody wiodące do ładowni. Doradziłem mu ostrożność, bo mroki panowały tam gęste. Zaraz jednak znikł mi z oczu i pozostałem sam, mając nad sobą tylko niebo, a wokół siebie tylko ocean.

Stałem tam, wypełniając przeznaczenie, którego nie wybierałem, wiedziony przez wiatry i zły los.

Czułem się mały i odarty z wszelkiego schronienia. Postanowiłem pośnisnąć się po pokładzie, dopóki karzeł nie wróci z ładowni. Słyszałem jego kroki, niosące się echem po wnętrznościach statku.

Mijałem gabinety, kajuty, maszynie: ten okręt był większy niż kraj. Wielotonowe ciemności zasnuwały niebo, utrudniając moją wędrówkę. Było tak, jakby w głębi nocy panowała jeszcze inna noc, a ja usiłowałem wymacać trzewia tej drugiej. Nagle rozległ się pode mną grzmot tysiąca otchłani. Przypominało to tętent bawołów, pędzących przez wnętrza okrętu. Spłoszone serce skoczyło mi do gardła. Zawołałem karła, ale mój głos się rozmył w przestrzeni.

– Kto to?

Rozmawiałem jak człowiek ze zjawą. Nagle dostrzegłem kotwicę. Tańczyła, kicała i koziółkowała po pokładzie. Jej stalowe kształty wyginały się, jakby w rzeczywistości składała się z samych rybich ciał. Wdzięczyła się w rytm niewidzialnych bębnow. Nie dowierzałem własnym oczom: zwykła kotwica nie mogła się tak wydurniać. To był xipoco, zjawa, która ukazała mi się na plaży Tandissico. Ten okręt był nawiedzony przez duchy, które miały go strzec przed intruzami. A może znowu była to sprawka mojego ojca, który chciał mi pokazać, że zrywa rozejm? Nagle kotwica spadła z wielkim grzmotem na pokład. Przez chwilę zdawało mi się, że w jej miejscu leży ludzkie ciało. Oddaliłem się krok po kroku. Bez względu na to, czy była to rzecz czy człowiek, wszystko wynikało z mojej bezradności. Zacząłem pośpiesznie wołać do karła, że powinniśmy czym prędzej opuścić nawiedzony okręt.

I właśnie wtedy spotkałem tę kobietę. Z początku widziałem tylko mglistą sylwetkę między linami. Kolejna zjawa? Potem ukazała się wyraźniej twarz. Zadrzałem. Postąpiłem krok do przodu, usiłując rozróżnić w półmroku kształty. Księżyc mi pomagał, rozganiając mgły.

– Nie bój się – powiedziałem.

Jej mokre ubrania parowały w zetknięciu ze skórą. Piękno tej istoty sprawiało, że rzeczy gubiły swoje nazwy. Widok jej ciała kazał wierzyć, że starość nigdy nie znajdzie w nim

mieszkania. Ciało spragnione, oczy nieruchome. Jej głos płynął bez odzienia, nagi, jakby się obywatł bez słów.

– Jestem Farida – powiedziała.

Ani drgnąłem. Czekałem, sam nie wiem na co. Było tak, jakby cały ten okręt zamienił się nagle w bardzo stare miejsce, we wspomnienie domu, gdzie miałbym ochotę przyjść na świat. Wówczas kobieta zaczęła drzeć, zdawało się, że przenikają ją wszystkie chłody i dreszcze świata. Jej oczy zaczęły płasć dookoła, a ręce macać coś na oślepie w oderwaniu od ciała. Upadła na ziemię, omotując się w liny. Wyglądało na to, że pętają ją niewidzialne istoty, podczas gdy ona broniła się rozpaczliwie. Ruszyłem do przodu, chcąc jej pomóc. Objąłem ją, lecz odtrąciła mnie gwałtownie. Znowu chwyciłem ją za ramiona i przyciągnąłem do siebie. Kiedy trzymałem ją tak uwięzioną, poczułem, jak jej ciało wrze.

Trwaliśmy tak przez jakiś czas. Aż w końcu się odezwała.

– Wysłuchaj mnie, proszę...

Pomóc jej mogło tylko jedno lekarstwo: opowiedzieć swą historię. Powiedziałem, że jej wysłucham, bez względu na to, ile by to miało zająć czasu. Poprosiła, abym ją puścił. Wciąż drżała, ale już mniej. Wtedy opowiedziała mi swoją historię.

ROZDZIAŁ CZWARTY

LEKCJA SZTYKIELETA

Tuahir po raz kolejny postanawia zbadać busz wokół autobusu. Drogą nikt nie nadchodzi. Dopóki wojna się nie skończy, będzie nawet lepiej, jeśli nikt nie będzie się wdrażał w te strony. Stary zawsze powtarzał:

– Któregoś dnia musi się coś zdarzyć. Ale nie tutaj... – uściślał pod nosem.

Tak naprawdę jedyne, co się wydarza, to nieustająca zmiana krajobrazu. Jednak tylko Muidinga dostrzega te zmiany. Tuahir twierdzi, że to miraż, owoce pragnień jego towarzysza. Kto wie, może przyczyną tych wizji jest to, że wciąż się trzymali uparcie tej samej kryjówki. Dlatego wciąż nalega, aby stąd odejść, spróbować znaleźć sam nie wie co; resztkę nadziei, wyjście z tego klinczu.

– Chcesz odejść, prawda?

– Tak, wujku. Ta droga jest martwa.

– Ta droga jest martwa?! Nie rozumiesz, że to wprost znakomicie? Dzięki temu, że jest martwa, jesteśmy bezpieczni!

– Ale w ten sposób nigdy nigdzie się nie dostaniemy...

– To znaczy, że tutaj też nikt się nigdy nie dostanie.

Stary się namyśla: nie warto nalegać. Lepsze będzie kłamstwo, jedno z tych, które się wysnuwa w dobrej sprawie. Powie małemu, że zgadza się ruszyć w drogę. Potem poprowadzi ich tak, aby się zdawało, że się oddalają, podczas gdy w istocie będą krążyć w kółko. Będą wiecznie wracać do machimbombo, na tę samą drogę, z której wyruszyli. Robił tak zawsze, od kiedy zeszli z drogi po raz pierwszy.

Tego popołudnia stary przewodzi jednej z takich fałszywych podróży. Najpierw idą wyrąbaną w chaszczach ścieżką. Droga, na której mieszkają, ukazuje się Muidindze w nowej perspektywie, wydaje mu się, że przeczesuje sawannę, prac w środek gęstwiny. Dopiero potem odbijają w bok, wybierając ścieżynki i przesieki. W ciszy krajobrazu nic nie domaga się pośpiechu. Mimo to Muidinga nie jest spokojny: strach nieustannie wyziera spośród szeleszczących liści, nie cichnie szept śmierci, tej niestrudzonej intrygantki. Kroczą ścieżkami pełnymi tęsknoty za ludzkimi stopami. Tuahir idzie z przodu, torując drogę chłopcu. Nagle świat się zapada, ziemia znika. Tuahir i Muidinga się wlotchłania, spadając w olbrzymi wykrot. To jedna z tych dziur, w których chowa się noc, wystawiając na zewnątrz tylko swój ogon.

– Gdzie my jesteśmy, Tuahirze?

– Wolę się nie domyślać. To musi być mieszkanie gigantycznej ropuchy, jednej z pożeraczek ciemności.

Siedzą nieruchomo, przyzwyczajając się do nicości. Po jakimś czasie świta im w oczach: ściany dołu pokryte są siatką. Żaden z nich nie ma już wątpliwości: wpadli w pułapkę.

Pozostaje tylko czekać. Zaczynają rozmawiać, aby odwrócić uwagę złych duchów, które zawsze wykorzystują ciszę do tego, aby utuczyć swoje nieczne zamiary.

– Wiesz, co mi się przypomniało, wujku? Przypomniała mi się Farida.

– A to kto?

– Kobieta z zeszytów, zakochana w Kindzu.

Słyszając to wyznanie, Tuahir uśmiecha się w sędziwości swego doświadczenia. Kiedyś wyrażał na temat kobiet opinie płynące prosto z serca. Teraz jest trochę inaczej.

– Jedne kobiety są deszczem, inne są nocną mgłą. Twoja Farida musi być jedną z tych, co to potrafią najwyżej popsuć mężczyznom fryzurę.

Muidinga udaje, że słucha pochłonięty lustrowaniem ścian wykrotu i obmyślaniem sposobu na wydostanie się z tego więzienia. Czas mija, nie przynosząc żadnego rozwiązania, aż w końcu obaj zasypiają, każdy pod inną ścianą. Muidinga śpi niespokojnie. Ukazują mu się bezładnie obrazy z czasów, których nigdy nie zdołał tknąć. Śni o sobie jako małym chłopczyku, który wychodzi z jakiejś szkoły. Jednak nie da się dostrzec żadnych rysów twarzy i nawet sama szkoła pozbawiona jest fasady. Napływają ku niemu chaotyczne głosy: wołają go! Wołają go innym imieniem. Usiłuje rozpaczliwie zrozumieć to imię, jednak wkrótce odgłosy rozplývają się, rezonując pośród nocnej mgły. Potem wszystko wewnątrz jego snu zasnuwa się oparem i zmierzcha. Rankiem chłopiec budzi się pierwszy, od leżenia na ziemi bolą go plecy. Tej nocy nabrał pewności: sny to listy, które wysyłamy do naszych innych istnień, istnień-pozostałości. Zeszyty Kindzu nie zostały zapisane przez człowieka z krwi i kości, tylko przez sny, podobne do snów Muidingi.

Ranek jeszcze się jąka, światło mruga oczyma. Nagle pośród mgły pojawia się jakaś sylwetka. Ludzka postać. Muidinga rozchmurza się i woła do Tuahira:

– Tuahirze, zbudź się, jesteście uratowani!

Radują się z przybycia obcego. Wołają do niego „dzień dobry!”, lecz nikt nie odpowiada. Mgła rozplýwa się pod tchnieniem lekkiego wiatru. Sylwetka ukazuje się wyraźniej: to wysoki, pokoślawiony starzec, który przyoblekł swoje nagie ciało w o wiele za długi jak na niego płaszcz z gabardyny. Jedno oko ma zamknięte, drugie otwarte. Oczy pełnią wartę na zmianę: raz jedno, raz drugie. Co jakiś czas potyka się o zbyt obszerne poły szczątkowego odzienia. Nieruchomieje, wpatrując się, czekając, nie dowierzając. W końcu rzuca na nich sieć. Po chwili tkwią już w jej okach uwięzieni jak ryby. Wtedy starzec ciągnie ich w górę, podczas gdy oni usiłują wygrzebać się z jamy, przebierając nogami. Znajdują się już na górze, ale on ich nie wypuszcza. Odchodzi, ciągnąc za sobą po ziemi sieć, w której siedzą obaj niczym upolowana zwierzyna. Kiedy docierają w końcu do domu starca, on jeszcze mocniej zaciska sieć kolejnymi węzłami. Wpatruje się w jeńców jednym okiem, mówiąc coś w miejscowym narzeczu. Tuahir tłumaczy:

– On mówi, że nas posieje.

– Posieje?

– Nie wiesz, co znaczy posiać? To jest właśnie to, co zamierza z nami zrobić. Chce mieć towarzystwo, chce, żeby narodziło się więcej ludzi.

Po czym Tuahir umawia się z chłopcem: będą udawać chorych, nadpsutych. Jęczą, spluwają obrzydliwą flegmą i wymiocinami. Ale na starym nie robi to wrażenia. Przynosi jakąś puszkę i nią potrząsa. Z jej wnętrza dobywają się przeraźliwe zgrzyty.

– Jestem Sztykielet.

Potem opowiada im swoją historię. Mówiąc, potrząsa puszką, jakby akompaniował śpiewowi. Wszyscy opuścili to miejsce z powodu terroru. Bando napadali, zabijali, palili. Wioska pustoszała; odeszli wszyscy co do jednego. Krewni usiłowali przemówić mu do rozumu: „Chodź z nami, już wszyscy odeszli!”. Tak go błagali w godzinę wymarszu. On odpowiadał:

– Jestem jak drzewo, tylko kłamstwo może mnie zabić.

I teraz, mając za słuchaczy dwóch niespodziewanych gości, ponownie mówi o swoim podobieństwie do drzew, które odradzają się każdego roku. Tuahir ledwo nadąza, brak zębów zniekształca wymowę wieśniaka samotnika.

– Jestem stary, napatrzyłem się już na wiele nieszczęść. Ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem – i przygnębiony kręci głową.

– Smutno ci, stary? – pyta Tuahir.

– Nie czuję już smutku, tylko zmęczenie.

To właśnie z powodu zmęczenia nie otwierał nigdy obu oczu naraz. Sędziwy mężczyzna miał, mimo wszystko, pewną wizję przyszłości. Jego zdaniem istniał tylko jeden sposób na wygranie tej wojny: trzeba było pozostać przy życiu i uparcie trwać w jednym miejscu. Nie pragnął żadnego szczęścia, nie chciał się nawet rozkoszować słodkimi wspominkami. Wystarczało mu przeżyć, wytrwać w tej zrujnowanej wiosce niczym jej ostatni strażnik. Miotał przekleństwa na tych, którzy ją opuścili.

– Obyście ziemię gryźli, diabłomioty!

Przemawia na stojąco, z wściekłością. Potem jego złość obraca się przeciwko nowo przybyłym. Pokopuje się nogami, ciskając w nich obelgi:

– Uciekajcy z was, wasze zło w zębach się kryje, wasze zęby proszą głód w gościnę! Właśnie dlatego sobie wszystkie wyrwałem. Tutaj są, w tej puszczy. – Potrząsa zardzewiałą puszką, zęby podzwaniają, a on się uśmiecha zadowolony z wywołanego zgielku. – To właśnie jest moja muzyka – ciągnie dalej swoje utyski: – Dzisiaj dzieci gryzą swoje matki już w łonie. Spójrzcie na kamień, na którym siedzę: wygląda na martwy, ale jest inaczej. On żyje pomalutku, bez hałasu. Tak jak ja – podsumowuje.

Po czym stary znów zaczyna się demonstracyjnie wściekać. Wymachuje rękami i o mało nie wypluwa płuc.

– Obaj pójdziecie pod ziemię, diabłomioty!

Wtedy Muidinga wychodzi z siebie. Wrzeszczy.

Stary wieśniak słucha bacznie Tuahira, który tłumaczy chłopaka. Dlaczego ich nie przyjął, tak jak nakazują odwieczne prawa gościnności?

– Rzeczywiście – mówi stary – inne są obyczaje mojego ludu. Bo dawniej każdy, kto tu trafiał, przybywał w dobrych zamiarach. Dzisiaj każdy, kto tu trafia, przynosi na czubkach palców śmierć.

Chłopak uparcie chce wyjaśnić ich zamiary. Ich zamiary nie są takie same jak tych, którzy dzisiaj przemierzają busz. Tuahir przerywa im i prosi o ciszę. Rozwleka całą opowieść powoli, niczym różaniec, wyłuszczając powody, dla których tu trafili i dla których musieli zdobyć się na taką zuchwałość. Nawet Muidinga nie spodziewał się po swym towarzyszu takich zdolności. Tuahir opowiada o święcie, którego nie ma, przeplatając swoje wizje radością.

– W naszym kraju zapanuje spokój, wszyscy Mozambijczycy będą jak rodzina. I będziemy się odwiedzać jak dawniej, i sycić się swymi ścieżkami, nigdy więcej nie czując już strachu.

– Prawda to? – pyta bezzębny.

W oddali słychać strzały, wojna nadal aplikuje swoje eksplozje. Tuahir ciągnie dalej w uniesieniu: mówi, że słyszał o bogatych krajach, gdzie nie trzeba już skopywać ziemi – zakopuje się w niej na sztorc samą motykę, z której trzonka kielkują drzewa i wszelaka zielenina.

– I u nas będzie tak samo – orzekł.

Ale bezzębny wieśniak odchodzi w zmierzchu z podbródkiem wspartym na piersi. Jego świat już teraz był tym, o którym opowiadał Tuahir; światem bezmiernego spokoju. Sam Muidinga wydaje się oczarowany słowami Tuahira. Nie fascynuje go opowieść, tylko obecny w niej duch. A kiedy tak słucha marzeń Tuahira z odgłosami wojny w tle, myśli sobie: „Nie

wynaleziono jeszcze łagodnego, uprzejmego prochu, którym można by strzelać w ludzi, nie zabijając ich. Prochu, który spełniałby opacznie swoje przeznaczenie, rodząc więcej życia. Tak że z postrzelonego człowieka rodziłaby się nieskończoność ludzi, którą każdy w sobie nosi”.

Tuahir jawi się przez chwilę jako czarownik naprawiający wszechświat – swojego pacjenta. A oto stary Sztykielet, śniący o możliwości rozejmu. Widok jego porzuconego ciała sprawia, że człowiek chce się uśmiechnąć, tak jakby obserwował bezbronny sen dziecka. I dwaj więźniowie zajmują się produkcją cygara z liścia, który stary upuścił na ziemię. Palą z takim upodobaniem, jakby to oni sami byli wonną trociczką, palą, jakby w ich palcach leciał z dymem czas, jakby nie więziła ich już żadna sieć. Tuahir odgaduje myśli chłopca:

– Uwierzyłeś mi? I dobrze. Dam ci radę: nigdy nie ufaj człowiekowi, który nie umie kłamać.

I właśnie wtedy widzą, że nadchodzi hiena prześlizgująca się między jednookim słońcem a jego zachodem. Z początku wydaje się, że to nic takiego, nie więcej niż szelest traw, ciemnozielone tchnienie. Aż nagle ukazuje się cała, balansując na tylnych łapach. Potem siada samotniczo, zerkając na nowy świat.

Czują się nieswojo. Po co tu przyszło to bydlę, co nie trzyma pionu, zdegradowane i na własne tyły cofnięte? Naznaczyć pechem los żywych – tylko taki może być cel tego zwierza. Hiena siedzi nieruchomo, przeprowadzając inspekcję zapachów. Potem spoczywa na własnym cieniu i, leżąc tak, oblizuje sobie wargi. Widok tak udomowionej hieny, pozbawionej już cech drapieżnika, napędza obserwatorów lękiem. Zwierzęta boją się ludzi i od nich stronią. A to zwierzę legło właśnie w miejscu zarezerwowanym dla ludzi.

Tymczasem stary się budzi. Najpierw spostrzega zdumienie towarzyszy, potem samą hienę: zwierzę strzegło jego życia. „Nikt inny się do mnie nie zbliża”, uśmiecha się stary, pieszcząc hienę, która przeciąga się z rozkoszą. Oto jego prywatna armia, gwardia przyboczna i ochroniarze. Tuahir ostrzega szeptem:

– W nic nie wierz, mały. To w ogóle nie jest hiena.

Zapada zmierzch. Wszystko przenika chłód i rozlewa się cisza wielka jak ziemia. Muidinga zaczyna się uskarżać. Sprawia mu ból pozycja, którą wymusza na nim pętająca go sieć; głowę ma przyciśniętą do własnego pępka. W końcu ból to okno, przez które podgląda nas śmierć. Chłopiec przytula się ulegle do Tuahira w poszukiwaniu odrobiny ciepła. Jednak sen nie przychodzi. Muidindze udaje się wytknąć rękę przez dziurę w sieci. Chwyta za patyk i pisze coś na ziemi.

– Co to za rysunki? – pyta Sztykielet.

– To twoje imię – odpowiada Tuahir.

– To jest moje imię?

Bezzębny starzec wstaje i obchodzi słowo dookoła, wytrzeszczając oczy. Klęka i wygląda ziemię wokół nakreślonych znaków. Zastyga tam na pewien czas niczym kot, uśmiechając się do ziemi swoimi ustami wyzutymi z bieli. Potem bezbarwnym głosem zaczyna nucić piosenkę. Przypomina to modlitwę. Ten śpiew sprawia, że Muidinga w końcu usypia. Nie ma pojęcia, jak długo spał. Budzi się bowiem z gwałtownym zrywem: prosto w oczy świeci mu lśniąca klinga. Stary Sztykielet manewruje nożem.

– Chodźcie za mną!

Uwalnia Tuahira i Muidingę z sieci. Wiedzie ich długo przez busz. W końcu, stanąwszy przed wielkim drzewem, Sztykielet rzuca jakieś polecenie, którego młodzieniec nie rozumie.

– On ci rozkazuje, abys wyciął tu jego imię.

Podaje mu sztylet. Muidinga wyrzyna na pniu drzewa, litera po literze, imię starego, który życzy sobie, aby to drzewo było akuszerką innych Sztykieletów, kiedy obrodzi już nim samym. Starzec wodzi z zachwytem palcami po korze drzewa. I mówi:

– Teraz możecie odejść. Wioska przetrwa, moje imię jest już we krwi drzewa.

Po czym wkłada sobie palec do ucha i wciska go coraz głębiej, aż w końcu słyszą głuchy odgłos eksplozji. Stary wyciąga palec i z jego ucha tryska strumień krwi. On sam zaczyna się kurczyć, tak długo, aż staje się nie większy od nasienia.

CZWARTY ZESZYT KINDZU

Córka nieba

„Nazywam się Farida”, powiedziała kobieta, zaczynając swoją opowieść. Głos miała cichy, schrypnięty, co pewnie brało się z jej nieśmiałości. Ja zachowałem między nami dystans i wzrok miałem utkwiony w ziemi. Podczas jej długiej przemowy milczałem jak cień, po to, aby jej dodać odwagi. Kobieta zamieniła się w słowa i trwało to aż do świtu.

Farida była córką nieba i podlegała karze: nie wolno jej było nigdy oglądać tęczy. Nie przedstawili jej księżycowi, jak to zwykle robiono z dziećmi tej ziemi. Musiała ponieść karę, wymierzoną przez tysiąclecia: była córką bliźniaczką, zrodziła się ze śmierci. Według wierzeń jej ludu narodziny bliźniąt oznaczają wielkie nieszczęście. Następnego dnia po jej urodzinach zostało ogłoszone chimussi: wszystkim zakazano uprawiać ziemię. Gdyby w tym czasie ktoś zranił ziemię motyką, już nigdy nie spadłby deszcz.

Kilka dni później zmarła jej siostra. Pozwolili jej umrzeć z głodu. Zrobili to w dobrej wierze – po to aby zażegnać klątwę. Pochowali dziewczynkę w świętym lasku, gdzie śpią wszystkie zmarłe dzieci. Włożyli ją do pękniętego glinianego garnka. Posiano ją, niemal wcale nie przysypując ciała ziemią. Wybrano miejsce blisko rzeki, gdzie gleba nigdy nie wysycha. Dzięki temu chmury w ich stronach miały zawsze pamiętać o obowiązku zraszania ziemi.

Matka Faridy już nigdy więcej nie miała dzieci. Podobno nie była w stanie wymazać w sobie nieczystości po tamtym porodzie. Odprawiali magiczne obrzędy – nie pomogło. Spalili jej chatę, usypali wielki stos ze wszystkich jej rzeczy i puścili je z dymem. Matka nadal cierpiała, ponosząc karę za to, że śmiała odwiedzić niebo, jedyne miejsce, gdzie można znaleźć bliźniacze dzieci. I wyplakała wówczas to wszystko, czego nie mogła wyplakać na pogrzebie córki. Tradycja mówi jasno: nikt nie może płakać w żałobie, lamenty mogą jedynie wywołać nieszczęście. W obecności Faridy nigdy nie wspomniano o śmierci bliźniaczki: „Twoja siostra? Odeszła do domu babki i tam zamieszkała”. Tak szeptano.

Po zakończeniu obrzędów kazali matce opuścić wieś. Zamieszkała wraz z córką w pobliskim buszu, pośród zaniedbanej zieleni. Żyły tam tylko we dwie i nikt ich nigdy nie odwiedzał: przychodzili krewni, jednak zawsze kryjąc się w krzewach i zachowując stosowny dystans. Bali się zarazić. Wykrzykiwali z ukrycia nowiny. Jediną osobą, która przynosiła im jedzenie, była ciotka Euzinha, rozłożysta kobieta o wielkiej mądrości. Rozmawiała z nimi, dzieląc się nowinami na temat pozostałych ziomeków. Euzinhi również nieobca była samotność; jej mąż poszedł na wojnę i teraz wykrawiał się w jakimś niewiadomym miejscu. Pewnego dnia zaplatała siostrzenicy warkocze, kołysząc ją palcami do snu, aż nagle dziewczynkę obudził jej głos:

– A wiesz, gdzie jest teraz twoja siostra?

– Moja siostra umarła, ciociu.

– Kłamstwo! Twoja siostra jest jak najbardziej żywa, śmierć nawet jej nie drasnęła.

Tak brzmiały jej słowa. Farida poczuła, że łzy napływają jej do oczu, lecz zamknęła im drogę uśmiechem. Ciotka wygadywała jakieś banialuki.

– Gdzie ten sznurek z wisiorkiem, który kiedyś dostałaś?

Pokazała ciotce wisiorek. Ta trzymała go przez chwilę, ściskając drobną figurkę, przez którą przewleczony był sznurek. Spytała siostrzenicę, czy wie, co przedstawia drewniana

figurka. Farida nie wiedziała; nałożono jej ten wisiołek, zanim w jej oczach zamieszkała pamięć.

– Ta drewniana figurka to twoja siostra. Nie widzisz, że jest pęknięta w środku, że jest jej tylko pół? Drugą połowę, w postaci takiego samego wisiora, ma twoja bliźniaczka.

W rzeczywistości matka nie spełniła do końca nakazów tradycji. Zabiła drugą bliźniaczkę tylko na niby. Dziecko zostało oddane kobiecie-wędrowczyni, która cierpiała, ponieważ nie mogła mieć własnych dzieci. Później wszelki słuch o jej siostrze zagał. Może mieć dziś inne imię, inne ciało, inny zapach. Czy w ogóle jeszcze żyje? A jeśli tak, to gdzie wie o drugim życiu?

Od czasu poznania prawdy sny Faridy wypełniły się krzykami i ciężkim potem. Ukazywały się jej korzenie, przebijające gliniany garnek, z którego wystawała mała siostrzyczka. Te koszmary trwały przez cały czas, kiedy mieszkały w lesie.

Tymczasem ich drobny zakątek stał się centrum wszelkiej niedoli. Ziemia legła odłogiem w bezładzie, szalały wichury, które zajmowały się ogniem od słońca, źródła i jeziora powysychały. Chmury uciekły ze strachu. W całej okolicy zagościły głód i śmierć. Jak twierdzono, wszystko to działo się dlatego, że matka się nie oczyściła. Nocą słyszały odgłosy obrzędów. Błagano przodków o choćby najdrobniejszy deszczyk. Ciemności wypełniały się odgłosem bębnow, młócających smutek jak w stęporze.

Ponieważ deszcz nie nadchodził, postanowiono odszukać matkę. W jej obejściu pojawiły się półnagie kobiety, te, które zwykle czyszczą studnie. Potrzebowały matki bliźniąt do magicznych ceremonii. Domagały się, aby wskazała im grób córki. Farida dołączyła do grupy, która udała się gęsiego nad brzeg rzeki. Kiedy stanęli przy kamiennym nagrobku, kobiety wlały wody do pogrzebowego dzbana. Rozpoczęły taniec pełen xiculunguelo. Potem wrzucili starą do dziury i zaczęli ją zalewać wodą.

– Zostawcie mnie, jest mi zimno – prosiła.

Ale kobiety nie zamierzały przerywać. Matka Faridy odwiedzała niebo – a jeśli trafi tam mokra, chmury z pewnością także się przemoczą. I w końcu spadnie deszcz.

– Przestańcie, przecież ona cierpi! – krzyczała Farida.

One jednak lały dalej, pokrywając biedaczkę lodowatą wodą. Aż w końcu odeszły, tańcząc i śpiewając, porzuciwszy matkę na dnie wodnistej jamy. Farida podeszła bliżej, chcąc jej pomóc wyjść. Ona jednak odmówiła: musi tu tkwić w szlamotności, zbłocić swój dług wobec świata. Córka przez całą noc siedziała u wezglowia dołu. I śpiewała matce kołysankę, jakby to ona była malutka, jakby właśnie wyszła z łona własnego dziecka. Wyczerpana Farida w końcu zasnęła.

Kiedy zbudziła się o poranku, matki już nie było. Zabrano ją, bo była już na tyle wymrożona, że minęła jej nieczystość. Krew matki, przelana podczas jej narodzin, przestała być skazą dla wsi. Jeszcze tego samego dnia spadły obfite deszcze. Wreszcie odżyły nasiona i nadzieja.

Od tej pory mała Farida wiodła życie sieroty. Rosła, sama siebie doglądając i tuląc, czekając w nieskończoność na matkę. Wierzyła, że wróci okutana w swoje smętne lachmany. W snach wyłaniała się z dołu pośród oparów, trzymając w rękach garnek, taki sam jak te, których używa się do pochówku dzieci. Jej palce to były korzenie, które zamieniały się zaraz w ogniste węże. I te pelzające płomienie dopadały dziewczynkę, i parzyły ją w piersi. Wizje trzymały małą przy życiu. Przetrwała dzięki tym fantazjom.

Nigdy więcej nikt nie pytał o los Faridy. Wstąpiła w mroczny świat cudem ocalonych. Jednak po jakimś czasie przypominano sobie o niej: potrzebna była bliźniaczka do deszczowych obrzędów. Polecono ją odszukać i przyprowadzić. Kiedy się zjawiła, nakazano jej zebrać nuno, te czarne robaki, które plenią się na każdej machambie. Miała przynieść wszystkie, jakie znajdzie na uprawnych polach. Przez cały ranek przeglądała liść po liściu.

Zawinęła wszystkie robaczki w starą chustę i ruszyła w stronę jeziora. Za nią szły kobiety, śpiewając i kołysząc ciałami natartymi sokiem z ziół.

Wrzuciła nuno do wody i patrzyła, jak toną, przebierając łapkami. Nie wolno jej było odwracać głowy, dopóki nie zniknie ostatni robaczek. W tym czasie kobiety nuciły wulgarne piosenki, wymawiając przy tym słowa, jakie nigdy nie padają z kobiecych ust.

Jeszcze zanim wszystkie starsze kobiety znikły, podjęła decyzję o odejściu. To miejsce było już nią zmęczone. Ruszyła w drogę, nie mając nic poza własnym ubraniem. Szła, szła i szła. Minęły jedna noc i jeden poranek. Słońce stało w zenicie, kiedy poczuła zawrót głowy. Zemdląła.

Obudziła się w domu z betonu. Leżała na gąbczastym materacu. Znajdowała się w rezydencji portugalskiego małżeństwa. Romão Pinto, właściciel rozległych posiadłości ziemskich, i Dona Virgínia, jego żona, opiekowali się nią przez długie lata. Nauczyli ją pisać i czytać, oszlifowali obyczaje, które wyniosła ze wsi. Viriginia – bo tak ją nazywano – odznaczała się dobrocią, jakiej się już nie spotyka. To ona się uparła, aby adoptować dziewczynkę i traktować ją jak córkę. Wielokrotnie Farida pragnęła zwracać się do niej jako do „mamy”. Ale Virgínia się nie zgodziła. „Twojej mamie by się to nie spodobało”, mawiała. Jej dłonie plotły z włosów Faridy warkocze i głowa dziewczynki usypiała wówczas daleko od niej samej, daleko od całego świata. I w tym cieniu dorastała – tam wykuły się jej piersi, tam stała się kobietą. To w tym domu po raz pierwszy poczuła na sobie obśliniony wzrok mężczyzny. Romão Pinto ją prześladował, jego dłonie nie przestawały jej szukać. Czasami, nocą, podglądał ją przez okno, kiedy się kąpała. Farida była osaczona, bezbronna. Nie mogła się poskarżyć Donie Virgíni, a tym bardziej nie mogła stawić czoła zakusom Romão.

Jego pożądanie wypełniało cały dom lepkiem śluzem. Budził w niej lęk zmieszany z obrzydzeniem. Znienawidziłyby ten dom, gdyby starsza pani nie traktowała jej jak matka, budząc w niej do życia nowego człowieka. Virgínia, Virgínia, Virgínia: kim była? Niewiele o niej można było powiedzieć. Mieściło się to w zaciśniętej dłoni, podczas gdy między palcami uciekało wszystko, co najbardziej chcielibyśmy uchwycić. Żyła powolnie jak ła. Romão utrzymywał ją w stanie nieożywionej materii, z takim skutkiem, że żyła wyłącznie pamięcią.

– Nie wolno ci!

Mąż uparcie wyrzaskiwał jej wszystkie zakazy: czytania, słuchania radia, śpiewania. Wszystko dlatego, że uporczywie wracała do myśli o powrocie do Portugalii. To było jej jedyne życzenie, błędne koło jej marzeń.

– Ale dlaczego nie lubisz tego kraju, mamó Virgínió?

– A kto ci powiedział, że nie lubię?

Właśnie z powodu tej namiętności chciała wyjechać. Ponieważ obraz tego kraju, pełnego tak rozpasanej niegodziwości, był jak krwawy cierń, wbity w serce jej serca. I wzdychała z niepewną pewnością: ileż to czasu do tego czasu! Potem, kładąc palec na ustach, jakby miała wyznać jakiś sekret, prowadziła Faridę korytarzem. Chciała pokazać dziewczynce zieloną suknię na wieszaku, wyszykowaną, bez najdrobniejszego zagniecenia.

– To na podróż!

I uśmiechała się uradowana przyszłością, która miała się kształtować podług jej marzeń. Tkwiła w oknie, obserwując kraj pogrążony w nieistnieniu, zakreślony na mapie tęsknoty. Tak żarliwie zebrała u Boga o inne miejsce, że stała się odległa, aż w końcu Farida zaczęła się lękać, że jej nowa matka już nigdy nie oprzytomnieje. Sędziwa Portugalka rysowała kredką nowe rzeczy na starych fotografiach. Czasem wycinała nożyczkami postaci z jednych zdjęć i naklejała je na drugie. Tak jakby przenosiła przeszłość w teraźniejszość.

– Widzisz? To mój wujek. To było wtedy, kiedy przyjechał tu do nas z wizytą.

Krewniak, o którym mówiła, nigdy nie był w Afryce. Jednak Farida nawet nie śmiała tego prostować.

Komponowane na nowo zdjęcia wносиły nowe prawdy w życie stworzone z kłamstw.

Pewnego razu Virgínia zabrała przybraną córkę na pole i kazała jej usiąść w cieniu rozległego mangowca. Zawsze obawiała się węży lubujących się w słodkich gałęziach drzew. Teraz zdawało się, że zapomniała o tym zagrożeniu. Stara kobieta powoli rozpostarła minione czasy, opowiadając historie ze swojego życia. Ciągnęło się to przez kilka dni, bo zagłębiała się w szczegóły. Staruszka fantazjowała?

– Dlaczego mi o tym wszystkim opowiadasz, mamó Virgínio?

– Bo chcę, żebyś zaczęła do mnie pisać.

– Pisać?

Właśnie tak. Farida miała jej wysyłać listy, fałszując ich autorstwo, zmyślając odległość. I rzeczywiście się tym zajęła, za każdym razem zabawiając się w innego krewniaka. Nie wyobrażała sobie nawet, jak dobry spełniała uczynek. Virgínia czytała listy z tymi spazmatycznymi jękami, o które, niby o kamienie, potyka się płacz. Farida słuchała omamiona, tak że nie sposób było odgadnąć, kto jest autorem listu. A może to staruszka zmyślała, odrealniając nierealność tekstu? Romáo Pinto wracał z dworcowego baru, i w tym niefortunnym momencie zastawał obie słodko do siebie przytulone. O nic nie pytał, przechodził tylko, zezując, wykorzystując okazję, aby otrzeć się o nogi dziewczyny. Dłonie Portugalczyka spoczywały na ramionach Faridy, oddając się potajemnej pieśczoce. Virgínia była tak pochłonięta swoimi fantazjami, że niczego nie widziała.

Ale los to nieokiełznany chuligan. Przybrana matka coraz dalej odchodziła w chorobę bez powrotu. Staruszce nie można już było ufać, bo coraz wierniej lgnęła do swoich wydumań. Pewnego dnia oznajmiła Faridzie:

– Zabiorę cię stąd, nie możesz już tu mieszkać razem z nami.

– Dokąd mnie zabierzesz, mamó?

Farida zadrżała. Zupełnie odruchowo nazywała ją mamą. To musiało wynikać ze strachu, który ją opanował.

– Farida, kochanie, posłuchaj mnie. Twoja matka... ja gonię resztkami sił. Boję się, że jutro już nie będę w stanie się tobą zajmować. Właśnie dlatego chcę cię stąd zabrać.

Jej planetarne oczy wpatrywały się w nią bez mrugnięcia. Tej samej nocy przyszła do łóżka dziewczyny, aby ją obudzić. Ujęła Faridę mocno za rękę i poprowadziła przez mroki korytarza. Chwyła zieloną suknię, którą przeznaczyła na podróż, i pośpiesznie podjęła decyzję.

– Idziemy!

Ruszyły w kierunku Misji. W drzwiach stanął ksiądz, przesłaniając bijące ze środka światło. Kiedy Virgínia przekazała Faridę księdzu, dziewczyna zrozumiała, że już wcześniej o niej rozmawiali. Virgínia podała jej swoje dłonie. Palce jednej i drugiej zbiegły się razem jak spłoszone stado. Ich ciała pożegnały się z sobą; żadne nie spieszyło się, aby powiedzieć: „żegnaj”.

– Nadal będę do ciebie pisać, mamó.

– Nie trzeba, córeczko. Już nie trzeba.

I odeszła, a jej plecy wędły w ciemności. Od tej chwili zaczęło się drugie sieroctwo Faridy.

Przez jakiś czas mieszkała w Misji, w małym pokoju pełnym ciszy. Uczyła się, czytając wszystko, co była w stanie przeczytać. Aby wypełnić czymś czas, oddawała się fantazjom. Ale brakowało jej życia i jego zdarzeń, ciepła świata, w którym spędziła dzieciństwo. Miejsce, w którym teraz była, przepełniało jej wnętrze chłodem. Ostatecznie wszyscy chcemy czuć na piersi ucisk drugiej piersi, chcemy odzyskać połowę, którą straciliśmy w chwili narodzin. Co noc jej ciało obracało się w słodki migdał, zaokrąglając powolne westchnienia. I właśnie tak zrodziła się w niej myśl, aby opuścić to miejsce bez żadnego pożegnania. Ksiądz był człowiekiem, którego należało porzucić, z jego słów i kazań nie wynikało ani nie, ani tak.

„Dobro rodzi się dzięki dozwolonym sztuczkom”, zwykł mawiać. Pewnego dnia duchowny wezwał ją do siebie. Rozumiał pragnienia, które milcząco w niej tkwiły, marzenia, które nigdy w niej nie rozkwitły.

– Chcesz opuścić Misję, wiem o tym. Niewiele tu życia dla dziewczyny w twoim wieku.

Nie warto sprzeciwiać się samej sobie, rozważać słuszności i niesłuszności własnych czynów. Jeżeli Farida tego właśnie pragnie, niech wraca do miejsc swego dzieciństwa.

– Ze świata nie ma żadnego pożytku – powiedział. A po chwili dorzucił: – Szczęście mieści się tylko w pustce zaciśniętej dłoni. Szczęście wymyślili możni tego świata, aby najbiedniejsi mieli swoją mrzonkę.

W drodze do wsi Farida zauważyła o dom Roméo Pinto. Chciała się zobaczyć z Virginią, dotknąć jej dobrej twarzy, ukoić tęsknotę. Ale drzwi otworzył Portugalczyk ze swym kłającym wzrokiem.

– Virgíni nie ma. Pojechała z chorym do miasta.

Oświadczył, że jego żona wróci jeszcze tej samej nocy. Farida ma na nią poczekać; może skorzystać ze swojej starej sypialni. Ociągając się, weszła do środka. Po całym domu rozchodził się słodki zapach gujawowców rosnących w obejściu. A jednak w tej chwili nawiedzały ją same gorzkie wspomnienia. Czy to nieobecność Virgíni przepełniała ją goryczą? Ostatecznie w tym domu, nawet wtedy gdy zaznawała w nim pieśczęt Virgíni, nigdy nie było dla niej miejsca.

Drzwi pokoju się zamknęły i Farida została sama. W metalowym grzebieniu, który leżał na stoliku, tkwiły nadal jej włosy, poskrędziorokowane jak dzieci w matczynym łonie. Zatrzymywała się długo na każdym szczególe, czując, że wszystko, czego kiedyś dotykała, rozpoznaje ją teraz i koi swoją tęsknotę. Na wilgotnej ścianie wciąż wisiało zdjęcie w drewnianej ramce. To była jej jedyna podobizna. Dlatego uznała, że powinna zabrać zdjęcie z sobą. Zdejmując je ze ściany, zauważyła, że nie jest już na pośliskim papierze sama. Wokół jej twarzy dorysowane były rozmaite postaci, w takiej ilości, iż odnosiło się wrażenie, że poruszają się nieustannie i zamieniają pozycjami. Uśmiechnęła się zdecydowana odwieść ramkę na ścianę. To było dzieło Virgíni, która postanowiła tchnąć życie w jej portret. Ile razy kładła je na łóżku, mnożąc dla samej siebie kłamstwa o tym, że jej przybrana córka nadal przebywa w starym gospodarstwie?

Minęła północ, a Virgíni wciąż nie było. Zmęczona Farida zanurzyła się w łóżku. Nie zwróciła uwagi na szmery za drzwiami. Nie zbudził jej nawet głos, który ją przyciągał ku sobie; gesty, które w niej trwały, nigdy niezapomniane. To Roméo krążył wokół jej łóżka. Jego kroki otaczały powoli jej strach, podczas gdy on rozniecał swoje żądze. Zaczęła w milczeniu rozpaczliwą modlitwę. Włożyła w swoje błaganie o pomoc tyle wiary, że przestała się lękać o przyszłość. Roméo usiadł na łóżku, a jego ręce zaczęły macać w ciemności. Kiedy musnął palcami twarz dziewczyny, poczuł wilgoć milczących łez. Ten smutek jeszcze bardziej wyostrzył jego apetyt. Omotywał Faridę, a każdy jego krok sprawiał, że jej zmysły z bólu odchodziły od ciała. Zdrabniała się, przyciągając kolana do piersi. Tam, na zewnątrz, czułe światło księżycy nie pozwalało się domyślić, ile nienawiści wrzało w tym pokoju. Anioły zwlekały – a Roméo zyskiwał przewagę. Przybita, zadawała sobie pytanie:

Bóg? Dlaczego tak długo zwleka?”.

Postanowiła dłużej nie czekać i zerwała się do skokucieczki, uwalniając ciało od śliny Roméo. Zaskoczony Portugalczyk zdusił głos między zębami i zaczął dyszeć groźbami. Ostrzegła ją wiekowa pamięć jej ludu: lepiej się oddać, a potem trzymać język za oczami. Portugalczyk się rozsamczył i opanował każdą jej pędź. Biły z niego nieopisane poty. Robił się coraz bardziej nażądlivy, a przy tym robklejony jak żaba. Te poty występowały na niego niczym niezbity dowód: ten mężczyzna to obcy, przybysz, wyrwany z innego świata. W swoich stronach oszczędzałyby w miłości swe poty. On jednak był jak ropucha rzucona daleko

od własnego bagna. I jak ropucha zasnął, pochrapując, w jej ramionach. Zrzuciła z siebie ciężar tego ciała jak ktoś, kto z siebie zrzuca winę.

Świałało, kiedy spakowała tobołek i ruszyła w tę mgłę, która moczy jak dziecięcy deszcz. Płakała i płakała. Chciała spętać swój smutek sznurkiem własnych łez. Przyzywała do siebie całą nienawiść wobec mężczyzny, który ją zgwałcił. Ale nienawiść nie przyszła. Wina leżała wyłącznie po jej stronie, bo dryfowała między tymi dwoma światami w wiecznym odejściu-powrocie. Powinna wreszcie wrócić w swoje rodzinne strony, sprawdzić, czy czas umie ją jeszcze ukoić. Jednak w głębi duszy wiedziała, że nie będzie jej dane znaleźć świata, w którym się urodziła. Ciotka Euzinha, widząc ją, przetłumaczyła ten lęk:

– Nie powinnaś była wracać, córeczko.

Bo mieszkańcy nie będą jej tu chcieli – jej, oddalonej i powróconej, niegdyś dziewczynki tej ziemi, dzisiaj kobiety z wizytą. Jeżeli rzuciła tę ziemię, zrywając więzy, nie trzeba było jeszcze wymierzać im ciosu swoim odejściem. Bo w istocie bolało ich w niej to, że oni sami zostali. Gryząca mrówka kryje się pod ubraniem.

W miarę jak mijaly kolejne miesiące, Farida nabierała straszliwej pewności: wybrzuszała się, zagnieździło się w niej dziecko. I to dziecko miało przyjść na świat bez stosownego koloru: będzie Mulatem. Ciotka Euzinha ją ostrzegła:

– Nikomu nie wyjawiaj, jakiej jest krwi, już lepiej powiedzieć, że to albinos. – Urodziło się takie, a nie inne, bo przez jej łono przeszła błyskawica. Stąd bowiem, według miejscowych wierzeń, biorą się albinosy.

– Ależ ciociu – protestowała Farida – jeśli powiem, że dziecko jest albinosem, dam im kolejny powód do tego, aby mnie odrzucili!

Euzinha doskonale znała cenę tego kłamstwa. Już nikt się nigdy nie napije z tego samego kubka co Farida, żadna kobieta nie zatrzyma się nigdy na drodze, aby jej powiedzieć „dzień dobry”. Urodzona jako bliźniaczka, teraz matka albinosa: była gorsza od trędowatych; była skazana na wieczną samotność.

– Lepiej, żebyś ty cierpiała, niż żeby miało cierpieć dziecko – upierała się Euzinha.

Dziecko się urodziło, zanim ona urodziła się jako matka. Farida ani przez chwilę nie poczuła w sobie ochoty, aby otoczyć je troską. Poszła do kościoła i oddała chłopczyka, tak jakby to była paczka bez adresata, drobna życiowa pomyłka. Został tam, w Misji, i nigdy więcej go nie widziała. Z pewnością już zmarł. Albo też zabrali go bando i zmienili w mordercę. Czy chciałaby zobaczyć swojego syna? Nie wiedziała tego, trudno jej było na ten temat rozmawiać. Bo kiedy poddawała się karze wspomnienia go, tylko zyskiwała na tym gorzyc zapomnienia. Nie była w stanie wymówić imienia swego syna, bo w chwili gdy czuła, że nie wychodzi cały z jej ust, od razu pękały jej wargi i wypluwała tylko jego fragmenty. „To dziecko jest w środku mnie, ono mnie rozsadza”. Tak mówiła Farida. I dodawała: „Noszę je w środku, tak jak owoc, który osłania pestkę. Jestem jego miąższem, z niego się rodzę, rozpychana przez jego ciało, i będę dojrzewać tak długo, aż spadnę na ziemię i zjedzą mnie robaki. Tak właśnie się czuję”.

Teraz, leżąc na linach starego okrętu, kobieta ciągnęła swoje bolesne wspomnienia. Jej syn był węzłem, w którym splatały się jej wszystkie odrzucone życia. Był czas, kiedy próbowała wszystko cofnąć, odzyskać dziecko. Poszła do Misji. Było piękne popołudnie. Na brzegu studni siedziała zakonnica w bieli. Nazywała się Lucia i była w Misji od bardzo niedawna. Wydawało się, że jest zdolna do wszelkiej dobroci i czuła na cudze smutki. Wciągała wiadro na linie, a ciężar był tak wielki, że sprawiało jej to ból. Farida zaoferowała jej swoją pomoc. Lucia przyglądała się w milczeniu, jak Farida wyciąga wiadro. Otrzymawszy wiadro z wodą, siostra powiedziała:

– Aleś ty piękna! Skąd przybywasz?

Farida chciała porozmawiać, ale żadne słowo nie chciało jej zakwitnąć na ustach. Jej syn nie pojawiał się w nich, jakby był męczącym motywem „Czy możliwe, że naprawdę kocham

to dziecko?”, pytała Farida samą siebie. Gdyby tak było, nie potrafiłaby się okłamywać. Bez wątpienia wojna dokonuje jednego: wszystko obraca się w prawdę. Człowiek stąpa wciąż po linii granicznej, mając życie i śmierć po dwóch wymiennych stronach jednego ryzyka. Siostra Lucia ponownie spytała Faridę o przyczynę jej wizyty.

– Przyszłam porozmawiać, siostró.

Wreszcie odzyskała głos. Przemówiła, ukrywając jednak powód odwiedzin.

– Mów, córeczko.

– Siostró, proszę cię: opowiedz mi jakieś historie!

Zakonnica była zaskoczona. Dziewczyna wyjaśniła: chciałaby poznać nowiny ze świata, usłyszeć kolory tej dali, wokół której krążyły uparcie jej sny. Nie ma szczególnego znaczenia, czy będzie to prawda czy nieprawda. A wtedy zakonnica oddała się rozwlekłym bajwędóm, jakby nagle pojęła jej głód fantazji. Kiedy umilkła, słońce chyliło się już za werandę wieczoru. Ziemia została dotknięta potopem zachodu, pola obsiały się pomarańczowym pyłem. Lucia nie miała już sił na kolejne czarowieści, jej głos blaknął zwyciężony potęgą tego, co rzeczywiste, potęgą wrogió teraz.

– Tam, skąd przybywasz, też jest wojna?

Farida skinęła twierdząco głową. Świadomość wojny sprawiała, że milkła. Nagle wszędzie dookoła rozsiała się noc. A dziewczyna, która przyszła do Misji, była nareszcie w stanie wyjawić swoje zamiary. Chciała odzyskać swojego synka, odrodzić się jako matka. Siostra przyglądała się jej długo i czule.

– Twój syn to Gaspar, prawda?

Zgadła – i Farida przez chwilę lękała się, że usłyszy zakaz. Ale siostra spytała tylko, czy Farida może zapewnić dziecku należytą opiekę. Odparła, że nie może i nie ma też nadziei na to, że to się zmieni w przyszłości. Siostra skinęła zgodnie głową. Po czym opowiedziała jej o długich smutkach Gaspara, zapadniętego bezdennie między dwoma wychudłymi rączkami. Nie mogło być na tym świecie dziecka, które stanowiłoby obraz większej rozpacz. Na jego twarzy nigdy nie pojawił się najdrobniejszy gryzmoł uśmiechu. Jedynie nocą, przez sen, chłopczyk rechotał. I był to śmiech, który mroził krew w żyłach. Siostra była jedyną osobą, która w takich chwilach podchodziła do jego łóżka. Siadała u wezglówia i czekała, aż dziecko się uspokoi.

Farida westchnęła w głębi siebie. Słowa siostry zakonnej obudziły w niej stare wyrzuty sumienia. Znowu poczuła ból tamtej nocy, kiedy Romão wziął ją przemocą. Jej nerwy pierzchały przed wspomnieniami.

– Nie wiem, czy twój syn zgodzi się na to spotkanie. Wiele jest dzieci, które w takich wypadkach nigdy więcej nie chcą widzieć swoich rodziców. Powinnyśmy wybadać, co on sobie myśli. Zaczekaj. Pójdę po Gaspara.

Farida się wystraszyła. Poprosiła siostrę, aby tego nie robiła; nie była gotowa na to, aby spojrzeć swemu dziecku w oczy. Wstała i zaczęła zataczać się dookoła, jakby w majakach. Lucia ujęła ją za ręce, przywracając jej spokój.

– Zostaw to, ja z nim porozmawiam. Urządźmy spotkanie jutro. Czekaj na nas przy moście.

Farida przygotowała się do tego spotkania, jakby chodziło o zaręczyny. Wystroiła się w najwyższe troski, wyczesaa każdy włos z osobna. I czekała z ptasim sercem. Mimo to jakieś dziwne uczucie ogarniało jej ducha od pierwszej chwili, gdy się znalazła na miejscu. Zdawało się jej, że zza kotary krzewów po drugiej stronie mostu wyciera w jej stronę jakaś postać.

– Gaspar?

Chciała zawołać: „synku”. Ale nie przeszło jej to przez usta. Nie miała dostępu do tego słowa. Liście krzewów znieruchomiały. Farida zrozumiała, że uległa złudzeniu, nikt w jej stronę nie zerkał. Było już ciemno. Zaczęła się wycofywać, kiedy spostrzegła siostrę.

– Gaspar uciekł z Misji – stwierdziła Lúcia.

Nigdy więcej o nim nie słyszała. Minęło wiele lat, ale dla niej jej syn na zawsze pozostał malutkim dzieckiem, uciekającym przez busz samotności i opuszczenia, wciąż pragnąc tej części jej osoby, która nigdy się nie narodziła. I tylko płakała przez niego mlecznymi łzami. Ściekały białe po jej ciemnej skórze, a kiedy ich dotykała, zaokrąglają się jak małe lśniące słońca.

Nawet teraz, opowiadając mi to wszystko, Farida walczyła ze łzami. Kończyła już swoją opowieść i jej głos brzmiał pewniej.

– Mów dalej – poprosiłem.

Od tamtej pory chciała urzeczywistnić swoje stare marzenie: odejść, udać się w podróż do krainy, która leżałaby daleko od wszystkich miejsc. Kiedy usłyszała, że rozbił się statek, dołączyła do grupy rybaków wyruszających na miejsce katastrofy. Rybacy rozkradli, ile tylko się dało, tak wyładowując swoje łódeczki wszelkim towarem, że aż przelewał się przez burty. A na końcu oznajmili jej:

– Teraz już cię nie weźmiemy. Nie mamy dla ciebie miejsca.

Wymienili człowieka na rzecz. Jednak Faridy to nie zasmuciło. W dziwny sposób poczuła ulgę: to było jak prezent od losu. Po pierwsze, i tak nigdzie na ziemi nie było już dla niej miejsca. Po drugie, po tej pierwszej grupie rybaków już nikt więcej nie zdołał się dostać na rozbity statek. Dookoła piaszczystej łachy nieprzerwanie szybowały w górę fale niczym strażniczki statecznej samotności. To miejsce było dla Faridy jak stacja tranzytowa w podróży do innego życia. Co do jednego nie miała wątpliwości: właściciele statku przybędą tu kiedyś po swoje dobra. Okręt takich rozmiarów, większy niż ludzka osada, na pewno nie zostanie pozostawiony w ten sposób. Jego prawomocni właściciele zjawią się tu i znajdą ją, gotową na wszystkie podróże.

Farida przerwała nagłym milczeniem. Wstała i podeszła do burty okrętu. Wpatrzyła się milcząco w morze. Zrozumiałem, że powinienem do niej podejść. Rzeczywiście, chciała mi coś pokazać. Wycelowała palec w mrok i powiedziała:

– Widzisz tamte cienie? To mała wysepka. Stoi na niej latarnia morska. Już nie pracuje, zmęczyła się. Kiedy znowu zaczną rozjaśniać noc, właściciele okrętu będą mogli znaleźć właściwą drogę. Światło tej latarni to moja nadzieja – gasi i rozpala także moją wolę życia.

Udałem, że dostrzegam wysepkę. Przed moimi oczyma rozpościerały się jedynie czarne żagle nocy. Ale Farida wkładała w swoją nadzieję tyle prawdy, że nie ośmieliłem się jej sprzeciwić. To, co powiedziała na koniec, oddam jej własnymi słowami. Nie potrafię tutaj przepisać jej twarzy, otoczonej płatkami światła, zgodnie ze szczerością księżycy. Farida tak przemówiła:

– Oto moja historia, i sama nie wiem, czemu ci ją opowiadam. Teraz już jestem zmęczona mówieniem. Niebezpiecznie byłoby ciągnąć dalej. Może gubię myśli, może moje wspomnienia mieszają się z twoimi. Uważasz, że bredzę? Posłuchaj, Kindzu: czy wiesz, kto cię tu doprowadził? Nie wierzysz w xipoco? No więc ja się wywodzę z rodu xipoco. Nauczyli mnie tłumić w sobie tę część mojej osoby, tłumić wierzenia, którymi karmiły się kiedyś nasze stare rody. Nie chodzi o to, że w nie wierzę; w duchy. Ja wiem, że jestem jedną z nich, że jestem duchem, który się błąka bezładnie, bo nie wie, gdzie dokładnie przebiega granica oddzielająca nas od was, żywych. Jesteśmy cieniami w twoim świecie, a ty nigdy nas nie słuchałeś. Dlatego że mieszkamy w czeluściach ziemi, jak robak, który żyje w środku owocu. Ty jesteś po zewnętrznej stronie skorupy. Już cię oglądałam z mojej, drugiej strony, ale twoje drogi były pisane wodą, twoje oblicze było z nocnej mgły. To ja cię tu przywiodłam, to ja cię tu wezwałam. Kiedy chcemy, abyście wy, ci ze światłości, do nas przybyli, wtykamy ziarno w sufit świata. Ty byłeś jednym z tych, których posialiśmy; urodziłeś się z naszej woli. Wiedziałam, że przyjdiesz. Czekałam na ciebie, Kindzu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

TWÓRCA RZEK

Muidinga odłożył zeszyty, namysłuchając w myślach. Śmierć starego Sztykieleta prześladowała chłopca jak cień zwątpienia. Nie chodziło o zwykłe odejście człowieka. Bo czy nie przyzwyczajamy się do wszechobecnego rozpadu, nawet do rozpadu nas samych? Ludzie zmierzają ku śmierci, tak jak rzeka zmierza do morza, aby się w nim rozmyć: jedna jej część się rodzi, a równocześnie druga mroczy się już w bezkresie. Mimo to w śmierci Sztykieleta tkwił i narastał jakiś cierń. Wraz z nim umierały wszystkie wioski. Przodkowie byli osierocani z ziemi, żywi tracili miejsce, w którym mogliby uwiecznić swoje tradycje. Nie chodziło tylko o jednego człowieka: znikał cały świat.

Wydawało się, że Tuahirowi obce są te rozterki. Siedzieli obaj w cieniu massaleiry. Wiatr wydawał swoje tchnienia i owoce zderzały się z sobą w rozmnożonej batuce. Pejzaż po raz kolejny zmienił swoje odcienie i kształty. Las był niższy, choć gęstszy.

Wilgoć tężała, gdzieś obok musiał płynąć strumyk. Tego dnia o świcie opuścili autobus, ale chodzili tylko dookoła, aby nie oddalić się zbyt od swojej siedziby. Stary dał znak, że znowu powinni podjąć wędrówkę. Szedł przodem rozanielony jak skowrony. To było w jego stylu; odmierzać twardo chytrymi stopami swoje kociągłe kroki. Jednak tym razem odziany był dodatkowo w znakomity nastrój i wspominał swoje dawne miłości.

– Gdybyś się chciał kiedyś żenić, Muidinga, to znajdź sobie jakiegoś maskarona, z tych, co to inni mężczyźni nigdy nikomu nie zazdroszczą.

Byle nie zrobił tak jak Rafaelão, jeden z jego kuzynów, który wybrał sobie najpiękniejszą dziewczynę w okolicy, a potem raz po raz naznaczał ją najróżniejszymi skazami. Jednego dnia poharatał jej buzię, drugiego oberznął włosy, kiedy indziej jeszcze przypiekl jej skórę ogniem. Zadaniem biedaczki było siać wokół siebie lęk.

– Boże, co za udręka!

– Ano, dzień w dzień miał przez tę babę kupę roboty.

Gdzieś z przodu rozlegają się jakieś hałasy, przerywając im rozmowę. Brzmi to jak ludzkie nagłosywanie, które dobiegają zza niewielkiego wzniesienia. Wdrapują się ostrożnie na górę. Okazuje się, że po drugiej stronie, na zboczu, jakiś człowiek drąży gigantyczny rów, pochodnikując uporczywie w dal. Rów był tak głęboki i długi, jakby ten człowiek stawiał sobie za cel przepołowienie świata.

Krzyczą, prosząc go o uwagę. Z głębi dziury nieznajomy daje im ręką znaki, że mają zaczekać. Sunie pod górę powoli, ociągając się, jakby był węzłem, który szuka własnych stóp. Podeszedłszy bliżej, otrząsa się i stroszy, po czym, ni mniej, ni czemu, podbiega do Tuahira. Ściskają się po przyjacielsku. Muidinga patrzy i nic nie rozumie.

– To Nhamataca. Pracowaliśmy razem w czasach kolonialnych.

Witają się, zaciskając dłonie na kciukach, zgodnie z obyczajem tej ziemi. Starzy przyjaciele siadają, tkając swobodnie rozmowę, wspominając dawne czasy.

– Wiesz, Muidinga? Pracowaliśmy dla jednego pana.

Każdy przywołuje własne wspomnienia, płynące łagodną strugą, i obaj śmieją się nawet z najsmutniejszych chwil. Chłopak przywołuje ich do obecności. Chce wiedzieć, co pchnęło Nhamatacę do tak zapamiętałego kretowania.

– Robię rzekę – wyjaśnia tamten.

Chłopiec i Tuahir się śmieją. Ale mężczyzna upiera się, że mówi poważnie. Tak, tym korytem, tam w dole, popłynie rzeka, wodząca wody ku nieskończonemu morzu. I te wody będą sycić tysiące pragnień, lukrować ryby i ziemie. Będą nią podróżować nadzieje i niespełnione sny. I to będą narodziny ziemi, miejsca, w którym ludzie znowu zdołają schronić swój los.

Był tak pewien swego, że zaczął kopać w podłodze własnego domu. Runęły ściany, zapadł się dach.

Rodzina się wyniosła goniona poważnymi wątpliwościami w trzeźwość jego umysłu. Bliscy uciekli, dalecy się wściekli. Osobnik ten bowiem rzucał wyzwanie bogom, którzy przecież przyszykowali świat, po to aby żywi korzystali z takiego, jaki jest, a nie porywali się na zmienianie kształtu boskiego stworzenia. Ale Nhamataca nie zrezygnował, ryjąc dzień i noc. Parł naprzód, wężując wśród dolin i wzgórz, podczas gdy jego dłonie po tysiącokrotnie zrzucały i odtwarzały skrwawiony i stwardniały naskórek. A teraz, siedząc na skarpie, strzeże jałowo swojej budowli. Wskazuje ręką w dół i mówi:

– Patrzcie, już się pokazuje wodnista smurczeczka.

Ale nie dawało się dostrzec żadnej wody. W piachu na dnie rowu można było najwyżej znaleźć ludzki pot. Mimo to goście nie oponowali.

– A jak ta rzeka się będzie nazywać?

Nada jej imię: Matka-woda. Ponieważ ta rzeka była powołana do tego, aby się stać słodkim, rozwlekłym stworzeniem. Nigdy nie będzie unosić się w gniewie, nigdy nie da się wtopić w ziemię. Jej wody służyć będą jako granice wojny. Ludzie i łodzie wiozący wszelką broń będą iść od razu i bezpowrotnie na dno. Śmierć zostanie zatrzymana na drugim brzegu. Rzeka oczyści ziemię, lecząc i pieszcząc jej rany.

– Nie dziwuj się tak, Muidinga. W końcu Nhamataca wypełnia ten sam los co jego ojciec.

Uzyskawszy od swojego druha pozwolenie, Tuahir przypomina historię o ojcu twórcy rzek. Mężczyzna żył sam, utyskując: „Już wolałbym złe towarzystwo!”. Mieszkał na macie rozłożystej rzeki, tak wielkiej, że obraz drugiego brzegu skraplała w niepomierny drobiazg. Cierpiał, bo samotnemu nie płynie życie należycie. Czy w tym bezmiernym świecie nie pomieszkuje żadna inna ludzkość? Aż pewnego dnia wydało mu się, że z drugiej strony wód dobiega go jakiś głos. Wszystko spowijał syty opar nocy – to była wodna stacja mgieł. Stary wstał i spojrział w dal. Ktoś był tam, po drugiej stronie; dostrzegał zarys człowieczej gestykulki. Po tej stronie ojciec też zaczął pokrzykiwać. Nie zrozumiał ani jednego gryzmoła z tego, co mówił ten drugi. Mimo to odpowiadał gorliwie zalękniony, że odczarowany miraż zaraz zniknie. Wymiana wrzasków powtarzała się przez kilka dni, aż głosy zaczęły się zlewać jeden w drugi we wzajemnych wybuchach, przy czym nie dawało się z tego zrozumieć ani słowa. Stary przez cały dzień wzdychał do chwili, gdy znów będzie krzyżeć. Aż pewnego dnia ten drugi nie stawił się na czas. Przeradzenie zjeżyło staremu smutek na głowie. Cierpiał już przez nadmierne przywiązanie do nieznanego, może kryła się w tym tęsknota za bratem, który się jeszcze nie narodził. Wówczas wywiódł sobie z głowy przecucie: a jeśli w minionych dniach tamten usiłował go ostrzec o jakiejś tragedii, która ma nadejść? A może ten drugi jest chory i potrzebuje przyjaznego ramienia?

Postanowił wtedy zaimprovizować tratwę i pośpiesznie wdał się w budowę. I rzucił się na fale, przecinając wartkie prądy. W środku eskapady pojął, na jak wielką się ważył zuchwałość. A fale wciąż rosły, przekraczając rozmiarem wszystko, co do tej pory widział. Łodzisko nie zdzierżyło rzecznej strugi, która postanowiła sprawdzić, z ilu różg rozbija się

czólno. Woda, poziewując, lądowała już na drewnianym pokładzie. Ojciec Nhamataki nieuleczalnie tonął. W tej samej chwili jednak dostrzegł, że w jego stronę sunie druga łódka. Przyjrzał się uważnie: to była ta sylwetka z drugiego brzegu, która zdążyła teraz na środek wód, śpiesząc mu na ratunek. Chwyciły go mocne ramiona i po chwili wzuł się, całkiem przemoszczony, w drugą łódź. Wtedy właśnie, kiedy już rozwiały się mgła i dal, odkrył, że postać z drugiego brzegu to kobieta, pani gorzejącego piękna. Cała reszta odbyła się w ciszy, jakby w pobliżu nikt nie podsłuchiwał. Miłość, którą się obdzielili, to już sprawa dwóch ludzkich losów, porzuconych na zawsze w zbłąkanej łódeczce.

– Urodziłem się na łodzi, jestem synem wód – uśmiecha się Nhamataca.

I zaraz udziela lekcji: żadna rzeka nie dzieli losów żywych, a raczej je zszywa. Dowodem są jego narodziny. Teraz, płodząc rzekę, Nhamataca spłaca dług wobec czasów starszych niż przeszłość. Może ten nowy nurt, zrodzony z prężnych zamachów jego woli, sprowadzi ponownie sen na tę źle ukochaną krainę.

– Pomożemy ci, Nhamataca.

Dla Muidingi to plan zbyt szalony. Lepiej będzie, jeśli odwrócą się plecami do racji Nhamataki, nie zastanawiając się dłużej nad tym, czy są, czy nie są słuszne. On i stary mają inne cele, nie mogą dać się zwodzić nierealnościom. Tuahir zaprzeczył. Uważa, że powinni pracować ręką w rękę z twórcą rzek. Tuahir miał argument, dotyczący korzyści: a może nowo narodzona rzeka im się przyda? Dzięki niej ich podróż mogłaby stać się krótsza, mniej żmudna.

– Zamiast tkwić w oczekiwaniu na drodze, ruszemy naprzód o własnych siłach.

Muidinga się zgadza. Przez kolejne dni ryją w zwartej ziemi. Nie posuwają się zbyt wydatnie do przodu, bo trafiają wkrótce na głązykowy odcinek. Chłopcu krwawią już dłonie, a w głowie kielkują wątpliwości w sens tak wielkich poświęceń. Stworzyć rzekę? Sprytniejszy jest ocean, który zamiast tłuc się ze skałą, woli ją obejmować. Muidinga znowu zmienia zdanie na temat całego przedsięwzięcia. Rozmawia na stronie z Tuahirem. Unaocznia mu obłęd Nhamataki. Ale jego towarzysz nie daje posłuchu.

– Wybacz, Muidingo. Nhamataca nie jest obłąkany, nic z tych rzeczy. Człowiek jest jak dom: należy go oglądać od środka.

Tej nocy rozpętuje się burza pełna grzmotów, jakich jeszcze nie słyszano. Burza rośnie jak chleb w rozgrzanym piecu. Błyskawice oplatają noc dookoła, dziergając ciemności nagłymi niteczkami światła. Rozpoczyna się rześista ulewa i wygląda to tak, jakby wszechświat się rozpuszczał. Cała trójka gubi się w pędzie, szukając niemożliwej drogi ratunku i schronienia. Chłopak krzyczy, że powinni trzymać się razem. Stają, trzęsąc się, dzieląc się ramionami w komunii nieopanowanego strachu. Nagle Nhamataca sztywnieje i wskazuje na poprzerywaną ziemię. Widać wypełniającą się bruzdę.

– To rzeka, to rzeka!

Nhamataca świętuje te narodziny, jakby to był owoc z jego krwi i kości. Rzuca się pozostałym w objęcia, potem podchodzi do kipiolsńskiej rzeczułki. Wznosi ramiona w górę, prosząc o światło. Chce pieścić swoje rodzące się dzieło. Muidinga i Tuahir wrzeszczą, chcąc przywołać go do porządku, jednak on jest pochłonięty wiwatami na cześć nowo przybyłej. Jego szarpane konwulsjami ciało można dostrzec tylko podczas przelotnych i poszatkowanych chwil-piorunów. Dlatego obraz tego, co się zdarzyło, utrwali się w ich pamięci w formie urywanego łkania – Nhamataca, który spada w nurt wścieklej strugi. Stary usiłuje wraz z chłopcem uchwycić ciało kopacza, ale spiekielniony prąd nasila się wciąż w bezładnej furii. I Nhamataca znika, mieszając się z lamentami pozostałych, z grzmotami nieba i bulgositykiem rzeki, swojego potomka. Tuahir próbuje jeszcze wypatrzeć jego ponownych objawień, jednak wkrótce rozmacone brzegi się rozmywają. Koryto ujednolica się z resztą sawanny, ziemia ucieka w strugę. Jakby jeden człowiek nie mógł stworzyć więcej niż tylko krótkotrwałą rzekę.

Deszcz pada przez cały ranek z takim zapamiętaniem, że Tuahir i Muidinga, sunąc chwiejnie naprzód, trzymają się za ręce, aby się nie zgubić. Słońce wypręża się dumnie na niebie, aby w ramach wielkiej zemsty wyssać w jednej chwili nadmiar wody z sawanny. Ziemia też siorbie ten potop, osuszając nawet najskromniejsze bagienka. Dokonuje się niewiarygodna zmiana scenerii i do władzy wraca susza. Tam gdzie przed wątłą godziną rządziła woda, teraz kurz zacadza powietrze. Słysząc, jak czas skrobie kośćmi o kamienie. W całej sawannie ziemia leży na wznak i nie oddycha. Ogon wiatru zwija się gdzieś w dali. Nawet trawa, która nigdy o nic nie prosiła, nawet trawa wygląda żałośnie.

Muidinga spogląda na otaczający ich krajobraz i myśli. Zginął człowiek, który marzył, i ziemia jest smutna jak wdowa. Tuahir snuje się wkoło, usiłując znaleźć sposób, aby wrócić na drogę. Chłopiec ufa wyrozumieniu się starego na kamieniach, ufa jego uważnemu odczytywaniu listowia. Tuahir umie powitać ścieżynę w miejscu, gdzie nikt inny nie znajdzie nigdy śladu drogi. Busz to jego miasto.

Jednak teraz wydaje się, że dwójka błąka się bez celu. Głód zaczyna prosić o pozytywne rozpatrzenie swojego wniosku. Dzień po dniu zataczają pieszkolistą pętlę. Muidinga zaczyna powątpiewać w nieomylność swego przewodnika.

– Zgubiliśmy się, Tuahirze?

– Zgubiliśmy? Nigdy w życiu, mały.

Namyśla się, przedać rozmowę. Co, do końców końca, znaczy zgubić się? Wielu ludzi, przekonanych, że zdążają we właściwym kierunku, już w chwili narodzin wprowadzonych jest w błąd. I Tuahir coraz taniej przecenia swoją prozę. Być może chce tylko zająć czymś uwagę chłopca, tak by nie brał zbyt serio celu wędrówki. Czas mija, zapada noc. Dwaj wędrowcy kładą się pod gołym niebem. Sen nie chce przyjść do starego.

– Nie śpisz, wujku?

– Nie. Nie mogę zasnąć.

– To przez tego człowieka od rzeki.

– Bzdura. Nawet już o nim zapomniałem. Rzecz w tym, że brakuje mi opowieści.

– Jakich opowieści?

– Tych, które czytałeś z zeszytików. Ta wiermatka małego Kindzu już jakby żyje razem z nami.

– Zostawiłem zeszyty w machimbombo. Ale zdążyłem już przeczytać następny. Mogę ci to opowiedzieć, umiem prawie wszystko na pamięć, słowo w słowo.

– Mów powolutku, tak żebym zrozumiał. Jeżeli zasnę, nie przerywaj. Słucham cię nawet przez sen.

PIĄTY ZESZYT KINDZU

Przysięgi, obietnice, pomyłki

Farida spała w kapitańskiej kajucie, a ja pod gołym niebem, leżąc wśród lin i starych żagli. Karzeł nigdy nie wyszedł z ładowni, strzegąc zdobytych darów. Dziwny przypadek: Farida nie była w stanie dojrzeć tchóti. Nawet gorzej: nie wierzyła w jego istnienie. Pokazywałem jej tam na dole, w głębi ładowni, mroczny, znikomiutki cień karła. Śmiała się, jakby chodziło o jakieś żarty. Zwracałem jej uwagę na hałasy, jakie robił ten mikrus, a ona odpowiadała, że to ocean dudni echem o dno okrętu. Zrezygnowałem z udowodnienia jej obecności tchóti. Zresztą ja sam zaczynałem w nią wątpić. W końcu zszedłem do ładowni, aby się przekonać, czy mikrus jeszcze tam jest. Zawołałem, wzrokiem pozamiatałem, przeczesałem kąty ręką jak gęstym grzebieniem. Zero. Ani śladu karła. Czy Farida miała rację? Czy to możliwe, że ta kreaturka oblekała się w istnienie tylko w moich marzeniach? A może to kolejna sprawka ojca?

Takie mnie prześladowały pytania, kiedy szukałem sobie gniazda do snu. Z miejsca, w którym się rozsypiałem, widziałem niebo, całkiem okrągłe i nagwieżdżone. Podczas jaśniejszych nocy przy pewnym wysiłku dostrzegałem już nawet wieżę latarni morskiej. Z początku nie byłem w stanie dojrzeć wyspy, tylko samą budowlę. Teraz już było inaczej. Widziałem i jedno, i drugie, tak samo jednoznacznie, jak przestałem widzieć karzełka. Wymieniłem się z Faridą złudzeniami? Tam była latarnia morska, latarnia nadziei. Przypominała zebkę, która odpoczywa na jednej nodze. Często zdarzało się, że nie było widać wysepki, na której ją wzniesiono. Fale skrywały skały grzywami piany. Podczas wichury stan morza się zaostczał i zdawało się, że okręt zostanie porwany. Myślałem sobie: „No i ruszamy w drogę, bez celu i bez dowódcy.” Ale okręt tylko zgrzytał ze zmęczenia. Żadna siła nie była w stanie oswobodzić tego wraku. Przejawiał upór podobny do uporu Faridy, tyle że idący w przeciwnym kierunku. Jedno chciało zostać, drugie z całych sił pragnęło ruszyć w drogę. Zdawało się, że nic nie odwiedzie tej kobiety od zamiaru opuszczenia własnej ziemi, porzucenia wszystkiego. Gaspar był jej ostatnią wątpliwością, ostatnią kotwicą.

Przed snem Farida przechadzała się po pokładzie. Błąkała się, spoglądając w mrok. W takich chwilach przypominała mi mojego ojca, który włóczył się po buszu w poszukiwaniu snów.

– Nie siadasz, Kindzu? Okręt się porusza!

Nie poruszał się. Ona jedna czuła, że nasz dom ustępuje przed wiatrem. Pośród tych rozbitych szczątków czas także wydawał się rozbitkiem. Tymczasem ja stawałem się słuchaczem. Za każdym razem kiedy Faridę dotykała ta dziwna gorączka, rozkradająca jej ciało, dziewczyna zaczynała opowiadać swoją historię, plotąc i zaplatając wspomnienia. Słuchałem tak długo, aż zapadał zmierzch. Mój ojciec zwykł mawiać, że w ciemnościach rodzą się nam liczne głowy. Opowieści Faridy sprawiały, że wnikałem w jej przeszłość, jakbym sam pochodził z jej czasów. Póki ciągnęły się wspomnienia, moja towarzyszka nie miała poczucia świata. To ja musiałem zwracać jej uwagę na głód, na pragnienie, na zimno. Jedliśmy i piliśmy to, co dało się znaleźć w okrętowej spiżarni. Było tam jeszcze mnóstwo zapasów. Farida mogła pozostać na statku przez długi czas. I wydawać się mogło, że takie było jej pragnienie. Tak więc opowieści ciągnęły się jedna za drugą, powtarzały się, zamieniały miejscami i mnożyły.

– Słuchasz mnie, Kindzu?

Tak naprawdę zrezygnowałem już ze słuchania. Myślałem o podobieństwach między mną i Faridą. Rozumiałem, co mnie bratało z tą kobietą: oboje byliśmy rozdarci między dwoma światami. Nasza wyobraźnia zaludniała się zjawami z naszych wiosek. Te zjawy przemawiały do nas w naszym rodzinnym języku. Ale my umieliśmy śnić już tylko po portugalsku. A wśród obrazów naszej przyszłości nie było już żadnych wiosek. Z winy Misji, z winy pastora Afonsa, Virgíni, Surendry. A przede wszystkim z naszej winy. Oboje chcieliśmy odejść. Ona chciała odpłynąć ku innemu życiu, ja chciałem zejść na ląd innego życia. Farida chciała opuścić Afrykę, ja chciałem znaleźć nowy kontynent w Afryce. Ale coś nas dzieliło: ja nie miałem siły, którą ona wciąż dysponowała. Nigdy nie byłbym w stanie się wycofać, odwrócić plecami. Cierpiałem na chorobę wieloryba, który umiera na plaży ze wzrokiem utkwionym w oceanie.

Pewnego razu podeszła do mnie z powagą. Położyła swoje dłonie na moich i pozwoliła spływać milczeniu. Potem mnie poprosiła:

- Kiedy stąd odejdziesz, chcę, żebyś odszukał mojego syna. Muszę zabrać z sobą Gaspara.
- Nie mogę, Farido. Kiedy stąd odejdę, chcę odszukać naparama.
- Nigdy nie znajdziesz tych swoich naparama. Zapomnij o tym.
- Nie mogę.

– Nie rozumiesz, że ci ludzie to też dzieci wojny? Kiedy zwyciężą, staną się tacy sami jak inni. Będą chcieli dzielić się między sobą zyskami.

- Zamknij się, nic nie wiesz o tej wojnie. Ty chcesz uciec, nie masz w ogóle prawa głosu.

Farida się obraża. Przez resztę dnia mnie unika. I ja również trzymam się z dala. Ta kobieta podeptała najwyższą z moich aspiracji. Potrzebowałem wiary w to, że istnieje jakiś szlachetny cel, powód, dla którego warto było się poświęcać. Farida nie miała prawa brukać tej wiary. Jednak po pewnym czasie rozważyłem rzecz ponownie: szukając naparama, równie dobrze mogłem też szukać Gaspara. Nie warto było rozpalać sprzeczki na tak niewielkiej przestrzeni. Podeszedłem do Faridy i spytałem, tak jakby mi na tym zupełnie nie zależało:

- Gdzie mogę znaleźć twojego syna?

Farida się zdumiewa.

– Naprawdę chcesz odszukać mojego chłopca? – pyta. Jej dłoń spoczywa na moim ramieniu. – Poczekaj, jeszcze nie odchodź! Lepiej ruszyć w drogę, kiedy będzie księżycowa noc, tak aby twoje czoło nie wpadło na skały!

Powtórzyłem pytanie, jakie powinienem przetrząsnąć strony, aby odnaleźć jej syna. Udała, że się zastanawia. Minęło ponad piętnaście lat od czasu, gdy zaniósła swoje dziecko do Misji. A może powinienem odszukać ciotkę Euzinhę? Kto wie, może jest tam jeszcze Virgínia? Może jest w Misji? Nie, do Misji nie warto było iść, Gaspar na pewno tam nie wrócił. Ostatecznie miałem spróbować wszystkiego i wszędzie. Tak czy inaczej, chłopiec nie mógł tak po prostu zniknąć.

– Szukaj tak, jak ci głos w piersi podpowiada. Tylko obiecaj, że wrócisz z moim chłopcem.

Obiecałem. Zaczę poszukiwania, gdy tylko dotrę na ląd. Mimo to czułem, że toczy się we mnie wojna dwóch chęci: jedna część mojej osoby pragnęła, aby Farida już nigdy nie odnalazła syna. W ten sposób pozostałaby tutaj, a ja nie straciłbym jej towarzystwa. Druga część mojej osoby chciała zasłużyć na jej uczucie. Odzyskanie Gaspara byłoby triumfalnym sposobem na zdobycie względów dziewczyny. Później jednak zacząłem wątpić, czy ona zasługuje na moje przysięgi. Jej opowieści bowiem pogrążyły się w coraz większym zamęciu. Mawiała i odmawiała. Pewnego razu, kiedy próbowałem poruszyć kwestię jej syna, spytała mnie zaskoczona:

- Mój syn? Jaki syn?
- Twój syn, Gaspar!

Minęła dłuższa chwila, nim sobie przypomniała. Jak to więc było, straciła nagle pamięć tak od stóp do głów? A może całą historię wyssała z palca? Od tej pory postanowiłem nad każdą jej wypowiedzią wysoko unosić brew. Farida rozmnażała się w Faridy. Aż nadeszła taka noc, kiedy z gorąca przewalałem się bez końca po żaglach. Wyblądziłem się gwałtownie ze snu. Usłyszałem jakieś hałasy. Zbliżała się do nas niewielka łódź motorowa. Farida przybiegła, krzycząc w roztrzęsieniu:

- To oni, przypłynęli po mnie!
- Jacy oni?

Farida nie odpowiedziała. Chwyciła mnie za rękę i zaczęła błagać o obronę. Ale nie musiałem nic robić. Bo nagle rozbuchała się gigantyczna burza. Łódeczka przybyszów nie zdołała dobić do naszego statku. Próbowali kilkakrotnie. Jednak po pewnym czasie zrezygnowali i wycofali się w głąb ciemności. Spytałem znowu:

- Kto to był, Farido?
- Oni chcą mnie zabić, Kindzu.

Mord? A motyw jaki? Mało mi się to zdało zdarzliwe, to chyba kolejny majak tej kobiety. Tym razem jednak jej zachowanie naprawdę mnie zdumiało, tak było przepokonujące. Zamknęła się w swojej kajucie, prosząc mnie, abym miał baczenie, czy tamci nie wracają. Wszedłem na pokład, moknąc po oczodoły. Deszcz redagował swoje tłuste krople, wahające się między spadaniem a eksplozowaniem. Chmury rozprychały się łokciami bez żadnego zmiłowania. Ostatecznie mogłyby wpadać na siebie, a potem przeprosić i ruszać dalej, każda w swoją stronę. Ale nie: gryzły się; to spluwały błyskiem, to warczały niebiesko. Czy możliwe, że to po ludziach dziedziczyły ziemiańskie nerwice?

Te chmury uzmysłowiły mi, ile dni minęło od czasu, gdy trafiłem na ten zmieliźnięty okręt. Miałem już dość samotniczenia. Faridzie to wyczekiwanie nie przeszkadzało zupełnie. Wielokrotnie ją prosiłem:

- Chodź, wrócimy razem na ziemię.

Dlaczego nie chciałem, żeby ruszyła w swoją podróż? Dlaczego ból sprawiała mi myśl, że ktoś mógłby po nią przybyć i zabrać ją w zupełnie obce krainy? Czy to możliwe, że już tak bardzo zakochałem się w tej kobiecie? Czy też po prostu czułem zazdrość, wiedząc, że ja sam z nią nie mogę wyruszyć, aby rzucić tę obłąkaną krainę? Kto wie, może bałem się poddać temu pragnieniu dali, identycznemu jak to, które dręczyło Faridę? Ostatecznie, tutaj, w rześistej ulewie, trzymając wartę przeciw mglistym napustnikom, tylko udawałem, że chronię Faridę. Tak naprawdę to ona mnie chroniła, to ona rządziła duchami tego okrętu. Jedyne mój duch – karzeł – już zginął.

Jedno stawało się pewne: stopniowo przywiązywałem się do jej obecności. Nigdy dotąd nie tknąłem kobiety. Ziemskie, rzeczywiste kobiety napełniały mnie przerażeniem. Farida przeciwnie, ona była prawie nierzeczywista, ona się śniła, a ja rozkoszowałem się tym mamieniem, którym ją sam nasycam. Ale im bardziej rozpalało się moje uczucie, tym bardziej czułem, że powinienem odejść. Moja misja była inna. I choćby opadło mnie nie wiem jak wielkie zwątpienie, nie potrafiłem zapomnieć, jaki był mój początkowy cel: stać się naparama, wojownikiem sprawiedliwości. Farida odzierała mnie z odwagi podróży, odzierała mnie z sił potrzebnych do powzięcia decyzji. Z każdym mijającym dniem moje serce upodabniało się do tego statku. Utkwiłem w tej kobiecie, tak jak rozrzeniowane żelastwo statku tkwiło w piaszczystej łasze. Jeżeli chciałem pozostać panem siebie, nie mogłem już dłużej zwlekać, powinienem natychmiast ruszać w drogę. Zszedłem do ładowni, tylko po to aby rozładować pamięć o karle. A jeśli istniał naprawdę? Moja niepewność przybrała jeszcze na sile, kiedy po jednej stronie ładowni dostrzegłem paczki i skrzynki spiętrzone w niewysokie stosiki, jakby zostały ułożone przez dziecko. Zawrzeszczałem, zawołałem. Otrzymałem odpowiedź nijaką. Uparcie powtarzałem swoje, ale cisza była bardziej uparta. Farida miała rację. Na statku nie było nikogo poza naszą dwójką.

Wyszędłem z ładowni i wciągnąłem słone powietrze głęboko do płuc. Był wrzesień, miesiąc, który wzywa ludzi przejściowych. Wiatr dmuchał, na przemian przynosząc i zabierając ciepły deszcz. Nagle kapitańska budka rozpalila się i xipefo wymalowało światło słodkimi smużkami. Dostrzegłem za firankami ciało Faridy. Brała kąpiel. Czy ta kobieta wśród konturów ciemności i światła oblewała się wodą czy jasnością? Podeszedłem do luku i zajrzałem, niczym się nie kryjąc. Farida spostrzegła mnie, obróciła się w moją stronę i skinęła zachęcająco ręką.

Wszędłem zawstypocony, płonący od zamiarów. Zbliżyłem się do niej krokwołutku, jakby miała mi powierzyć jakiś nielegalny sekret. Wyprostowała się i stanęliśmy twarzą w twarz. Patrzyliśmy na siebie, jakby jedno rozpoznawało w drugim jedyną istotę na ziemi. Siebie samego mogłem zapewnić: nie starczyłoby całego życia, aby zgłębić te oczy. Jeżeli w jej oczach drzemały popioły, rozpalily się teraz w żar. Jeden z moich palców zaczął wnikać w kącik jej ust. Najpierw dotknąłem jej zębów, potem poczułem jej ślinę. To była gorąca ślina, zdawało się, że nie tylko palec, ale ja cały penetruję rozgrzaną jaskinię. Drugi palec powędrował w jej wnętrza, nerwowo z zachwytem. Na zewnątrz rozdofalowany ocean kipiał, ciskając piany. Wiatr dmuchnął jeszcze gniewniej, fale zaczęły zmiatać wszystko bez żadnego szacunku. Nawet tam, w schronienie naszej kabiny, sięgała woda. Nie zwracaliśmy na to uwagi. Cały świat zniknął i ocean nie miał już znaczenia. Mokre dłonie Faridy rozpięły moje ubranie. Wydawało się, że palce ma z wody. Legła, rozlewając się na żelaznej podłodze. Skleiliśmy się ruchami topielców. Fale obmywały nasze ciała, przychodząc i odchodząc. Nasza dwójka była już tylko jednym, wynurzając się jak wyspa z bezkresnej nicości.

Potem rozszczepiliśmy się zmęczeni. Ona drżała, cała zmoczona. Podeszła do xipefo i owinęła się w koc. Ja, wyczerpany, pozostałem na ziemi, śledząc każdy jej ruch. Ile mogła mieć lat? Albowiem Farida dawała jak kobieta, brała zaś jak dziewczynka.

– Musisz ruszać w drogę, Kindzu.

Nie rozumiałem. Przedtem prosiła mnie, abym zaczekał na księżycową noc. Teraz uprzedzała księżyc. Poza tym to ja powinienem obwieścić moje odejście. Jak mogła zarządzać naszym rozstaniem?

– Ruszam. Ale ty idziesz ze mną, Farido.

Odmówiła. Nie może porzucić tego okrętu.

– Ale to wrak, Farido. Tu jest tylko wieczne kiedyś, tu tylko woda rozpała ogniki nadziei.

Była nieprzejeđnana.

– Tu jest moje gniazdo, Kindzu. I jestem pewna, że kiedyś tu po mnie przybęda. Tak wielki okręt na pewno nie zostanie zapomniany. Jego właściciele zjawią się tu, aby go odholować, a ja zabiorę się razem z nimi. Daleko, bardzo daleko stąd, Kindzu.

Zakląłem. Wiedziałem, że niedostatek mami się wybujałością. Prawdą jest, że najlepsza kryjówka dla żywego to środek pogrzebu. Jednak w jej rojeniach nie było krzty zgodności. Tak wielka ułuda była dla mnie nie do przyjęcia. Krzyknąłem zrozpaczony:

– A ja ci mówię, że tu umrzesz, zgnijesz w samotności!

Odwróciła się z wściekłością. Moje argumenty nie trafiały do niej. Wydawało się, że odpowie stosownym tonem i słowem. Ale ona wciąż stała jak onieruchomiła w tym niezwykłym zasłupieniu, do którego tylko kobiety są zdolne. Potem podeszła do mnie szulona:

– Nadszedł czas, a ludzie byli każdym z osobna. To wszystko, Kindzu.

– To jest właśnie kraina, której szukasz, Farido. Innej nie ma.

– Nie rozumiesz, Kindzu. Ja chcę odejść. Chcę żyć.

– A twój syn? Zostawisz go tutaj?

Myślałem, że to będzie druzgocący argument. Pomyliłem się. Już mnie nie słuchała. Opuściłem z rezygnacją głowę. Chciałem sobie skrócić papierosa, ale bibułki były zamknięte. Zmiałem peta i cisnąłem go na ziemię, jakbym trzymał w palcach własną wolę.

Farida nie rozumiała: umiałem żyć tylko w spokoju płomienia, w cieniu śmiertelnej miłości. Musnęła mnie gestem, czuła, matczyne. Spytałem, czy ma jakieś polecenie, jakąś wiadomość, którą powinienem zabrać z sobą na ląd. Zamieniła dwa słowa z ciszą, po czym szepnęła:

– Ja, niech Bóg mi zapomni, proszę tylko o jedno: żeby mój syn już nie żył.

– Nie mów takich rzeczy. Co to ma znaczyć, kobieto?

– Kindzu, myślisz, że mogłabym źle życzyć własnemu dziecku? Po prostu zaczyna mi się wydawać, że lepiej być martwym, niż tutaj żyć. Poza tym to są przecucia, sprawy matczyne, nawet ty ich nigdy nie zrozumiesz.

– Obiecałem, że odszukam twojego chłopca. I tak właśnie zrobię, Farido.

Uśmiechnęła się, nie jestem pewien, czy z wdzięcznością. Może bawiła ją moja naiwność. Poprosiłem, aby mi obiecała, że zaczeka do mojego powrotu. Odpowiedziała mglistym skinieniem głowy. Nie odpuściłem:

– Wróć z twoim Gasparem. Obiecujesz, że będziesz na mnie czekać?

– Obiecuję. A teraz idź już, Kindzu. Połóż się spać, bo wczesnym rankiem rozpoczynasz swą podróż.

Odszedłem, aby położyć się w moim zakątku. Farida nie chciała, byśmy spali razem. Kto śpi wtulony w drugiego, traci duszę, mawiała. sny nie potrafią odnaleźć swoich prawowitych właścicieli, kiedy mężczyzna i kobieta śpią spleceni. Tak więc ukołysałem się w samotności, usiłując utulić własne zmęczenie. Na próżno. Już świtało, a ja wciąż nie usposobiłem się do snu. Dopiero kiedy błysnął dzień, zaczęły mi opadać powieki. Patrząc, jak rodzi się światło, uzmysłowiłem sobie, że do tej pory ani razu nie zwróciłem uwagi na rozgwieżdżanie się dnia. W istocie pożegnałem się ze światłem na plażach mojej wioski. Pełznąąc na brzuchu przez koleiny lata, zostawiłem słońce w sawannie czasu. Dzień, mokry, niemal płynny, kiełkował z przepastnych wód Oceanu Indyjskiego. Wzniósł się w niebo z wszechwładnością tego, co ostatnie. A ziemia ukazała się naga, wspominając w oddali swoje narodziny z krwi i księżyca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SĘDZIWE PROFANKI

W drodze powrotnej do machimbombo Muidinga prawie niczego nie poznaje. Krajobraz nie ustaje w swych niestrudzonych przemianach. Czy możliwe, że ziemia – ona sama – błąka się wśród omyłek? Jednego Muidinga jest pewien: to nie roztrzaskany autobus się przemieszcza. Pewien jest też jeszcze czegoś: droga nie porusza się przez cały czas. Robi to tylko wtedy, gdy Muidinga czyta zeszyty Kindzu. Nazajutrz po każdej lekturze jego oczy otwierają się na inne obrazy.

Muidinga już nie domaga się wędrówek po okolicy. Tylko Tuahir pragnie rozmywać się nogami po buszu. Jego pretekst to woda: trzeba ją znaleźć, zmagazynować porządną jej ilość. Tego ranka występuje z tym wcześniej niż zwykle:

– Idziemy!

– Ja zostaję, wujku.

– Nawet o tym nie myśl. Nikt tutaj nie zostanie. Jeżeli nie chcesz mi towarzyszyć, pójdziesz w innym kierunku. Ale tu nie zostaniesz.

Czy warto było się spierać? Muidinga godzi się zatem na samotną wędrówkę ścieżkami zwierząt. Tuahir rusza w przeciwną stronę. Wszędzie tam gdzie przechodzi chłopiec, trawy rozrastają się bezkończenie w mozambiku⁵ zieleni. Oczy Muidingi chłopięcą się na widok drzew. Dookoła nie ma już niczego, co przypominałoby wynędzniałą sawannę. Teraz kwiatami busz bucha. Przez tę wojnę ścieżynki odzwyczyły się od swych służbowych powinności. Z kolei trawy nabrały pewności siebie, pokrywając sobą wszystko dookoła. Nagle drzewa wstrzymują się na prześwicie i rozpościera się pole obsiane nędzą: kukurydza, meixoeira, odrobina sorgo.

Muidinga zawiesza spojrzenie. Miał przed sobą pewną manifestację ludzkiej woli, nawet jeśli była ona uboga. Przez chwilę wdycha zapach uprawnej ziemi, aż w końcu z głębi krajobrazu dobiegają go jakieś głosy. To kobiety zbliżają się ze śpiewem. Trzymają w rękach gałęzie i uderzają nimi o ziemię. Wzbija się kurz i może to dzięki temu na razie nie dostrzegają chłopca. Na przedzie idzie staruszka, przygarbiona i odyszana. Muidinga krzyczy, chce zwrócić na siebie uwagę. Podnosi się wrzawa. Najpierw kobiety wpadają w popłoch, potem stają w półkolu, zołzując się na wrywki. Zaciekawiony Muidinga podchodzi bliżej. Nagle ruszają ku niemu pędem. Chłopak tkwi nieruchomo w miejscu. Jakiś głos w środku ostrzega go:

– Muidingo, uciekaj!

Ale on ani myśli go słuchać. Uciekać przed gromadą tak podeszłych dam? Staruchy otaczają go już zwartym kręgiem. Krzyczą coś w języku, którego nie rozumie, ale wydaje się, że poświęcają mu arcygorzkie obelgi.

5 Mozambik to nazwa zarówno kraju, jak i afrykańskiego tańca.

Najstarsza podchodzi i z niespodziewaną siłą bije go w twarz. Muidinga opanowuje emocje, wahające się między lękiem i wściekłością. Jego strach był przygotowany na wyjątkowe sytuacje, lecz nie na starcie z tak sędziwą, a w dodatku samiczą agresją. Wszystkie kolejno robią krok do przodu i wymierzają mu ciosy. Biją go kijami, suchymi gałęzmi, ciskają w niego piachem, kamieniami, ziemią.

– Matki, dlaczego mnie bijecie?

Ale one nie rozumieją jego języka. A wskutek braku porozumienia wściekłość kobiet bucha jeszcze głośniejszym płomieniem. Ręce i nogi kłębią się, prąc na wrywki do bitki, wrzaski i śmiechy wiją się z żądzы uwłaczania mu. Chłopiec jest upokorzony. Oczy mu się zaraz rozpuszczają, jest bezbronny jak zwierzak wyciągnięty z nory.

– Nie bijcie mnie więcej, proszę was!

Wtedy najstarsza staje okrakiem nad jego powalonym ciałem i jednym szarpnięciem zrywa z siebie kapulane. Ukazuje się zużyte ciało, pomarszczone aż do kości, piersi obwisłe niczym zdechłe sakiewki. Kobieta wrzeszczy, wylizuje samą siebie ogarniętą niespodziewaną rozkoszą. Wkłada sobie rękę między nogi i opada na chłopca. Po czym zaczyna ocierać się o stłamszonego Muidingę, bardziej gorliwie niż pożądlіwie. Pozostałe kobiety wtórują jej oklaskami i xiculunguelo. Wszystkie po kolei ściągają ubrania, łachmany i worki, w które były okutane. Są już nagie i tańczą wokół niego w obłędzie. Najstarsza wciela pełniej w czyn swoje zamiary, szarpiąc genitalia chłopca z takim zapamiętaniem, jakby chciała wyrwać z niego duszę. Muidinga nie chce nawet pojąć tego, co się dzieje: padł ofiarą jawnego gwałtu. Pierwsza zaspokaja się, wyuzdana i wysmarowana. Po niej przychodzą kolejne, piętrząc wciąż od nowa stos ciał i nóg.

Chłopiec nie wie, czy stracił przytomność, czy to świat zawirował szybciej niż obłąkane kobiety. Wie tylko, że wypływa z ciemności i że światła migocą, a przez te światła łzawi niebo. Zarysowuje się postać Tuahira, który zaciąga go w cień.

– Co się stało? – pyta Muidinga.

Tuahir się uśmiecha. I tłumaczy mu po ojcowsku. Stało się to, że te kobiety odprawiły święty obrzęd przeciwko szarańczy trzebiącej pola uprawne. Miały ją przepędzić, zdjęć zły urok z plantacji. Pojawienie się intruza pogwałciło nakazy tradycji. W tym obrzędzie nie może uczestniczyć żaden mężczyzna. Żaden. Nigdy.

– Rzecz w tym, że to nie jest zwykła szarańcza. To jest czyjaś szarańcza.

To mówiąc, Tuahir wskazuje na pola, gdzie ławice szarańczy jak chmugury przeżuwają świat. Ta wątła zieleń znika kęs po kęsie.

– Idziemy do machimbombo.

Muidinga pozwala staremu zanieść się na rękach. Dobrze mu z tą bezradnością, zapomina o śladach brutalnych uścisków na ciele. Ale jest tak obolały, że Tuahir kładzie go w starym machimbombo na ławkę. Chłopiec pojękuje, podczas gdy Tuahir podgrzewa mu herbatę.

– Masz, pij. Musisz nabrać sił, bo zaraz się zabierasz do tych zeszytów. Wiesz, których.

– Nie wiem, czy dam radę, wujku.

– Dasz. Czytaj, tak jak stary Sztykielet. Raz jedno oko otwarte, raz drugie.

SZÓSTY ZESZYT KINDZU

Powrót do Matimati

Farida nadała mojemu życiu nowy smak. Przedtem ztracałem się w samozadowoleniu, całkowicie pozbawionym prawdziwego szczęścia. Po poznaniu Faridy stałem się odnajdywalny, dostrzegalny w samym sobie. Wielokrotnie brałem pod uwagę ryzyka tej miłości. Żadne z nas nie mogło liczyć na zbyt wiele: tak samo jak ona byłem tylko zapomnianym przechodniem w prywatnej podróży. Ale Farida mnie uciszała, kładąc mi na wargach uśmiechnięty palec. Lękałem się jej niewinności: nie umiała żyć. Została przygotowana do innego świata, świata ładu i umiarkowania. Kraj się zmienił, a ona była bezradna.

Nie miała do kogo się uciec. Ja czułem się tak samo, jednak jakby w inny sposób. Być może dlatego że nie miała syna, nie miała nikogo. Z kolei moją jedyną własnością był strach. Tak, opuściłem moją małą miejscowość, po to aby uciec przed strachem. Ponieważ to uczucie obezwładniało mnie już bez reszty: ze strachem przechadzałem się po ulicy, spałem ze strachem w domu. Kto żyje w strachu, pragnie sobie znaleźć jakiś drobny świat, świat, który mógłby kontrolować. Nasz świat – mój i Faridy – miał teraz rozmiary jednego okrętu. Dla mnie pobyt na nim był tylko przejściową chwilą. Dla Faridy – ostatecznym spełnieniem się losu.

Moja towarzyszka prawie zupełnie nie wypowiadała się na temat realiów bieżącego życia. Dla tej fantagorycznej kobiety wszystko działo się w pozawidzeniu. Tylko jeden jedyny raz rozdrapała temat wojny. Spytała mnie, tak jakby mieszkała w jakimś innym kraju:

– Czy ta wojna się kiedyś skończy?

Skinąłem twierdząco głową. Ale moje serce aż zmalowało od ściskurczów. Farida chciała wiedzieć więcej: chciała wiedzieć, jakie były motywy tej wojny, co spowodowało tę niekończącą się defiladę walk. Przypomniałem sobie słowa Surendry: musi być wojna, musi być śmierć. A po co to wszystko? Po to aby uprawomocnić kradzież. Albowiem dzisiaj żadne bogactwo nie rodzi się z pracy. Tylko rozbój umożliwia posiadanie. Śmierć była potrzebna do tego, aby zostały zapomniane prawa. Teraz, kiedy chaos był już wszechobecny, wszystko stało się dozwolone. A winny będzie zawsze ktoś inny.

– Wojna może się skończyć w kraju, Kindzu. Ale w nas samych nie skończy się nigdy.

Farida nie mówiła więcej o wojnie. Wyglądało na to, że nie ma siły mierzyć się z popełnianymi w dali mordami. Po prostu tamowała w sobie ten rozdźwięk, lęk, który odbierał jej pokój ducha. Bo marzyła właśnie tylko o tej odrobinie spokoju. Kiedy nadszedł wreszcie moment pożegnania, poprosiła mnie:

– Tam, w Matimati, nie wspominaj nigdy mojego imienia. Oni mnie nienawidzą.

Dopiero kiedy siedziałem już w czółnie, wiosłując w stronę ładu, pojąłem w pełni powód mojego powrotu na brzeg. Chciałem zgasić ogień, który pożerał tę kobietę. I to nie była nawet wspaniałomyślność. Musiałem ratować Faridę, ponieważ ona ratowała mnie przed znikomością istnienia. Wreszcie znalazłem kogoś, kto nie tkwił w tym bagnie, w którym wszyscyśmy ugrzęźli, kogoś, kto zachował nadzieję, choćby i obłąkańczą. Farida miała przynajmniej wysepkę z nieosiągalną latarnią morską, miała tę łódź, która kiedyś przybędzie z miejsca, gdzie żyją anielauci.

Dostrzegłszy plażę Matimati, przekonałem się, w jakim stopniu same nasze oczy stanowią o pięknie. Mój stan zakochania przydawał zdewastowanej ziemi nowego blasku. Te obrazy

stawały już w przeszłości przed moimi oczami. A jednak teraz wszystko wydawało mi się pełniejsze kolorów w tym wielkim nagromadzeniu piękna. Zszedłem na ląd, nie wiedząc, gdzie powinienem rozpocząć moje poszukiwania. Tym razem na plaży nie było już tylu ludzi. Tłum się gdzieś rozproszył. Czy to z powodu pogroźek władz? Ruszyłem boso ścieżynką tak wąską, że nawet dwa węże nie miałyby tam miejsca na amory. Miasteczko było mniejsze, niż się przedtem zdawało, domy miały tu mniej ubytków niż te w moich stronach. Dawał się jednak zauważyć nadmiar uchodźców. Spali na chodnikach i na ulicach. Wszędzie widać było ciała, które się przeciągały ku słońcu.

Krążyłem zbłąkany i spowolniony. Od czego powinienem zacząć, aby dotrzeć do syna Faridy? Od odszukania siostry Lucii? Nie, ona by wiele nie pomogła. Chłopiec opuścił Misję i ruszył w busz. Pożyteczniej byłoby odnaleźć ciotkę Euzinhę, ona знаła ścieżki, którymi chodził Gaspar. Ale gdzie mogła teraz przebywać Euzinha? Czy jest wśród tych uchodźców, na ulicy? Czy też wytrwała na wsi, w swoim rodzinnym domu? Postanowiłem niczego nie rozstrzygać, aby odpowiedź przyszła sama. Miałem czas. Farida obiecała, że nie opuści statku, dopóki nie przywiozę jej wiadomości o jej synu. Nawet gdyby zjawili się ludzie, pragnący odzyskać statek, miała na mnie poczekać. Wymieniliśmy przysięgę za przysięgę.

Miasteczko leżało na zboczu wyschniętego wzgórza. Piąłem się ulicą, która wylegiwała się na stromiznie jak długaśne jaszczury penembe. Chroniły mnie cienie wyciszonych akacji. Nagle przestrach: krzyki z różnych stron i form. Z góry z przybliżoną prędkością nadjeżdżał wózek inwalidzki. Na nim mocno zatroskany mężczyzna, usiłujący kierować nie pojazdem, lecz drogą. Toteż i wózek w powietrze śmibryknął, ciało wózkowicza poleciało w przestwór, udając się pod adres wiele metrów dalej. Pomogłem nieszczęsnemu wstać i otrzepać się z kurzu. Zdziwiłem się, stwierdzając, że nie jest kaleką. Jeszcze bardziej się zdumiałem na widok jego twarzy: to był Antoninho, pomocnik ze sklepu Surendry! On także się zdumiał, rozpoznając mnie. Wymieniliśmy zaraz mnóstwo jak i kiedy.

– Antoninho?! A gdzie Surendra?

– W sklepie.

– W sklepie? Ma nowy sklep?

Potwierdził. Poprosiłem go, aby mnie tam zaprowadził. Ale przedtem Antoninho musiał zwrócić wózek inwalidzki. Ruszyliśmy w górę zbocza, pchając wózek przed sobą. Antoninho wskazał człowieka, który czekał na nas, siedząc na kamieniu na szczycie wzgórza.

Zdumiałem się: to był Assane, były sekretarz administratora, ten, który opowiedział mi historię Matimati.

– Znasz go? To towarzysz⁶ Assane. Jest teraz nowym współnikiem Surendry. Jest także właścicielem tego oto kolejowego krzesła.

Kiedy wspinaliśmy się na górę, Antoninho tłumaczył mi: Assane wynajmował wózek w celu zapewnienia rozrywki personelowi. W ten sposób przydrabiał sobie nieco pieniędzy.

– Tak to się teraz żyje!

Witając się z Assane, nie mogłem opanować podziwu. Kiedy widziałem go po raz pierwszy, był półcieniem człowieka. Dzisiaj miałem przed sobą wielkiego, możnego męża. Wiedziałem, dlaczego jego ciało jest tak odnożone. Ale kiedy zobaczyłem, jak potężnego jest teraz wzrostu, tym smutniejsze mi się zdały jego jałowe beznoża.

– Mój wózek w należyтым stanie?

– Jak najbardziej, towarzyszu Assane. Proszę spojrzeć: ni jednego zadrzaczkę.

6 FRELIMO, główna organizacja polityczno-militarna Mozambiku, która najpierw prowadziła walkę wyzwolenczą z portugalskimi władzami kolonialnymi, a po uzyskaniu przez kraj niepodległości w 1975 roku wojnę domową z narodową partyzantką RENAMO, ma – co typowe dla wszystkich byłych kolonii portugalskich w Afryce – charakter lewicowy i czerpie z ideologii marksistowskiej, a czasem maoistycznej. Stąd powszechnie używany w Mozambiku i Angoli (zarówno w życiu politycznym, jak codziennym) zwrot „camarada” („towarzyszu”).

Assane dokonał wnikliwej obdukcji pojazdu. Potem, zwracając się w moją stronę, rzucił:

– No i co, w końcu wróciłeś?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, zapytał mnie, czy nie chcę wypożyczyć wózka. Odmówiłem. Powiedziałem, że chciałbym się spotkać z jego współnikiem, Hindusem Surendrą Vala. Assane odparł, że Hindus mieszka z nim, w jego domu, w dość

odległej dzielnicy. Poleciał mi zejść do nich wieczorem.

– A skąd mam wiedzieć, gdzie towarzysz mieszka?

Antoninho zabierze mnie z plaży. Pomocnik sklepowy wskaże mi bezpieczną drogę, wolną od strażaków i napadów.

Wieczorem zrobiłem sobie posłusznie popas na plaży, czekając na Antoninha. To był czas wypalania lasów: wszędzie widać było czerwonawy mech księżycyca.

Spojrzałem na morze i księżycowe tysiądblaski rozpały mi oczy. Ocean. Dlaczego ku niemu się wciąż uciekałem, skoro jak dotąd jego wody przynosiły mi tylko cierpienie? Być może tam, pośród tak wszechobecnej suszy, ocean był niczym źródło, które przynosi i zabiera wszystkie moje sny.

Ludzka ciżba piętrzyła się na całej plaży. Niekończący się szereg ognisk oświetlał oblicze ciemności. Słychać było bębny, cienie kołysały się jak fale na piasku. W dalszym ciągu odprawiano obrzędy, które miały za zadanie wywołać kolejne morskie katastrofy. Ludzie przyzywali nadprzyrodzone moce, aby wylądowane darami okręty wbijały się brzuchami w skały podczas odpływu. I żeby się wybrzuszały w podwodnym porodzie, wydając paki i skrzynie na piaszczyste brzegi. Dałby Bóg biedakom chociaż jedno oby! Spoglądali na mnie nieufnie, ale też nie poświęcali mi nadmiernej uwagi. Wspomniałem mojego ojca i jego nieodmiennie gorzkie słowa: „Jesteśmy teraz żebraczym narodem, nie ma dla nas życia i w grobie”. Jakbym wciąż to słyszał: „Ale ty, mój synu, nie bierz się za odmienną przeznaczenia”.

Wyszło na to, że sprzeciwiłem się jego rozkazom. Czy chodziło o naparama czy o syna Faridy, nie pozwalałem, aby czas osiadał na laurach. Kto wie, może spełniałem się jako ten, którym w istocie zawsze byłem: jako marzyciel wspomnień, wynalazca prawd. Lunatyk, wędrujący przez ogień. Lunatyczny tak samo jak kraina, w której przyszedł na świat. Albo jak te ogniska, między którymi torowałem sobie drogę przez piachy.

Odgłosy sprzeczki przywołały mnie do teraźniejszości. Ludzie na plaży tłoczyli się w kolistym skupisku. Kiedy się zbliżyłem, rozstąpili się z szacunkiem. Jakiś rybak, najwyraźniej pan sytuacji, spytał mnie:

– Chce pan zobaczyć?

– A co takiego?

Podszedł do nas chłopak z puszką w ręce. Jako że nawet nie drgnąłem, potrząsnął puszką. Rozległ się brzęk monet. Rybak się wtrącił:

– Zostaw go, on nic nie płaci. To nasz gość.

I wtedy zobaczyłem: na piasku leżała kobieta o bardzo jasnej skórze, całkiem naga, z twarzą zakrytą długimi włosami. Obok niej ktoś postawił talerz z rybą i puszkę z wodą. Obraz, dryfując między chmurami i księżycem, raz się przede mną pojawiał, raz znikał, jakby mi się oczy jąkały. Tłum zbijał się w kolistą „ooo!”. Nikt nic nie mówił, tylko ja spytałem:

– Kto to jest?

Rybak zaczął opowiadać: dopiero co znalazł tę kobietę, zgubioną bez żadnego adresu wśród fal. Walczyła, aby się utrzymać na wodzie, a włosy snuły się po powierzchni jak glony. Rybak schwytał, obmył i okrył to gasnące ciało. Ogromnie mu dziękowała, podczas gdy on nie odzywał się słowem. Topielczyni uśmiechała się do rybaka z jak największą wdzięcznością, przekonana że po portugalsku ani literuje. Zabrał ją na ląd i tu uwiązał.

– Nie codziennie łapie się takie ryby – chełpił się rybak.

Niech no sobie nie myśli tylko, że go przechytrzy, niech nie myśli, że jej zbawca to wioskowy głupek morski. Bo on już doskonale wie, jak ze znaleźziska wyciągnąć korzyści. Musi się teraz dochrapać zysków, wszystko ma obchytrzone, a bieda mu już nosem wychodzi. No i tak rzeczona kobieta została wystawiona na pokaz przed ciżbą zdumionych oczu, które nigdy podobnego stwora nie widziały.

– Nie wypuścisz jej?

– Wypuścić? Ta myszka przyniesie mi pełną sakiewkę...

I zarechotał obłeśliwie. Pomacał się po brzuchu, wężąc dłonią dobrobyt. Zaraz jednak czoło zморświł od troski. Skinął, abym mu ucho przybliżył. Poprosił szeptem, bym nakłonił panią do wypicia i zjedzenia tego, co tak trudno było załatwić. Pokazał mi puszkę z wodą, talerz z rybą i drobinami ryżu. Resztki te były przyczyną okropnej zawiści. A teraz ona nie chce, by ją obsłużono. Może przy mnie zmieni zdanie. Niech się przynajmniej napije, niech odrobinę się wzmocni. Jak umrze, padnie interes. Podszedłem do kobiety i dotknąłem jej zgiętych pleców. Skóra jej była zimna, pokryta gęsią łuską. Po długiej chwili podniosła głowę. Kiedy ujrzałem jej oczy, aż się cofnąłem, rozdziawiając zdumieniałe usta. Jej twarz wydawała się taka sama wprost i na opak. Włosy rozsypane w listowie odzierały ją z człowieczych rysów. A jednak w tej kobiecie było coś znajomego. Gdzieś już musiałem musnąć tę znajomość. Kto to mógł być? Gdzie ją mogłem widzieć? I jakimi słowami powinienem się zwrócić do tak wściekle rybiącej istoty? Nic nie powiedziałem. Podsunąłem jej talerz i bez słowa odwróciłem oczy.

Uciekłem stamtąd rączym rakiem, dusząc się od mdłości. Widok tej kobiety mnie dławiał. Zmoczyłem stopy i zimno sprawiło, że wróciłem do siebie.

Siedziałem na skraju wody, aż w końcu ukazała się jakaś sylwetka. To był Antoninho. Z początku nie odzywaliśmy się do siebie słowem. Szliśmy ciemnymi ścieżkami, przecinkami przecinek. Później zacząłem mówić głośno, tak aby idący z przodu Antoninho mnie usłyszał. Wspomniałem o Assane, zarabiającym na swoim wózku inwalidzkim. Dla tych ludzi było to jak najbardziej normalne. Antoninho wdzięcznie przytakiwał. W kraju nędzy na drobiazgi wcale nie patrzy się z zazdrością. I, ostatecznie, się rozumie: kulawemu może zazdrościć paralytyk. Assane znał widoki, jakie otwierały się przed jego wózcikiem.

– Robi wyłącznie dobrą robotę – zapewniał Antoninho – udostępnia wehikuł wszystkim, nie korzysta tylko samemu z tego, co słusznie zasłużone – i podsumował: – Nie zapominaj, szefie. Bogactwo jest jak sól: służy tylko jako przyprawa.

„Szefie”. Ten chłopak uparcie się tak do mnie zwracał. To określenie w jego ustach było jak obelga, jak gorzka plwocina. Przypominało, że mimo moich manier assimilado należałem do jego rasy. Któregoś dnia przyjdzie mi zapłacić za zdradę statusu.

Kiedy zapukałem do drzwi, Assane wykrzyczał serdeczne „proszę!”. Uścisnął mi dłoń z niespodziewaną siłą. Takie są właśnie ręce tych, którzy nie potrafią zrobić jednego kroku, których stopy zapadły w przedwczesne milczenie. Tak zubożony i na wózku inwalidzkim poniżony, zawsze z dołu spoglądał na innych.

– To potrwa kilka godzin. Surendra jeszcze nie wrócił.

Wymienialiśmy się w głębi nocy słowami. Assane ponownie opowiedział mi o swych nieszczęściach, o tym, jak został zdradzony przez administratora. Że miały miejsce różne okrutactwa, kupczenie przechwyconymi darami, wszystko to była prawda. Nawet Assane nie uważał rabowania rzeczy przeznaczonych dla wygłodniałych ludzi za nic poważnego. Każdy walczy o swoje jak może i jak potrafi, mawiał. Ale konflikt z administratorem dotyczył czegoś innego. Zaczął się w momencie, gdy Assane sprzeciwił się pewnemu rozkazowi.

– Chodziło o rozkaz zabójstwa. Pewna kobieta miała zniknąć.

– Kobieta? – spytałem.

– Nazywała się Farida.

Skostniałem, lecz nie dałem poznać po sobie zaciekawienia. Dlaczego została skazana przez administratora? Płonałem z ciekawości, ale o nic nie zapytałem. Kiedy indziej poznam prawdę. Zmieniłem temat, starając się dowiedzieć o plany kaleki.

– Co teraz zamierzam robić? Będę rozkręcać interes, nikt nie wie, co będzie po wojnie...

Sklep był już urządzony i zaopatrzony, na półkach leżały towary. Brakowało jeszcze tylko otwarcia. Wypadało być w dobrych stosunkach z rządem. A władze również starały się zatrzeć kompromitujące ślady na ciele byłego sekretarza. Administrator został zaproszony, otwarcie lokalu miało się odbyć oficjalnie, na oczach wielkiego świata. Tylko jedna rzecz dręczyła Assane: czas i miejsce nie sprzyjały Hindusom. Pewne wpływowe osoby narobiły szumu. Dlatego też ceremonia otwarcia winna być okazała, a zaproszenia rozesłane pod stosowne adresy, zgodnie z taktyką *modus vivendi*. Ja również zostałem zaproszony. To będzie dobra okazja, aby poznać miejscowych. Użyłem uprzejmych wykrętów. Jestem tu przejazdem. Moim celem jest wyruszyć w busz na poszukiwania Gasparka. Gospodarz wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że decyzja należy do mnie. Ponownie napełnił kieliszki. Ten Assane to był kawał suszybutli, zdążył już sobie nieźle golnąć, ni mniej, ni więcej. Mimo to potok jego myśli pozostawał wartki. Zaczął usprawiedliwiać swoje folgowanie:

– Jak jest zimno, więcej doję. Bo tu jest zimno, nie wiedziałeś? Bywa dziesięć stopni, w dodatku stustopniowych! A jak się pije, to się zapomina...

– Musimy zapomnieć prawie o wszystkim, co? Teraz dobrze rozumiem kace mego ojca.

– Nader bardzo muszę zapomnieć rzeczy, których byłem świadkiem, pracując w administracji. Dostałem bęcki, które mi załatwiły nogi. Ale przede mną wielu innych było lanych bez żadnej przyczyny.

Odjechał wózkami kawałek do tyłu. Tymczasami słyhać było wystrzały, serie z karabinów maszynowych. Już nie robiły na nas wrażenia. Tam, na zewnątrz, jazgotowały grzechotki śmierci, skargi gasnącego życia. Ale dla nas te odgłosy były już częścią krajobrazu. Mimo to coś gorzkiego sączyło się przez te ściany. Nasz temat jakby zatkało. Powiedziałem coś o wojnie, która nie może się skończyć. Assane zaoponował:

– To nawet nie jest żadna wojna. To coś jeszcze nie ma nazwy.

I wyjaśnił: już lepsza byłaby wojna na serio. Bo wówczas powstałaby prawdziwa armia. A wojna-zjawia rodzi armię-zjawę; szarpaną, zdezorientowaną, taką, której wszyscy się boją i którą nikt nie dowodzi. I my sami, ofiary bez twarzy, zamieniamy się w zjawy.

– W sraczu nie może być czystej wojny.

I zaczął wyrzekać, jak bardzo to wszystko szkodzi interesom: chaos zakłóca funkcjonowanie sklepu i rozkwit jego planów. Poprosił mnie, abym go powiózł w głąb domu, chciał mi zademonstrować, co wojna zrobiła z jego majątkiem. Otwierał kolejne drzwi, pokazując mi niezliczone dzieci, małych krewniaków przybyłych z buszu. Dzieci były przemieszane ze skrzynkami piwa, puszkami, paczkami, plastikiem.

– Wiesz, jak to jest z naszą rodziną: zawsze jest większa niż ludzkość. Jak mogłem nie podbierać darów, które trafiały do administracji?

Raz po raz otwierał i zamykał drzwi: wszędzie tłoczyły się dzieci, stoztrzeńcy i bladanie, wynędzniałe, o wytrzeszczonych oczach i wychudłych członkach. Assane sunął przodem, demonstrując mi nadmiar ust, między które musiał rozdzielić chleb. Na podwórzu, na tyłach domu, stała chłodnia, wydobyta z rozbitego statku. Jakiś chłopiec pracował nad nią młotkiem i dłutem. Rozcinał stalowe drzwi. Assane wyjaśnił mi przyczynę tych mechanicznych zabiegów:

– Zajmuje się adaptacją sprzętu. Rzecz w tym, że tutaj, gdzie nie ma elektryczności, chłodnia na wiele się nie przyda. A tak będzie służyć za łóżko dla kolejnej grupy młodzieży. Wyłożymy ją słomą i dzieciaki będą w tym spać. Będzie udawać sypialnię.

– A teraz nie można zabrać więcej rzeczy z tego statku?

– Nie. Teraz to surowo zakazane.

– A to dlaczego?

– Dlatego że na statku jest ta jedna, ta Farida. Ta kobieta widziała bardzo dużo. Nie może przeżyć. Administrator obmyśla sposób, jak by ją usunąć.

Przeszliśmy do pokoju Surendry. Za niedomkniętymi drzwiami można było dostrzec rozrzucone na podłodze prześcieradło. I nagle poczułem zapach mojego dzieciństwa, woń kadzideł ze starego sklepu. Assane wyjaśnił:

– Monhe przebywa tu tylko tymczasowo. Nie mogę go trzymać w moim domu. Byłbym skompromitowany politycznie.

Pchałem wózek, w strachu, że nie potrafię tego robić odpowiednio delikatnie. Kto wie, może by się obraził śmiertelnie, gdybym zawadził niezdarnie o jakiś narożnik. Moje ręce opanował popłoch, jakbym trzymał w nich noworodka. Assane spostrzegł to rozchwianie pewności. Poprosił mnie, abym usiadł i złapał trochę świeżego spokoju.

– Siadaj. Chcę z tobą o czymś pomówić. Już zauważyłem, że jesteś przyjacielem Surendry. Ale z głową tego monhe nie wszystko jest w porządku, facet nie kojarzy, jak trzeba. Lepiej, żebyś o tym wiedział od razu.

Po chwili mówił dalej:

– Facet ma myśli podniebne, bardziej jest rozkojarzony niż księżyc. Niby jest, a tyle go, co kot odleciał. Z początku prowadziliśmy ten interes we dwóch. I to on trzymał ręce na kasie, ale trzeba było stawiać jakiegoś ziomka przed budynkiem.

– To chyba my, miejscowi, powinniśmy podjąć się tej własności, prawda?

W miarę jak rozwijała się rozmowa, na szyi coraz bardziej pęczniały mu żyły. W końcu wyznał ze złością:

– Nie czuję tych gości, tych monhe. Nie pojmuję, jak możesz się przyjaźnić z tym Surendrą.

Mogłem odpowiedzieć, że ten Hindus jest inny. Ale zmilczałem. Co ja wiedziałem o innych Hindusach? Ostatecznie jedynym, jakiego znałem, był Surendra Vala. Zamiast się bronić, odpląciłem pytaniem za pytanie:

– A dlaczego nie mogę się przyjaźnić z monhe? A ty? Ty możesz być współnikiem monhe?

– No, no, chwilunia! Facet po prostu prowadzi rachunki. Nic poza tym. Po jakimś czasie wszystko znacjonalizuję, a w przyszłym roku wszystko sobie wywłaszczę. Kopnę banjana w dupę.

Zarzął zachwycony własną inwencją. Obiecał Surendrze spótkę. Jednak w chwili obecnej obietnica niewarta jest funta kłaków. I powtarzał z satysfakcją: „wszystko sobie wywłaszczę!”. Rechotał całkiem donośnie. Być może miałem zniesmaczoną minę, bo Assane zmienił zaraz temat rozmowy. Kazał mi podejść bliżej i wyszeptał:

– Mam pewną tajemnicę, bracie... Przysięgnij, że nie rozpoviesz!

– Przysięgam.

– Przysięgnij na dwa tysiące grzechów!

Przysięgłem ponownie. A wtedy poprosił, abym go zawiózł do ogrodzonego krzagródka pośrodku jego ziemi.

– To tutaj! Popatrz no tylko na to чудо!

Pośród krzaków, w ukryciu, tkwił olbrzymi czołg. Pancierz był na wpół zniszczony, w gąsienicach nie było kół. Leżał tak, ryjąc bokami w piachu, jak wojownik rekonwalescent.

– Ten pancernik to mój brat, ani on, ani ja nie mamy nóg.

Co tu robił ten śmiertelny pojazd? Assane wyjaśniał rzecz mgliście, sugerując, że w dzisiejszych czasach wszystko, co niewiarygodne, staje się powszechne. Ponownie wyraziłem wątpliwość: z jakiego powodu ukrywał się tu stalowy potwór?

– Idź i zobacz. Przekonasz się na własne oczy, do czego służy dziś stwora.

Po piachu wózek nie chciał jechać. Sam poszedłem zaspokoić ciekawość. Z głębi czołgu dobiegały skrzeki i gdakania. Rozsiane wszędzie dookoła gówna plamiły zapach ziemi. Zerknąłem do środka: dziesiątki kur spojrzały na mnie z dumnym zaskoczeniem. Czołg był kurnikiem, centrum hodowlanym. Dumny Assane punktował:

– Oto i mój biznes! Nikt nie podejrzewa, nikt sobie nie wyobraża, nikt nie ukradnie. Na wypadek gdyby sklep nie wypalił, mam podwójne zabezpieczenie!

W ten sposób zainwestował pieniądze, które zgromadził podczas piastowania urzędu w administracji. Inni niech myślą, że dorobił się tego dzięki wynajmowaniu inwalidzkiego wózka, czyli jego najnowszej sztuczce. Korzystał z wynajmowania od czasu, kiedy oferując w zamian swoje milczenie, nakłonił administratora do wyprowadzenia jednego wózka z magazynu darów. Ale ten człowiek stał okrakiem na dwóch koniach: w tym samym czasie gdy otwierał sklep, rozkręcał też kurnik.

– Nigdy nie wiadomo!

Wróciliśmy do domu i znów ruszyły żwawo kolejne kieliszki Assane igrał z ogniem. Ponownie spytałem o Surendrę, pocięło już mnóstwo czasu.

– Surendra – odparł Assane – poszedł coś załatwić, zaraz wróci.

Dostrzegłem jakiś cień w jego słowach.

– Zastrany monhe... Wypieprzą go, zanim coś wyciągnę z mojego interesu...

Chciałem zrozumieć dokładniej, co miał na myśli. Wyprostował się na wózku i przypomniał mi, na czym polegała oficjalna polityka rządu. Nie ma rasizmu, nie ma żadnej dyskryminacji. Zdarzali się nawet ministrowie Hindusi. Ale niektórzy byli niezadowoleni. Chcieli zamykać drzwi przed Azjatami, a do handlu dopuszczać wyłącznie Czarnych. Assane omawiał dalej politygierki, aż przestałem go słuchać. Surendra już mi opowiadał o tych zagrożeniach. Miał zapłacić za wszystkich swoich pobratymców, za błędy i ambicje innych Hindusów. Wieki całe muszą minąć, żeby przestano postrzegać każdego człowieka przez pryzmat jego rasy. Assane głądził dalej:

– Nie tylko monhe będzie miał kłopoty. Ty też musisz uważać. Pojawiłeś się tu jako obcy, jako człowiek z plemienia, nikt nie zna celu twojej podróży.

Już ci mówiłem tamtego dnia, na plaży. Jesteś uparty, więc nie miej potem pretensji... – I podsumował: – Tutaj już nikt nie rządzi!

To tego się bał. Pierwszy lepszy mógł się dorwać do sterów, kręcić i rozkręcać, swobodnie i bez żadnych zarachowań:

– I komu się potem pożalimy? Oficjele tak tu teraz zadzierają głowy, że już nie słyszą, jak im bije serce. Już ja ich znam: ani razu nie widziałem, żeby stali w kolejce, zawsze się nażłopią prosto z wodopoju, psiekrwie bydłce.

Assane wściekał się nie tyle z powodu zasad, ile niemożności dalszego czerpania zysków. W przeszłości, zgodnie z tradycją, możni zawsze udostępniali swe zdobycze maluczkiemu. Dopiero teraz ludzie władzy stali się ślepi na cudze cierpienie.

Podsunałem inny, bardziej lekkostrawny temat: kobiety. Chciałem w ten sposób poruszyć bezpośrednio sprawę Faridy, poznać dotyczące jej tajemnice, jakie skrywał kaleka.

– No a jak tu, w Matimati, stoimy z kobietami?

Pomyślałem o przysiędze, jaką złożyłem Faridzie.

Mimo wszystko nie mogłem spełnić jej prośby, abym nigdy o niej nie wspominał. Musiałem dowiedzieć się czegoś więcej. Parłem dalej:

– No, ale ta kobieta, jak jej tam... Farida...

Assane uśmiechnął się obleśnie. Potarł dłońmi o uda, jakby chciał się pocieszyć w swoim niedołęstwie. Pokrzepiał nogi, które podtrzymywały teraz tylko jego samotność.

– Ta kobieta to okropna kurwa. Tyle że jest to kurwa bardzo, bardzo...

Nie mógł znaleźć odpowiedniego przymiotnika. I tylko w oczach migotał mu ogień, jaki umie rozpalić tylko tęsknota. Wdał się w rozważania na temat kobiet, które dzielił na większe

i mniejsze kurwy. Ale o Faridzie już nic więcej nie powiedział. Język mu się plątał w alkoholowych oparach, które dobywały się z jego wnętrza. Pił wino, lał wodę; przestałem go słuchać. Ktoś zapukał do drzwi. To był Antoninho, który przyprowadził Surendrę. Znieruchomieli obaj w drzwiach niczym zjawy.

– Surendra! – krzyknąłem, zrywając się z miejsca.

Ale Hindus jakby mnie nie dostrzegał. Był jakiś odmieniony, czarne włosy opadały mu niechlujnie na czoło. Schudł, ciało ginęło mu pod ubraniem. Musiał iść plażą, bo miał mokre spodnie. Antoninho przerwał ciszę, mówiąc bez radu i składu:

– Towarzysze przełożeni: nie wyobrażacie sobie, co on zrobił!

Pokazywał na Surendrę, jakby ten nie był żywą istotą. Assane zirytował się, żądając natychmiastowej relacji. Antoninho opowiedział, co się stało: Surendra poszedł po obiedzie na plażę, zabierając z sobą żonę. Tam zaczął wiązać kłody, przygotowując prowizoryczną tratwę. Obok niego Assma snuciła coś śpiewnie jak w chwilharmonii szumów. Pod wieczór dzieło Hindusa było skończone. Zwodował tratwę i posadził na niej Assmę. Ruszył za nimi przez fale, a kiedy nie mógł już namacać stopą dna, złożył na czole żony długi pocałunek. Następnie nakierował tratwę w odpowiednią stronę i popchnął ją z całych sił. I zaczął machać na pożegnanie ręką, wołając:

– Płyn, Assmo! Wracaj do swojej ojczyzny!

Assane przerwał opowieść. Spytał Surendrę, czy to wszystko prawda. Wydawało się, że mój stary przyjaciel w ogóle nie słyszy pytania. Usiadł na jakiejś skrzyni, kładąc nieskazitelne dłonie na kolanach. Jego oczy szukały drugiego krańca świata. Poczulem, że nogi mnie zawodzą. To Assma była kobietą, którą widziałem na plaży! Nachyliłem się nad Surendrą i ująłem go za dłonie.

– Surendro, widziałem Assmę. Żyje, złapał ją rybak. Chodź ze mną, znajdziemy maleńką.

Głos drżał mi ze złości. Nie mogłem sobie wybaczyć, że nie poznałem Assmy, że nie wyrwałem jej z tej opresji. Wtedy Assane zaczął wrzeszczeć:

– Antoninho, wyciągnij mnie z tego zasranego wózka! Idziemy, idziemy po tę biedaczkę! Ty zostajesz, Kindzu.

Antoninho pomógł Assane wydostać się z wózka, objął go w pasie i obaj powlekli się w noc. Zostałem sam na sam z Surendrą. Hindus przez cały czas nie poruszył się ani razu. Wydawało się, że pogrąża się w tym samym stanie nieobecności, w jakim specjalizowała się niegdyś w sklepie jego żona, nasłuchując radiowych zgiełków, które jej kłamały o Indiach.

– Surendro: chcę pomóc Assmie. Chodź ze mną.

Nawet nie mrugnął. Zostawiłem go oddanego bez reszty nicości. Na plaży szybko odnalazłem Assane i Antoninha. Zdążyli na czas, by znaleźć Assmę przy życiu. Assane kazał przynieść swój wózek inwalidzki, aby umieścić na nim poszkodowaną. I tak się stało. Została usadzona na wózku i zaniesiona do przychodni lekarskiej. Ja pomagałem wlec się kalece, podczas gdy wokół nas formował się orszak ciekawskich. Hinduska, nie odzyskując przytomności, została pozostawiona w przychodni.

Od tej pory mieszkalem w domu Assane, śpijąc na łóżku Assmy. Surendra kładł się obok mnie na materacu, nieodmiennie posępny i nieruchomy. Każdy dzień mojego pobytu w tym domu poświęcałem na to, aby przywrócić Surendrze przytomność umysłu. Czułem, że mam wobec niego ogromny dług, to w jego sklepie przed moim dzieciństwem otworzyło się tysiąc horyzontów. Niewiele wskórałem. Vala wciąż tkwił zamknięty w klasztornej celi swojego smutku. Nawet mimo to przed złożeniem kolejnej wizyty Assmie zawsze zwracałem się do niego słowami:

– Idę odwiedzić twoją żonę. Idziesz ze mną?

– Assma właśnie dopływa do Indii – odpowiadał.

Z biedną Hinduską było już lepiej. Sam przywiozłem ją z powrotem do domu. Usadowiłem damę w starym fotelu. I już tam pozostała. Surendra nie chciał, aby wróciła do

pokoju. Assane zaczął wówczas zdradzać osobliwą burzę uczuć. Traktował ją z czułością, po każdym posiłku zachowywał dla niej najlepsze kaski, łyżką podawał jej zupę do ust. W miarę jak Assane dochodziła do siebie, Assane zaczął jej zlecać drobne prace w kurniku; widać było, że chodzi tylko o uzdrowienie jej głowy.

Pewnej nocy obudziłem się cały spocony. Serce waliło mi jak burza. Słyszałem kołysankę mojej matki! Melodia dobiegała z zewnątrz, pełna nierealnej prawdy. Wyszedłem owinięty w prześcieradło. Teraz już nie miałem wątpliwości: to była piosenka, którą ja i moi bracia byliśmy niegdyś kojeni do snu. Jej dźwięki dobywały się z czołgu. Zbliżyłem się do niego ostrożnie. Kiedy stanąłem przed kurnikiem, zapadła całkowita cisza. Wtedy dojrzałem w mroku olbrzymiego koguta. Ptaszydło wgapilo się we mnie z zaskoczeniem. Jego wzrok niemal mnie powalił na ziemię. W tych oczach był smutek, który dobrze znałem.

– Czerwiesio!

Kogut przekrzywił głowę, przyglądając mi się z powątpiewaniem. Zapiał, grzebiąc ziemię, aby pokazać, kto tu rządzi. Teraz przypominał prawdziwe zwierzę, ptaka z krwi i krzykliwości.

To nie mógł być Czerwiesio, mój brat. Mimo to stałem tam dalej, patrząc nieruchomo w nocną mgłę jak ugnieżdżony. Obudziły się we mnie przemożne wyrzuty sumienia. Zapomniałem o własnym bracie. Poświęciłem się poszukiwaniom Gaspara, obcego człowieka. I wyrzekłem się pamięci o Czerwiesiu. Co to za braterstwo? Czekałem jeszcze na odpowiedź z zaświatów, może zstąpi duch mojego staruszka, choćby tylko po to aby mi wymierzyć karę. Czas mijał marszem polnych koników. W końcu zrezygnowałem. Zbliżyłem się do koguta z czymś w rodzaju pożegnania. A wtedy te oczy znowu ukazały mi się ludzkie, zdolne do łez. Przetknąłem palce przez siatkę i pogładziłem go po skrzydłach. Mogę przysiąc, że odchodząc, słyszałem za plecami kołysankę mojego dzieciństwa.

Nigdy więcej nie wróciłem do kurnika. Przekonałem sam siebie, że to spotkanie było jedynie złudzeniem, wybrykiem mojej fantazji. Czerwiesio zmarł, zatracił się wśród miejsc, które dawno temu opuściłem. To właśnie powtarzałem sobie każdego ranka – być może w imię czystego sumienia.

W tych dniach budziłem się wcześniej niż słońce. Z mojego okna widziałem, jak kobiety sadzą przy drodze kukurydzę. Próbowaly wszędzie, nawet tam gdzie kiełkować mogłyby tylko kamienie. Traciły długie godziny w tej jałowej walce. Tak samo jak moja matka łudziły się, że martwe łono może coś wydać na świat. Stąd, z mojego pokoju, obejmowałem wzrokiem całą piaszczystą drogę wraz z placem, do którego wiodła. To był spokojny plac, przypominający ujście drobnego strumyka. Na jego środku wznosił się pomnik, poświęcony bohaterom niepodległości. Pomnik stanął w miejscu innego, starego pomnika, reprezentującego odwrotną politykę: pomnika ku chwale wojsk kolonialnych. Obalono go w Dniu Niepodległości, roztrzaskując każdy kamień na tysiące kamyczków. I zbudowano nowy, mówiąc, że jest tymczasowy. Mimo to nadal tu stał. Był brudny, zakurzony, otoczony górami śmieci. Wydawało się, że nikt nie darzy go szczególnym szacunkiem. Z wyjątkiem kobiety, która wystawała pod nim godzinami. Przyglądałem się tej kobiecie, ubranej na czarno, przekonany, że to jakaś wdowa.

Damę zdemaskował Assane:

– To żona administratora.

Pewnego wieczoru, wracając do domu, natknąłem się na nią nieopodal placu. Zbliżyłem się w pełnym rynsztunku szacunku, jakbym pochylał się przed pomnikiem. Kobieta pozostała nieobecna i tylko na jej czole zarysowała się zmarszczka. Przez chwilę zdawało mi się, że płacze. Nachyliwszy ku niej głowę, przekonałem się, że to nieprawda. Śpiewała. Nucila piosenkę, którą znałem, jedną z tych poświęconych walce zbrojnej o wolność kraju.

Trwała tam, poważniejsza niż modlitwa. Coś mnie ku niej pchało, chciałem zgłębić jej smutek. W tym ciele tkwiło jakieś przedwczesne wdowieństwo, którego przyczyną nie była

czyjaś śmierć, tylko roztargnione porzucenie samej siebie. Nagle przyszło mi na myśl, aby zerwać trochę dzikich kwiatów i złożyć je pod pomnikiem. Dopiero wtedy kobieta podniosła oczy, olbrzymie oczy, które gdzieś już widziałem. Spoglądała na mnie nieskończoność. Potem znów pogрузzyła się w czerń swoich ubrań, w otchłań swojego milczenia. W końcu wycofałem się zaintrygowany. Obraz tej kobiety uparcie we mnie tkwił.

Rankiem, w dniu otwarcia, ubrałem się jak należy. Wybrałem spośród ubrań Surendry stosowny garnitur. Szczęśliwie mieliśmy te same wymiary. Sklep Assane i Surendry znajdował się na rogu głównej ulicy, w miejscu gdzie zakręcały pierwsze promienie słońca. W czasach kolonialnych mieściła się tam kantyna Romão Pinto. Od śmierci Portugalczyka stała pusta. Nowi właściciele poświęcili mnóstwo wysiłku malowaniu, sprzątaniu i urządzaniu. Sklep wyglądał ponad wyraz, a komentarze na ulicy aż rozpychały się z podziwu. Ciekawscy zapełnili chodniki. Przeważali łachmaczędzy, pijusy i głodomory. Kiedy dochodziło już południe, pojawił się administrator. Towarzyszyła mu żona Karolinda⁷. Tuż za nimi sunęli ochroniarze. Ważne osobistości zgromadziły się w cieniu, aby wysłuchać rozwlekłych przemówień. Karolinda obdarzała mnie ze swojego miejsca przeciągłymi spojrzeniami. Jej oczy były tak pełne cienia, że nie mogłem usiedzieć na ławce. Przeniosłem się w miejsce, z którego mogłem ją oglądać, a gdzie ona mnie nie widziała. Assane na użytek przemówienia wbił się w przeupocony garnitur. Robił, co mógł, aby Surendra pozostawał za nim, w cieniu. Śledziłem całą scenę z oddali, koncentrując się na Hindusie. Stał nieruchomo jak posąg, chyba jako jedyny na właściwym miejscu. Surendra robił wrażenie subordynowanego. Mimo to nie kłonił się przed dygnitarzami. Ostatecznie to, co tam się działo, było jedynie imitacją czegoś, co w jakimś innym, nieznanym miejscu miałoby szansę być prawdą. U boku Hindusa Assma oblekała się w nieudolny uśmiech. Możliwe, że widziała w tle inną, hinduską scenerię, w której my, Afrykanie, byliśmy kimś z gruntu obcym.

Wszystko przebiegało w przewlekłych milczeniach, gdy nagle wśród wścieklej kurzawy podniosła się wrzawa bezładnej ludzkiej ciżby. To była grupa mundurowych, gotowych rozpętać piekło. Administrator natychmiast podał tyły osłaniany przez prywatnych ochroniarzy. Karolinda wycofała się z większą godnością niż mąż, który nawiewał jawnie i bezapelacyjnie. Kiedy wataha przekroczyła uliczkę, ludzki krąg się rozsypał. Jeden z napastników wyciągnął pistolet i wystrzelił w środek tłumu. Rozpętał się obłęd. Wkrótce nastąpiły kolejne strzały, krzyki, chmurki dymu. Ludzie rozbiegli się po polach w poszukiwaniu doraźnej kryjówki. Umknąłem na tyły sklepu, gdzie pośliznąłem się zaraz w jakimś bajorze. Zostałem tam, z głową wbitą w ziemię. Zalaływała szczyną. Musiałem trafić w kloakę. Byłem tak uświniony strachem, że całkiem zapomniałem o obrzydzeniu. Leżałem, modląc się o to, aby ta wojna nie przeniosła się na tyły. Z ulicy wciąż dobiegały odgłosy hałaśniczych starczek.

– Ubić mi tego muenhé! – krzyczał raz po raz przywódca napastników.

Nagle dostrzegłem płomienie. Dom puchnął od ognia, zaczynałem się już dusić od dymu. Nie chciałem ruszać biegiem, bojąc się, że na otwartej przestrzeni zaraz mnie osaczą. Wtedy z zapłomieszenia wyszedł Antoninho, ledwo się wlokąc pod brzemieniem hinduskiego kupca. Oniemiały Surendra nawet nie zdawał sobie sprawy, gdzie idzie ręka, gdzie głowa. Antoninho aż ślinał się spod paznokci pod ciężarem udręki. Pomogłem mu wywlec Surendrę z pożaru.

– A co z Assmą? – spytałem.

Chłopak skulił się i wykrzywił w bezradnym grymasisku. Podbiegłem do okna, aby sprawdzić, czy nie ma gdzieś śladu nieboraczki. Kiedy się zbliżyłem do szyby, roztrzaskała się nagle, a w górę wzbily się cięte odłamki. Przycupnąłem w niezdarnej samoobronie. Ponownie wyjrzałem przez okno. Płomienie rozpełzły się już wszędzie, ziemia wybrukowała się ogniem.

7 W oryginale „Carolinda”, imię będące zbitką słów „caro” („drogi”) i „linda” (piękna”).

Zawołałem ją. Ja sam nie słyszałem mojego głosu. Ogień to udzielny władca, rozdbuchany samiec. Siedzieliśmy tam tak długo, aż pożar ustąpił. Dopiero wtedy przyjrzeliliśmy się naszym rzeczywistym istotom. Surendra nadal zachowywał dystans wobec wszystkiego, jakby nic się nie zdarzyło. Czy zdawał sobie sprawę z tego, co się stało z jego żoną?

– Surendro, sam widziałeś, Assma... nikt nic nie mógł poradzić...

Siedział w milczeniu ze zwieszoną głową. Zrozumiał? Nie miałem czasu się o tym przekonać. Na swym wózku nadciągał z mozołem Assane. Zbliżył się do nas i, ku mojemu zdziwieniu, pogładził Hindusa po plecach nieklamana ręką. To nie był gest współnika, tylko przyjaciela. Zostawiłem tę dwójkę, oddającą się smutkowi.

W drodze do domu potknąłem się o jakiegoś człowieka śpiącego na chodniku. Ścisnął w dłoni długi sznur. Podeszedłem bliżej, przekonałem się, że ma otwarte oczy. Czy to był pijak? A może potrzebował pomocy, może był rannym, który nie potrafi stanąć na nogi? Nie zatrzymałem się. Dom Assane był tuż obok. Szedłem dalej w swoją stronę, tak samo rozwlekle jak upał, który lał się z nieba. Znalazłszy się w domu, podeszedłem do okna, aby przyrzeć się uważnie mężczyźnie, o którego się niedawno potknąłem. Leżał dalej na chodniku, kontynuując swoją sjęstę w nadgodzinach. Postanowiłem tam wrócić i zanieść biedaczynie odrobinę wody. Stałem już w drzwiach, kiedy powstrzymał mnie jeden z bratanków Assane:

– Wujku, to jest trup.

Przyjrzałem się z dystansu leżącej postaci. Rzeczywiście, ciało mężczyzny było pociemniałe i odznaczało się tą specyficzną, skostniałą barwą machongo. A co miał znaczyć sznur, tkwiący w jego dłoni? Ten sam chłopiec wyjaśnił: mężczyzna szykował sobie stryczek, aby się powiesić. Dzień i noc plótł sizal, nigdy nie kończąc dzieła. Jego bzdurzędzie miało już kilka dobrych metrów długości. Ostatecznie go nie użył, nie powiesił się. Zmarł tak czy siak – z przyczyn wewnętrznych. W końcu sama śmierć to sznur, który pęta nasze żyły. Są otoczone pętlą od chwili, gdy przychodzimy na świat. Czas zaciska tę pętlę, stopniowo pozbawiając nas sił.

Zwłoki leżały przez cały dzień na poboczu drogi. Nazajutrz rano wciąż były w tym samym miejscu, a chmury much oddawały im cześć. Trup porzucony bezładnie na chodniku, oglądany uważnie, nie kłócił się z resztą krajobrazu. Symbolizował coś, w co zamieniło się całe miasteczko: olbrzymią kostnicę. W południe pojawiła się grupka wojskowych, aby usunąć ciało. Powlekli je drogą, ciągnąc za nogi. Taki właśnie pogrzeb przysługiwał anonimowemu nędzarzowi: orszak kurzu na drodze, jęk much, tuziny nieistniejących płaczek.

Patrzyłem, jak żołnierze znikają powoli wśród zrujnowanych domów. Powietrze było ciężkie, nasycone. Patrząc na kondukt pogrzebowy, który ginął wśród gruzów, pomyślałem sobie: „My, którzy urodziliśmy się w tych czasach, jesteśmy ostatnimi żywymi. Po nas nie będzie już świata, który mógłby kogokolwiek przyjąć”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

DŁONIE, KTÓRE ŚNIA O KOBIECIACH

Deszcz grał na marimbie autobusowego dachu. Mokra palce nieba zabawiały się podzwanianiem. Tuahir jest owinięty w kapulanę. Przygląda się chłopcu, który leży z otwartymi oczyma pogrążony w niekłamanym śnie.

– Kurwa, zimno. Teraz nie da się nawet rozpaścić ogniska, całe drewno jest mokre. Słuchasz mnie, mały?

Muidinga nadal jest nieobecny. Zgodnie z tradycją, powinien się cieszyć: deszcz to pomyślny omen, to znak, że dobre czasy pukają do drzwi losu.

– Baby ci trzeba – mówi stary. – Czytałeś o tej kobiecie, o tej Faridzie. To musiała być niezła sztuka.

W jednej chwili monolog skupia się na kobietach.

– Kobiety są dobre, kiedy nie ma miłości. Bo miłość chodzi zygzakiem. Człowiek buduje dla niej dom, a ona rodzi się na podwórku. Kurwy, tego się trzeba trzymać. Wysysają nam tylko kieszonkę, a nie serce. Kurwie nigdy nie oddaje się serca.

I po chwili pyta:

– Nie słyszałeś, mały, o mojej historii z Jorginą?

I stary opowiada o swoim spotkaniu z Jorginą, kobietą, która doczekała się z jego strony wieczystych obietnic. Okazała się kretyką, zaangażowaną w całą sprawę tylko dla wygłupu.

– Te numerantki kochają się tylko tak – ciągnie Tuahir – aby nie wykraczać poza funkcje wyznaczone im przez Boga. Dałem się nabrać z tą kobietą, Muidingo.

W istocie była to jedna z tych podkasanych nad kolanka, co to łatwiej się dają ugniatać na cudzych materacach niż kukurydza w stęporze. Tuahir swoje wycierpiał; jeszcze teraz głos mu chmurzą wspomnienia.

– Teraz mam wszystko, czego mi trzeba.

Tuahir ślinił się przy każdej sylabie dręczony tą szczególną niestrawnością, wynikającą z tego, że od kilku dni nie miał co strawić. Przyjrzał się chłopcu, usiłując odgadnąć wiek, w którym pochłona go amory. I uśmiechnął się na wspomnienie sceny, kiedy to małego gwałciły staruchy. Zasługiwał na inną inicjację.

– Czekaj no, mały. Usiądę obok ciebie.

Sadowi się na krawędzi siedzenia Muidingi. Wsuwa dłoń między pachwiny chłopca i zaczyna mu powoli rozpinać rozporek.

– Pomyśl sobie teraz o dziewczynach...

– Wujku! Nie rób tego...

– Nie próbuj mi tu wierzgać, bo ci jeszcze przyleję. No, dalej, zrób jak mówię.

– Ale wujku, ja tak nie potrafię...

– To dlatego że myślisz tylko głową. Myśl całym ciałem!

– Nie da rady, wujku.

– Jestem pewien, że myślisz o Marii Bofe, tej z obozu. Ta nie ma nawet tatuażów, jej skóra jest gładka jak u mężczyzny. Pomyśl o Joaquinhi, pomyśl o Tinicie. Te mają tatuaże jak trzeba, dotykasz ich brzucha i masz wrażenie, że dotykasz skorupy.

– Nie chodzi o skórę ani o tatuaż. Chodzi o to, że tak w myślach to się nie da.

– To z powodu skóry, już ja wiem. Widziałeś ty kiedy rybę bez łusek? Ryby zawsze mają łuski. Kobieta bez łuski człowieka nie obudzi. O, teraz widzisz? Od samego rozmawiania na ten temat już się zaczynasz budzić. Dawaj dalej, chłopcze, pomogę ci. Wyobraź sobie, że moja dłoń to Joaquinha.

Zasypiają, jeden oparty o drugiego. Budzą się w pozycji siedzącej, tak samo, jak zasnęli. Z nadejściem nocy deszcz ustał. Ziemia nadal uwalniała swoją słodką woń. Wstają, wciąż pod osłoną canhoeiro, obaj w wesołym nastroju. Nie wiedząc nawet dlaczego, zaczynają podśpiewywać na wyścigi. Potem tańczą, bębniąc po puszkach. Wyglądają, jakby postradali zmysły.

– Piliśmy coś, wujku?

– Ten alkohol od dawna mi siedzi we krwi. Kiedyś piłem jak smok.

I wyjaśnia mu nieodzowność swojego picia: mocz, który mieszkał w środku jego ciała, był okropnie gorący. Zaczynał go już palić, niemal wrzał. Jedynym lekarstwem na to było żłopanie, wlewanie w siebie płynu, aby ostudzić wnętrzności. Obaj śmieją się z tej wymówki, rechocą pełną piersią. Nagle Muidinga się niepokoi:

– To nie jest niebezpieczne, że tak hałasujemy?

– Kiedy się głośno śmiejesz, odstraszasz złe duchy.

Stary znowu zaczyna tańczyć. Muidinga już mu nie towarzyszy. Opiera się o drzewo, podczas gdy stary przygląda mu się ze zdziwieniem.

– Śmieję się, mały. Śmiech szczęście przyciąga.

Po chwili Tuahir również przestaje tańczyć. Rzuci się zrezygnowany na ziemię i siada ze zwieszoną głową.

– Masz rację, mały, w końcu ściągniemy sobie kogoś na głowę.

Siedzą tak przez jakiś czas, wdychając smutek, a nocna mgła wokół nich gęstnieje. Wtedy chłopiec pyta: dlaczego nie jest w stanie przywołać starych wspomnień? Dlaczego to, co dawne, cały czas sprzed choroby, zostało mu wzbronione i osnuło się mgłą gęstszą niż ta, która spowija teraz cały krajobraz?

– Wszystkiego nauczyłem się od nowa: chodzenia, mówienia. Moje oczy pamiętają, jak się czyta, moje palce nie zapomniały liter. Ale nie potrafię sobie przypomnieć niczego z mojej przeszłości. Dlaczego tak jest, wujku?

Tuahir mówi mu prawdę. Chłopca zaprowadzono do czarownika. Stary poprosił, aby z głowy małego wszystko zostało usunięte.

– Poprosiłem o to, bo lepiej nie pamiętać minionego czasu. Jeszcze ci się poszczęściło z tą chorobą. Mogłeś o wszystkim zapomnieć. A ja muszę żyć z tym ciężarem...

Tuahir rozumiał: zapiski Kindzu dawały chłopakowi zastępczą pamięć o tych zakazanych dniach. Przynajmniej zdawał sobie sprawę z tego, że to wszystko były fantazje, historyjki snute dla snu.

– Wiesz, mały, co zrobimy? Poczytasz mi jeszcze te zapiski.

– Mam czytać teraz, w tych ciemnościach?

– Rozpalisz na zewnątrz ogień.

– Ale całe drewno zamokło na deszczu.

– No to rozpalimy ogień w środku machimbombo. I opal też się w środku znajdzie.

– Wolno nam, wujku? Nie będzie z tego problemów?

– Problem będzie wtedy, gdy pozwolimy, aby te ciemności dostały się do naszych głów. Nie możemy tańczyć ani się śmiać. I dlatego zanurzymy się w tych zeszytach. W nich będziemy śpiewać. W nich będziemy się bawić.

SIÓDMY ZESZYT KINDZU

Pijany przewodnik

Pobyty w domu Assane zaczynał mnie już męczyć. Na co czekałem? Ani Surendra, ani Assane nie mogli mi pomóc w poszukiwaniach Gaspara, zaginionego syna Faridy. Kiedy prosiłem ich o radę, wzruszali tylko ramionami niezdolni do udzielenia jakiegokolwiek odpowiedzi. Dla nich mój problem był czymś obcym, czymś z innego świata.

W tym czasie przekonywali mnie, że wioska Euzinhi została zaatakowana i że nikt w niej już nie mieszka. Euzinha powinna teraz przebywać w obozie dla uchodźców. Bez wątplenia to tam właśnie znajduje się kobieta, która zna losy Gaspara. Ale jak się tam dostać? Busz był nazbyt śmiertelny. Nikt by się nie zgodził mi towarzyszyć. Antoninho, sklepowy pomocnik, po rozwlekłej paplaninie w końcu oświadczył, że zna kogoś, kto mógłby mnie poprowadzić. Należało udać się do baru, gdzie przebywał niedorzeczony osobnik.

Tego wieczoru poszliśmy z Antoninhem do baru. Wszedłem i stanąłem przy kontuarze, nasłuchując odległych głosów klientów, niemal w stu procentach pijanych. Wielu chciało wykorzystać te dwie godziny elektryczności, które generator administracji dostarczał mieszkańcom. Gromadzili się zatem w piwiarni, snując barowe rozmowy i krzykliwymi głosami maskując swoje słabości.

Dwóch mężczyzn rozprawiało szczególnie hałaśliwie. Antoninho ich rozpoznał. Jeden był olbrzymiej postury, otyły i odziany w kombinezon z pourywanymi guzikami. A zwał się Abacar Ruisonho. Drugi, zwany Quintino Massua, był mężczyzną nerwowym i tak chudym, że każda myśl, jako nazbyt ciężka, wywoływała u niego ciężkie poty. A ten Quintino właśnie dzierżył szklaneczkę, wznosząc dziękczynny toast:

– Jeszcze się wycwanię i będę bogaty!

Ladzie wokół niego śmiali się, traktując to tylko jako zwykłe chwaltazje. I rozbawieni również wznosili szklaneczki. Antoninho odmalował mi na stronie w błyskawicznym zarysie portret Abacara Ruisonho. Był szefem służby bezpieczeństwa, oscylując między tym, co podle, a tym, co wybacalne. Ale mógł za to dotrzeć wszędzie, gdzie chciał; machał legitymacją, upoważniającą go do wzywania, wyzywania i wykorzystywania w aktach. Jego stała funkcja polegała na rachowaniu żywych; ustalaniu liczby przesiedleńców przebywających aktualnie w obozie. Całymi dniami chodził z kąta w róg, mamrocząc: jeden, dwa gdzie... dwadzieścia, zgadza się... Liczby się piętrzyły, ludzie kielbasili. I zaczynał liczyć od nowa. Czasem wpadał w furię: a bo ci ludzie nigdy nie stoją spokojnie, do jasnej cholery! Jedno nie ulegało wątpliwości: grubas nie był zły. W każdym razie chudy Quintino nie lękał się grubego Abacara. Chuderlak, zadzierając wysoko przysięgi, oznajmiał:

– Mówię wam: jutro to ja będę wyświadczać przysługi. I lepiej żyjcie ze mną w zgodzie. Kto będzie przeciwko mnie, nie powącha złamanego grosza.

Zgromadzeni nie dbali ani trochę o wiarygodność jego przechwałek, zanurzeni w oparach baru, dalecy od rzeczywistego życia. I wiwatowali, gratulując dzisiejszemu biedakowi fałszywego bogactwa przyszłości. Wszyscy chcieli tylko tuczyć swoje mrzonki. Świętowano, nie wnosząc do towarzystwa nic prócz nędzy nurkowania w kieliszkach, po to aby topić w nich smutki.

Nie bawiło to tylko grubego Abacara. Poważny jak poniedziałek, ganił deklaracje Quintina Massua.

– Mamy tu do czynienia z niepoprawnym politycznie chłańskim.

W tym momencie do baru wszedł obcy mężczyzna z pistoletem wiszącym u masywnego pasa. Wyczuwając jego obecność, wszyscy zgromadzeni w barze zamilkli między wierszami, pograżając się w swoich płynnych zagadnieniach. Spytałem Antoninha, kim jest przybysz.

– To Shetani. Lepiej będzie, jak się wszyscy wydalimy.

W barze zapadła cisza. Ale nagle Quintino Massua postanowił zlekceważyć zagrożenie. Aby rzecz zmanifestować dobitniej, wdrapał się na krzesło i obwieścił się sprawcą najszerzej komentowanych w całym miasteczku czynów:

– A te banknoty, które pojawiły się na plaży? Kto je podał? Ja, sam Quintino we własnej osobie!

Gruby Abacar głęboko rozważał swoje piwo, nasączał argumenty. Pozostali ludzie zaniechali wygłupów i zaczęli się sycić samymi sobą. Antoninho szarpnął mnie za ramię, nalegając, abyśmy opuścili bar.

– Na miłość boską, chodźmy do domu!

Zabawa zbaczała w niebezpieczne rejony, temat banknotów był nad wyraz delikatny. Shetaniego pistolet musiał swędzieć w rękę, bo jednym nerwem muskał już miękojeść. Ale chuderlak Quintino, rozprawiaka, parł dalej:

– Zastanówcie się: dlaczego wszyscy dzisiaj cierpimy?

Zwrócił się w moją stronę, pytając, czy wiem, dlaczego nie kwitną nerkowce. Abacar usiłował mnie uspokoić:

– Nie reaguj. To zacofanie, to mroki niewiedzy. I warto się starać? Warto tych ludzi oświecać? Zawsze uważałem, że tak. Z pustego i nieszczęścia wychodzą parami: a tak, ziarnko do ziarnka i już pełna czarka.

Potężny Abacar zaoferował mi wspaniałomyślnie miejsce obok siebie przy barze. Pijąc, dobywał z zanadru kolejne aforyzmy:

– Jak masz żarcie, to nie stracisz!

Facet nachylił ku mnie swoje wyziewy. Myślałem, że przybrawszy tak poufną pozę, przemówi do mnie szeptem. Mimo to posłużył się tą samą tonacją zatkaną xipalapali:

– Coś ci wyznam: wnerwiam się na tego Quintino tylko dlatego, że go lubię. Facet nie może pojąć, że próbuję go chronić. Kiedy go tak traktuję, wychodzi na niedorozwiniętego i ważniacy myślą, że jego słowa są nic niewarte, bo ma nie po kolei. Wiesz, jak jest: jak ktoś ma w kraju ślepeca jedno zdrowe oko, to mu je wyłupią.

Nagle rozległa się gigantyczna eksplozja. Światło chwiała się przez chwilę, a potem padło zemdłone.

Czekaliśmy w ciemności na kolejny wybuch. Dał się słyszeć tylko ludzki głos:

– I to tutaj, skurwysyny!

Kto strzelał? Wojskowi czy bando? Ktoś potarł zapałkę, na kontuarze zapłonęła świeca. Po chwili rozbłysły liczne xipefo, które po roznoszono kolejno na stoliki. Quintino – wskrzesiciel zabawy – pierwszy zabrał głos:

– No, a ty co? Nic nie powiesz?

Mężczyzna podszedł do mnie, tak że już nie miałem wyjścia: wdepnąłem w rozmowę. Im bardziej chciałem się trzymać z dala obojętny wobec tej dziurawej dysputy, tym bardziej zaciskała mi się na szyi. Nerwowy człowieczek obkleił mnie swoim oddechem.

– Ty, obcy, ty słuchaj. W tym kraju dzieje się mnóstwo kurewstwa, nikt nie ma odwagi, aby o tym mówić. Ja wiem, kto tu morduje. To nie są tylko bando. Są też inni.

Pijacy się skulili: słowa Quintino zabrzmiały tak samo jak niedawna eksplozja. Quintino upierał się: są rzeczy, o których wszyscy wiedzą, ale nikt o nich nie mówi.

– Dzisiaj w Mozambiku wojna jest jak machamba.

I wyjaśnił: wojna przynosi wielkie zyski, dlatego każdy sobie siał własną wojnę. Każdy chciał zawładnąć cudzymi losami. Ta cisza robiła się już zbyt śmiertelna. Wówczas rozległ się warkliwy głos Shetaniego:

– Niedoliczone są dni tego smyka!

Quintino ciągnął mężnie dalej, nic sobie nie robiąc z byłego bojownika.

– To dlatego ta wojna nie może się skończyć. Dokładnie dlatego. Ten Abacar też o tym wie, tylko nie powie, bo to gnojek i spraczkisyn.

To było już o jedną kropelkę za dużo. Abacar zastygł jak torbaczk. Nawet ja nie zauważyłem, że był aż tak pijany. Nadmiar wyłożanego alkoholu przydał jego rysom determinacji. Nogi mu się chwiały, brzuszysko wychodziło ciężarem poza nawias ciała. Mimo to nagle strzelił pięścią w twarz Quintino, który runął w jednej chwili z donośnym chłupotem i znieruchomiał własnoręcznie doręczony na ziemię. Krąg głosów wokół niego nawoływał:

– Quintino, zbudź się!

Nie odpowiadał nic a nic.

– Czyżby umarł we własnej osobie? – spytałem nieśmiało.

Wszyscy fajdać zaczęli się śmiechem. Nie mam się co przejmować, bo to rzecz zupełnie normalna: chuderlak co noc kończy rozciągnięty na ziemi. Abacar podszedł do mnie, masując sobie knykie.

– Musiałem go uziemić. Nie lubię bić ludzi, po prostu trzeba było gościa uciszyć.

To właśnie wtedy, w tym półcieniu cętkowanym lampkami, pojawiła się kobieta w towarzystwie pokaznego psa. Antoninho szepnął mi na ucho, że to Juliana Bastiana, niewidoma prostytutka. Przyjrzałem się nowoprzybyłej, podczas gdy do tego zaczadzonego lokalu powoli wracała cisza. Shetani zawołał Abacara i powiedział mu coś na ucho. Obaj się roześmiali głośno i złośliwie. Niewidoma torowała sobie drogę między stolikami. Co jakiś czas muskała dłonią grzbiet psa: w ten sposób odgadywała drogę.

– Czuję zapach obcego przybysza. Może ma dla mnie wiadomości o moim brygadierze...

Wzdychała z tęsknoty w sposób, który nie licował z reputacją kobiety wsławionej i biegłej w naprzelajdaczeniach. Jej nawyki niewidomej sprawiały, że nie przypominała tych obszmacywanych piwociągów. Obeszła mnie, obwąchała. Spódniczka tak mocno opinała jej ciało, że tyłek prawie nie mógł złapać tchu.

– Nie bój się tego psa. Ma więcej serca niż większość tych tutaj – rzekła, wskazując na zgromadzony tłum.

Poprosiła, abym jej postawił, i w krótkim czasie wychyliła trzy kolejki. Psu kazała iść na zewnątrz, miał na nią zaczekać przed drzwiami. Posłuszny szczeniak podkulił nogi pod siebie i wyszedł. Rozejrzałem się dookoła. Rozmowy potoczyły się dalej jak zabarowane, śmiech przelewał się w śmiech. Tak jakby nie było tu przed chwilą żadnej strzelaniny. Wydawało się wręcz, że nie ma zewnętrznego świata i że wszystko zostało zredukowane do tej jednej knajpki. Niewidoma chyba czytała mi w myślach:

– Dzięki Bogu, że jestem ślepa. Tam na zewnątrz coraz gorzej. Przez tę wojnę już nikt nikomu nie współczuje.

I wyjawiała mi przyczynę swoich wzdychań: czekała na brygadiera Damião Silvério, jej nader wojskowego kochanka, zdobywającego szlify w armii kolonialnej. Juliana rozwijała swą historię. Brygadiera wysłano niedawno z misją przeciwko bojówkom wichrzycieli w obronie luzytańskiej ojczyzny. Niewidoma mieszała czasy historyczne, z przeszłości czyniła stan obecny. Gwałtownym ruchem zanurzyła rękę w swojej torbie i wyciągnęła z niej plik kopert.

– To wszystko są jego listy, nie ma tygodnia, żeby do mnie nie napisał. Chcesz poczytać, obcy?

Z wahaniem wziąłem od niej listy. Nie przeczytałem żadnego z nich. Wykorzystałem ten moment, aby wyjaśnić jej powód mojej obecności w barze. Może będzie mogła mi wskazać kogoś, kto zgodziłby się mi pomóc w moich poszukiwaniach w buszu? Juliana Bastiana nic nie odpowiedziała, wydawało się wręcz, że moja prośba do niej nie dotarła. Uznałem, że

powiniennem wyjawic nieco dokladniej moje cele. Nalezaly sie jej wyjasnienia. Ale mnie ubiegla.

– Chodzi o miłość?

– Owszem.

– W takim razie nie muszę już nic więcej wiedzieć.

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością. Trzymałem w dłoni listy, delikatnie i z szacunkiem, tak jakby mogła mnie w tej chwili widzieć. Powoli zacząłem kłaść koperty na stoliku. Mężczyźni przyglądali mi się z pogardą. Ja, człowiek z zewnątrz, znajdowałem przyjemność w towarzystwie Bastiany. Zdusiłem i głos, i ruchy, aby nie robić afery. Otaczające mnie twarze nie miały w sobie nic przyjaznego. Dopiero teraz zauważyłem, że Antoninho już zniknął. Juliana jakby odgadywała moje uczucia:

– Nie bój się. To ci faceci powinni się bać.

Jedynie brygadier Silvério, jej daleki kochanek, był człowiekiem prawym i przed nikim się nie trząsł. Właśnie dlatego wszyscy się denerwowali, kiedy wieściła rychły powrót wojskowego.

Wróciłem do mojego pytania. Wyjaśniłem, że chodzi o odnalezienie porzuconego dawno temu dziecka. Juliana wysunęła koszarne przypuszczenie: jeżeli to było rzeczywiście dawno temu, to mały musiał już dołączyć do bando i łobuszkuje po kraju jako siewca piekieł.

– Mimo wszystko muszę go znaleźć – odparłem.

Chciałem zyskać na czasie, zając czymś prostytutkę, licząc na to, że w końcu rzuci imię kogoś, kto mógłby mi posłużyć za przewodnika.

– Masz broń, obcy? Nie masz? To wielka szkoda: bo dobrze by było, gdybyś nauczył tego chłopca, jak się zabija i jak się dobrze okrada.

Wyciągnęła z kieszeni papierosa i, nie zapalając, wetknęła go sobie w usta.

– Tylko po to aby inni widzieli; sam nie wiesz, ile zazdrości coś takiego jest warte – powiedziała, machając papierosem. – Znajdziesz małego, ale nie będzie ci wolno mu dać do ręki długopisu ani motyki. Z tego nikt nie wyżyje. Do tego jest potrzebna broń, obcy. Dzisiaj to broń daje życie. Szybkie i dobre.

Ssąc niezapalonego papierosa, wypuszczała w powietrze niewidzialny dym. Obracała głowę na wszystkie strony, podpatrując głosy. Szurnęła krzesłem, aby przywołać moją uwagę, i wskazała stolik, przy którym siedział Shetani.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo ryzykuję, siadając tutaj tylko z tobą.

Nie czekałem długo, aby to zrozumieć. Siedzący w głębi baru Shetani zawołał Bastianę. Zachowywał się jak krzewiciel kłopotów.

– Chodź no tutaj. Chcę ci coś pokazać.

Bastianę wstała ze zgaszoną twarzą i zaczęła macać głosy, swoje szarości. Nawet chciałem jej pomóc. Odepchnęła jednak moje ramię i kazała mi się odsunąć. Ruszyła naprzód i po chwili, o nic po drodze nie zawadzając, stanęła naprzeciw Shetaniego.

– O co chodzi?

– Daj mi rękę, chcę ci coś podarować.

– Spadaj do buszu, tam jest twoje miejsce.

– Mówię ci, Bastiano, to prezent, przesyłka, którą wręczył mi pewien brygadier armii kolonialnej.

Prostytutka zadrzała, a oczy zalśniły jej jak świetliki. Zrobiła krok do przodu, podczas gdy całe jej ciało krzepło jak wyznanie wiary. Shetani odsunął stolik i powoli wstał. Chwycił Julianę za dłonie i gwałtownie rozwarł jej palce.

– Trzymaj, Juliano.

Włożył jej coś w dłonie, nikt nie dostrzegł, co to było. Zaczęła macać swój prezent, podczas gdy uśmiech gasł jej powoli na twarzy, aż skurczył się w wyraz bólu. Krzyknęła,

wytrzeszczając się w skargach i nagle załkała. Wróciła do mojego stolika, tym razem potracając po drodze wszystkie krzesła niczym chybolwica.

– Co się stało, Juliano? Mów, co on ci zrobił?

Pomogłem jej usiąść. Ciało miała napięte, jakby goniła resztkami nerwów. Po twarzy popłynęły jej łzy rzęsistego smutku, rozmaczając puder. Znow poprosiłem, aby mi powiedziała, co się stało.

– Spójrz, co oni zrobili z moim psem.

I otworzyła dłonie. Leżało w nich dwoje odciętych uszu, które jeszcze krwawiły, barwiąc na czerwono muszlę jej palców. Bez namysłu zerwałem się z krzesła i ruszyłem w stronę wojskowego, ale powstrzymało mnie zaniepokojone ramię prostytutki.

– A ty dokąd?

– Trzeba mu dać nauczkę, Juliano. Ktoś musi...

– Uspokój się, kretynie.

Te słowa Juliana wykrzyczała. Zaczęła wymachiwać wrzaskliwie rękami rozpalonymi od słów, po czym pchnęła mnie gwałtownie z powrotem na krzesło. Jej bezrobotne oczy potwierdzały ślepą decyzję, aby mnie powstrzymać. W końcu, uświadomiwszy sobie, że zostałem ujarzmiony, odetchnęła z ulgą, jakby z jej duszy uchodził trzykropek.

– Wiesz, obcy, on tego nie zrobił po złości.

– Jak to, nie zrobił tego po złości?

– Nie rozumiesz. To ja poprosiłam Shetaniego, żeby to zrobił. Pies był chory, a ja nie miałam odwagi...

Nie byłem w stanie tego słuchać i się oddaliłem. Ruszyłem do drzwi, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Po drodze minąłem Shetapiego. Na jego kolanach zdążyła się już zagnieździć jakaś inna prostytutka, która zasypywała go czułościami należnymi zwyczajcom. Juliana siedziała na swoim miejscu, pijąc w milczeniu.

Ciekły kolejne godziny, piana osiadała w kufkach. No i w końcu rozległy się pierwsze pożegnania nocy, a krzesła w piwiarni zaczęły zadzierać nogi w górę. Juliana Bastiana uparła się, aby zapłacić. Dobyła pieniądze z bielizny, pokryła należności, po czym reszta wróciła do stanika. Monety zadzwoniły ze śmiechem, łaskotane przez piersi. Wyszedłem ostatni. Nie policzyłem chyba stóp na zamiary; trudno mi było nawet ustalić, ile nóg mi się prawnie należy. Nie wiedząc kiedy, przelałem swoją miarkę.

Wciągnąłem w płuca nocne powietrze. Na zewnątrz tłum już się roztlaczał. Ktoś ciągnął Quintina za rękę po ziemi. Został złożony na chodniku, gdzie czekał go nocleg pod prześcieradłem z gwiazd. Szarpnęła mnie czyjaś ręka. To była Juliana Bastiana. Przyciągnęła mnie do siebie i szepnęła:

– Ten, co tam leży, rozlany w sztok po chodniku...

– To co?

– On właśnie zna się na buszu, umie poruszać się w nim swobodniej niż zwierzęta.

– Quintino?

– We własnej osobie. On cię zaprowadzi tam, gdzie chcesz.

Niewidoma odeszła, trzymając się pod rękę z drugą prostytutką. Wkrótce wszyscy zniknęli i zostałem sam na sam z pijakiem. Jeszcze tylko radio gdzieś w oddali młóciło ciszę. Usiadłem, czekając na lukę w nieświadomości śpiącego mężczyzny. Byliśmy sami, ja i pijany Quintino, zraszając się nocną mgłą. Ogarnęła mnie tęsknota za Faridą. Zobaczę jeszcze kiedyś tę kobietę? Czy już nigdy nie zaznam tego piękna? Ostatecznie w środku życia zawsze dokonujemy niemożliwego rachunku: więcej jest za nami wczoraj czy przed nami jutro? Ja chciałem, aby czas się odwłókł, aby zastygł jak rozbity okręt.

Tymczasem pijany i na chodniku nie miał umiaru. Sen zdjął już mojej głowie buty i zrobił się tak zachętańczy, że od walki z nim wezbrały we mnie mdłości. Wstałem, postanawiając

przejść się po okolicy. Nigdy nie byłem smutasem, a wszelką melancholię zawsze kurowałem piosenką. Zanuciłem starą melodię, pogrążając się w woń canhoeiro.

O świcie postanowiłem wrócić po Quintina. Chciałem się jak najszybciej dowiedzieć, czy zgodziłby się posłużyć mi za przewodnika. Nagle z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Poderwałem się gwałtownie do obrony, powalając nieznajomego na ziemię. W środku walki wyczułem w domniemanym ciele intrygujące krągłości: to była kobieta, a ja miałem pełne ręce jej piersi.

– To ty?

Karolinda, żona administratora, wyemancypowała się z mroku, nabierając kształtów i barw. Wskutek walki całe ubranie miała w strzępach. Teraz, już w jasnym świetle, ukazała się strojna we własne ciało jak rozkwiecona pszczoła. Odrzuciła głowę do tyłu, aż śmiech zawisł w powietrzu. Jej język zerkał na mnie chytrze, stercząc na progu ust. Przez chwilę Karolinda przypominała mi Faridę. Coś czyniło je podobnymi jak dwie twarze wody. A może to ogień pożądania sprawia, że wszystkie kobiety wyglądają podobnie? Nasze dłonie się splotły, jakby w lęku przed rozstaniem. Byliśmy niedaleko kościoła, pilnie musieliśmy znaleźć jakieś miejsce.

– W kościele nie, święci lubią podglądać.

Weszliśmy na jakieś podwórze i po chwili znaleźliśmy się w stodole należącej do Misji. W środku stało xipefo o wątlym płomieniu. Chwyciłem wolną ręką lampkę i zaczęliśmy rozglądać się dookoła, brodząc w słomie i potykając się o własne nogi. To był taniec, dla którego nie skomponowano jeszcze żadnej muzyki. Zrzuciliśmy z siebie pośpiesznie ubrania. Zawiesiłem xipefo na bawolim roku i legliśmy w sianie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ODDECH POCIĄGÓW

- Coś ci powiem, mały. Wiem, że tak jest: to nie my chodzimy. To droga chodzi.
- Sam to już dawno temu mówiłem.
- Nic nie mówiłeś. Ja mówię.

I Tuahir tłumaczy: za każdym razem kiedy prowadził małego po buszu, to było tylko na niby. Bo przy żadnej z tych okazji nie oddalili się na żadną rzeczywistą odległość.

- Zawsze byliśmy tuż-tuż, o minus kilka metrów stąd.

Wszystko odbywało się w pobliżu autobusu. To sam kraj tędy maszerował, lunatykując. Sztykielet się kurczył, Nhamataca tworzył rzeki, staruchy tropiły szarańczę; wszystko, co się zdarzyło, zdarzyło się na środku drogi.

– Tak, mały, jesteśmy w podróży. W tym unieruchomionym machimbombo pozostajemy w ciągłym ruchu. Przypomina mi się, jak jeździłem pociągami.

Oczy starego zaszyły chimerą i zaczął wspominać. Przypomniał sobie pociąg dyszący pośrodku sawanny, przywożący z bardzo daleka słodkie miłości i górników obładowanych tysiącem ofert pracy. Pamięć Tuahira nasyciała się dymem i parą, które spowijają senne stacyjki jak mgła. Od jak dawna pociągi nie rozsiewają już swoich magicznych oparów?

- Słyszałeś kiedyś mowę pociągów?
- Nigdy, wujku.
- To piękny dźwięk. Tu-tuuuuu...

Tuahir wspomina. Pracował na małej stacyjce. Kiedy zaczęła się wojna, pociągi przestały przyjeżdżać. On jednak pozostał na posterunku, ze swoją latarnią i czujną chorągiewką. Ta latarnia stała się jedynym światłem w bezmiarach buszu, jakby była kagankiem nie ludzi, lecz ziemi. Tuahir punktualnie świecił na dworcu, zamiatał peron, reperował deski budyneczku. Trzymał się swojej zasady: pociąg musi przyjechać; któregoś dnia pociąg przyjedzie. Kiedy wreszcie ten dzień nadejdzie, on będzie już w pełni przygotowany, umundurowany i zorganizowany. Tak jak to zawsze robił, powita lokomotywę uroczystym salutem. Wagony rozciągną swoje stalowe westchnienie, dziewczęta podbiegną z koszami, aby sprzedawać owoce, i życie zaleje się znów głosami i światłem.

– Czasami mam ochotę posprzątać w tym machimbombo, tak jak sprzątałem stację. Ale teraz nie warto.

- Dlaczego nie warto?
- Odpowiadać też nie warto. Widzisz ten gwizdek?

I wyciąga z kieszeni stary gwizdek. To był amulet, który mu towarzyszył przez tamte wszystkie lata.

- Weź. Przyniesie ci szczęście.

Z początku Muidinga nie chce go przyjąć. Gwizdek ma wartość sentymentalną, którą zna tylko stary. Jednak Tuahir nalega i w końcu chłopiec bierze ten drobny przedmiot. Mimo to w

jego duszy tkwi zadra. Dlaczego autobus nie zasługuje na to, aby o niego zadbać? Skąd ta rezygnacja wujka? I zaczyna mu żarliwie opowiadać: o przyszłych śmiechach, o świecie, który będzie się im bawił w dłoniach. Obaj tam powrócą, aby dbać o stację, a latarnie i chorągiewki będą kontrolować ruch pociągów.

– Czy sam wujek nie powtarza zawsze: coś się musi wydarzyć?

– Mówię tak, bo straciłem już wszelką nadzieję.

– Kłamstwo. Jeżeli straciłeś nadzieję, to dlaczego mi podarowałeś ten gwizdek?

Wtedy stary prosi chłopca, aby oddał głos zeszytom. Będą dzielić to oczarowanie, tak jak zawsze dzielili się jedzeniem.

– Całe szczęście, że umiesz czytać – stwierdza stary.

Gdyby nie ta lektura, byłiby skazani na samotność.

A tak ich mrzonki mogą teraz wędrować pośród liter tych opowieści.

– Czytaj, mały. Czytaj, a ja się zajmę moją pracą.

To rzekłszy, stary improwizuje naprędce xipefo i wyciąga skądś skrawek czerwonego materiału. Bierze gałąź palmy i robi z niej miotłę. Podśpiewując, zaczyna zamiatać wnętrze machimbombo. Chłopiec z uśmiechem kartkuje zeszyty. Stary czuł teraz beztroską radość, tę samą, która mu się kiedyś udzielała w pracy. I jest tak, jakby to sam Muidinga siedział na stacji, czekając na najbliższy pociąg. Tuahir zmiata resztki spalenizny na starą pokrywkę. Potem wychodzi z autobusu i szerokim gestem rozsypuje popioły po ziemi.

– Co robisz, wujku?

– Rozrzucam nawóz po polu. Bo jutro ma padać. Czytaj dalej, synku. Nie przestawaj czytać.

ÓSMY ZESZYT KINDZU

Wspomnienia Quintina

Kiedy się obudziłem, słońce stało już wysoko. Karolindy nie było. Zacząłem zbierać moje rzeczy, porozrzucane po ziemi. Nagle spostrzegłem wisiołek Karolindy. Podniosłem i schowałem go do kieszeni, aby jej potem zwrócić.

Wyszedłem ze stodoły oszołomiony jaskrawym blaskiem słońca. Wróciłem do baru, aby odszukać Quintina i poprosić go w końcu o towarzyszenie mi w wędrówce przez busz. Na barowym podwórzu zastałem wzburzone zgromadzenie. Jakiś człowiek holował Quintina, ciągnąc go za sobą przemocą. Chuderlak na stawiał oporu: jego kroki nie mogły namacać nóg. Zataczał się, zatykał i zaczkawał. W tym przypadku droga torowała sobie człowieka. Ostatecznie pijanemu każdy kierunek pasuje. Już miałem zaprotestować, kiedy spoufaliło się ze mną czyjeś ramię:

– Daj spokój, lepiej się nie mieszać.

Dopiero wtedy rozpoznałem Shetaniego. To on ciągnął Quintina. Tym razem mężczyzna był w mundurze. Quintino, otoczony jego ramieniem, usiłował wyartykułować jakieś słowa, kilka zaślinionych sylab. Musiałem odzyskać Quintina; ten pijak był dla mnie bezcenny.

– Towarzysz wybaczy, ale mogę się zająć moim przyjacielem.

Shetani łytał na mnie nieufnie. Nozdrza mu sapnęły, powieki mrugnęły. Wybuchnie śmiechem?

– Możesz mi pomóc rozładować ten towar – zgodził się.

Chwyciłem Quintina pod pachy, a tak pustych pach w życiu nie widziałem. Sam dźwignąłem w górę ciało pijusa.

– Dasz sobie z nim radę? – spytał Shetani.

– To coś nic nie waży.

I wtedy właśnie prosto w oczy mojemu zdumieniu zajrzał pistolet. Flaki podeszły mi do gardła. Były bojownik wygrażał mi wszem i wobec:

– Pójdiesz ze mną. I poniesiesz tę tłustą ciotę. Dalej, ruszaj się.

Ruszyłem drogą, dźwigając Quintina. W głowie miałem sieczkę. Znajdowałem się w jednej z tych sytuacji, kiedy ani woda nie jest miękka, ani kamień twardy. Na czym polegało moje przestępstwo? Jakiego dzisiaj potrzebują pretekstu, aby utrupić człowieka? Zatrzymaliśmy się w budynku administracji, gdzie związano nam ręce. Quintino nadal był zamroczony i bredził. Wypuszczał z siebie zdania hurtem:

– Dzisiaj jest niedziela. Jutro też jest niedziela.

Zmarszczył powieki, jakby się bał, że mu jakaś myśl ucieknie oczami. Następnie porachował sobie kolejno wszystkie żebra. Łaskotał się, mylił się ze śmiechu i zaczynał od nowa.

– Dwadzieścia cztery! Tyle, ile godzin ma doba! Już to zauważyłeś, Kindzu? Na tym świecie wszystkiego jest tyle samo!

Czas mijał. Sznur wpijał mi się w ciało. W końcu zjawił się administrator Estêvão Jonas ze swoją eskortą, a wraz z nimi rozmaici oficjele, wszyscy w wojskowych kombinezonach. Przyglądali się nam w milczeniu, jakby w naszych osobach skupiały się wszystkie zbrodnie tego świata. Pierwszy odezwał się słodkim głosem Abacar Ruisinho:

– Wsadzić ich do lodowy, szefie?

– Ani mi się waź! Ci goście mają tutaj manię zamrażania! Nie chcę tu więcej żadnych zamętów. Kto wie, może to ten typek...

I wskazał na mnie. Abacar nastroszył sobie brzuch nad paskiem, przygotowując się do przemówienia. Ale administrator uniósł żdźbło brwi i wydał rozkaz, zagryzając szczęki:

– Wezwać tu moją żonę!

Był taki wściekły, że mówił, nie poruszając wargami. Karolinda pojawiła się ze spuszczoną głową. Kiedy uniosła twarz, jej oczy celowały we mnie oskarżycielko.

– Tak, to on.

Karolinda wskazywała na mnie. Potem odwróciła wzrok i już więcej ani razu nie spojrzała mi w oczy. W powietrzu ciążył bezruch milczenia. Przypomniałem sobie nagle, że wciąż mam przy sobie wisiołek Karolindy. Gdyby mnie przeszukali, byłbym zgubiony. Ze strachu spłynąłem cały we własne nogi. Żona administratora oddaliła się korytarzem pod eskortą wojskowych. Estêvão Jonas oświadczył:

– Moja żona widziała, jak drzesz banknoty i wrzucasz je do oceanu.

– To nieprawda.

Abacar przedstawił dowody: brakujące pieniądze, porwane na kawałki i jeszcze ociekające wodą. Cisnęli we mnie tym lepkiem plikiem. Quintino pośpiesznie pozbierał wszystkie fragmenty, usiłując odtworzyć banknoty. Liczył dwoma palcami, sylabizując drobniawo wszystkie cyfry alfabetu. Jego rozdziawione na oścież oczy pławiły się w skrawkach bogactwa. Estêvão Jonas rozkazał swoim podwładnym, aby zostawili go ze mną sam na sam. Milczał, dopóki wszyscy nie wyszli. Dopiero wówczas zapytał:

– Chcę wiedzieć tylko jedno: zaliczyłeś Karolindę?

Kłamtownie zaprzeczyłem. Administrator znał już wersję Karolindy. Żona wyjaśniła swoje nocne spóźnienie. Zeznała, że znalazła na plaży plik banknotów. Schyliła się, żeby go podnieść, ale nie była w stanie się wyprostować. Była przykuta do pieniędzy i przez kilka godzin nie mogła się od nich uwolnić.

– Znam to xicuembo, nie może za tym stać nikt tutejszy. To się stało z twojego rozkazu. Ale to ciemne wstecznictwo nie dla mnie. To jest wywrotowa akcja polityczna, wrogie działanie, deptanie symboli narodowych.

Padły groźby. Nazajutrz przekonamy się, że nie warto zadzierać z władzą. Quintino, dochodząc do siebie, lunął szlochem. Wyżłopał tyle, że nawet jego łyzy zalatywały wińskim. Zaczął się drapać, powoli trzeźwiejąc. Przyjrzałem się mojemu towarzyszowi i nawet pożałowałem, że ubzdryngolenie mu mija. Ten sam alkohol, który wczoraj dodawał mu odwagi, dzisiaj rozłożył go jak niemowlaka. Przywołałem go do porządku, musiałem niezwłocznie umówić się z nim na wyprawę do obozu dla wysiedleńców, gdzie przebywała Euzinha. Byłem gotów zaproponować mu pewne zyski. Kto w naszych czasach pomaga z czystej bezinteresowności?

– Poprowadzisz mnie przez busz. W zamian za to wezmę cię na okręt, na którym jest Farida. Zabierzesz stamtąd, co tylko zechcesz.

Zgodził się. Ostatecznie on także chciał uciec. Wyznał, że prześladowa go pewna zjawia. Zjawia? Tak, duch jego dawnego pana z czasów kolonialnych.

– Opowiem ci moją historię, obcy.

– Kindzu – poprawiłem go.

– Kindzu – skinął głową.

I zaczął opowiadać. Jego historię warto zapamiętać.

Zdarzyło się to, kiedy Quintino postanowił odwiedzić stary dom, w którym pracował niegdyś jako pomoc domowa. Chciał zobaczyć, czy zostało coś z przebogatych dóbr jego pana. Nie nazwałby tego kradzieżą. Może właściwsze byłoby słowo „nacionalizacja”. Nacionalizacja pewnych dóbr na rzecz miejscowej ludności. Zaczął szturmować wiekowe domostwo, gwałcąc okna i drzwi. Kiedy wchodził do środka, opadły go wyrzuty sumienia

kogoś, kto bezcześci czyjś grób. Bo właśnie w tym domu, w piwnicy, został pochowany Romão Pinto, głowa rodziny, właściciel domu i jego pan. Zmarł w tych niespokojnych dniach, które nastąpiły po niepodległości, dniach, które okazały się przekleństwem dla życia Portugalczyka. W jaki sposób umarł? Co do tego nigdy nie było pewności. Jedni mówią, że pokarała go klątwa krwi, która dotknęła go wskutek amorów z dziewczyną w czasie menstruacji. Rzeczywiście, mężczyzna ten nagminnie bisurmanił się z ciemnoskórymi damami, żądając od nich ciała w trybie pilnym. Wiadomo też było, że czerpał z tej praktyki zdecydowanie więcej smaku niż niesmaku. Inni twierdzą, że Portugalczyk wyzionął ducha, widząc swoje pola bawełny w płomieniach. To on sam podłożył ogień na plantacji. „Jeżeli to nie będzie moje, nie będzie niczyje!”, wrzeszczał w szale, wymachując płonąca pochodnią. Jednak jego serce tego nie wytrzymało. Widok plantacji stojącej w ogniu rozdarł mu piersi i osadnik był sztywny, jeszcze zanim padł na ziemię. Śmierć Portugalczyka stała się dyżurnym, stuwersyjnym tematem wieczornych posiedzeń przy ogniskach i kominkach. Jakkolwiek rzeczy się miały, farmer padł z łaski nadzwyczajnych mocy. Kto wie, może nie była to jedna, tylko wielokrotna śmierć?

Dziesięć lat później, schodząc do piwnicy z zapalką w palcach, Quintino nadal czuł woń dymiącej plantacji. Stare xipefo na stole przejęło od zapalki płomyk i rozświetliło całą salę. Quintino oswajał powoli oczy: wszystko było takie czyste, takie poukładane. Meble drzemały wśród ospałych mroków, a na środku piwnicy, niczym nieuleczalna choroba, wciąż tkwiła trumna. Quintino Massua starł dłonią pył nieświadomym gestem służącego, który ma dbać w domu o czystość. Nagle skostniał, słysząc jakiś dźwięk. Spojrzał, choć wolałby nie widzieć: denat, jego były pan, wstawał ze śmiertelnego łoża. Romão Pinto, syn i wnuk kolonistów, powracał do rodzinnego domu po ponad dziesięcioletniej i definitywnej nieobecności. Zmarł w pozycji siedzącej, jakby powrót kosztował go zbyt wiele wysiłku. Następnie zaczął się macać po stopach.

– Gdzie moje buty?

Rozejrzał się dookoła, mrugając raz po raz oczyma. Podkulił nogi, miotając przekleństwa. Z jego manier można było wnioskować, że podczas długiego pobytu na tamtym świecie nie zetknął się z żadnym bogiem.

– Te przeklęte czarnuchy buchnęły mi buty!

I dalej drzazgotać. Że człowiek już nie może nawet umrzeć z godnością, bo ledwo ostygnie, a już go rewidują. Złorzeczając, macał się po całym ciele, sprawdzając kolejno wszystkie części garderoby, pierścienie i miejsca sekretne. Quintino zbliżył się do niego ostrożnie.

– Szefie, to nie ja.

Na poparcie tych słów dawny służący wskazał na swoje stopy. Były bose, pokryte jedynie białą farbą.

– Taki teraz zwyczaj, panie. Teraz się maluje – wyjaśnił Quintino. I zaraz zdumiał go zwrot, którego sam użył. „Panie”!? Nigdy nie sądził, że w tak krótkim czasie ponownie będzie musiał się podporządkować. – Nie ma butów, panie, tego towaru teraz nie uświadczysz. To dlatego zdzierają je z nieboszczyków.

Denat wstał. Przetarł oczy, po czym zabębnił palcami o drewnianą trumnę.

– Tyle lat się męczyłem w tym gównie...

Quintino uśmiechnął się, bardziej z lęku niż z dobrej woli. Dobrze wiedział: nowo zmarli nie chcą odejść z tego świata, jeżeli nie poświęci się im odpowiednich ceremonii. A przecież sam mówił pani: lepiej będzie, jak pożegnamy pana należycie, jak odprawimy dla niego obrzędy.

– No, i co ta krowenia na to?

– Odmówiła.

– Odmówiła? No, ale jak to: odmówiła?

– Powiedziała, że pan nie odszedł sam, że miał z sobą towarzystwo, takie, na jakie zasłużył.

Biały uśmiechnął się z pogardą. Odszedł kilka kroków dalej, kręcąc głową z niema deaprobata. Zapomniał sztuki chodzenia, długo szukał własnych nóg.

Quintino przyglądał się przybyszowi niemal z czułością. Ten Biały przez wiele lat przemierzał niewidzialne dziedziny, błakisnując się wśród zimnych chmur, gdzie nie ma co liczyć na jakąkolwiek służbę. Kto o niego dbał w życiu codziennym jego śmierci? Mało tego: dlaczego powrócił? Quintino podejrzewał, że wie: zmarli muszą wpierw przejść stosowne wtajemniczenia i powinniśmy ich zostawić w spokoju. Powoli stawiają pierwsze kroki w wieczności. Ci zmarli dopiero uczą się śmierci. Teraz Romão Pinto, odarty ze swoich pionowych nawyków, usiłował utrzymać równowagę na linie zawrotów. Bosonogi nieboszczyk chybostał się i potykał. Nawet Quintino nigdy przedtem nie widział obu stóp swego pana. I oto miał je przed sobą, jak, jeszcze zaspane, z trudem literowały ziemię. Stopy Białego są zawstyżone: pozbawione butów, przypominają stroskane kobiety.

– Niech cię szlag, suczysynu, że też to ciebie musiałem pierwszego zobaczyć. Gadaj no: gdzie to się podziewa moja dama?

– Pani?

– Tak, Dona Virgínia, moja żona. Czyżby zmarło to krówsko?

– Dona Virgínia? Nie, nie umarła. Jest całkiem żywusia.

– Tak też myślałem. Babka jest nie do zdarcia.

Romão wybuchnął śmiechem, aż służący się wzdrygnął. Quintino był zaintrygowany: może chodziło o zazdrość, którą budziła w Portugalczyku nieposkromiona żywotność Virgíinii? Jego trumna pleśniała przez lata w piwnicy...

Został tam pochowany decyzją służby. Rzeczywiście, na cmentarzu roiło się od trupich mrówek. Jak ostrzegł ich ksiądz Portugalczyk, te mrówki zjadają nieboszczyka, kiedy diabeł przeciera swe kaprawe oko. Dlatego właśnie pochowali go w piwnicy, gdzie nigdy nie weszły nawet szczury. Wdowa się wyprowadziła i cały dom pogrążył się we śnie. Takie opustoszałe domy są zawsze ogromne.

– Chcę stąd wyjść, chcę się przejść po okolicy!

– Niech pan nie wychodzi. Teraz jest inaczej niż kiedyś, pan nie zna tu nikogusieńko.

– Jak to, nikogo nie znam? A kto tu teraz rządzi?

– Estêvão Jonas. Pan nie może go znać, nie jest stąd.

– No to pierwszą rzeczą, jaką zrobisz, gdy stąd wyjdiesz, będzie wezwanie do mnie towarzysza przewodniczącego. Słyszałeś?

Quintino potwierdza skinieniem głowy, podczas gdy osadnik zaczyna nagle przetrząsać koszulę i spodnie. Szuka plamy, śladu zaschniętej krwi. I wyrzeka: „ta suka Salima zapłaci mi za to!”

– Wiesz, Quintino, jaki był prawdziwy powód mojej śmierci? To przez tę krowę, Salimę.

– A co ona takiego zrobiła?

– To ja zrobiłem. Zaliczyłem babę razem z jej krwią.

– Zgroza, panie!

– Ale się zemściłem. Zmusiłem tę krowę, aby ujeździła potem swojego męża rogacza. Przynajmniej wszystkich nas obsyfiło i nikt już potem baby nie bzykał.

– Ale jej mąż nie umarł.

– Nie umarł? Jak to, nie umarł?

– No mówię, facet żyje do dziś.

– W mordę świni, to niemożliwe!

Romão Pinto nie chciał uwierzyć. Przeczesał sobie włosy palcami, potem podszedł do okna. Zapatrzył się na podszewkę świata, w ten sam smutny sposób, w jaki wolność odbija się

w oczach więźniów. Przypomniały mu się ostatnie chwile jego życia. Wszystko ukazało się tak wyraźnie, jakby zdarzyło się wczoraj.

Tego dnia Romão Pinto ruszył potajemnie ku pogrążonym w mroku lepiankom. Wdychał mocny zapach gujawowców, jakby jego nozdrza wgrzyzały się w czerwony miąższ owoców. Zatrzymał się pod drzewem, obserwując zakład Abdula Remane. Nie trwało długo, a muzulmanin wyszedł, targając swoje żelastwo, które spawał w sąsiedztwie.

Romão, oparty o delikatny pień gujawowca, niecierpliwił się zirytowany opieszałością mechanika.

– Zwijaj się, rogaczu kakaowy!

Abdul kończył szykować swój bagaż. Po chwili wykrzywił się i warknął:

– Salima!

Oto i ona: owinięta w białe płótno, rozsiewa wokół siebie kuszące wonie. Co się tyczy kobiet, niektóre piękności rodzą się dopiero w wieku dojrzałym. To wtedy są najbardziej niebolśniewające. Romão Pinto oddał się rozważaniom: czy męczyzna tak nikczemną dręczony samotnością nie ma prawa do kakaowych krągłości? Od Czarnych niech Bóg mnie zachowa. Ale Mulatki? Kto je spłodził? Czyż nie my, Portugalczycy? A skoro tak, mamy prawo zakosztować tych lubieżnych ciał. A ta Salima – niech to szlag, cóż za skarb się marnuje w łapskach tego bambusa!

W końcu mechanik znikł mu z oczu. Romão wyszedł z cienia i pobiegł w stronę domu. Wszedł bez pukania. Salima, zajęta sprzątaniem, wzdrygnęła się, kiedy zaszedł ją od tyłu i starł z ramienia olej samochodowy, garażowy brud. Wywinęła mu się z rąk.

– Zostaw ten brud, Romão. Mój mąż sprawdza każdą płamę. To on brudzi mnie tym olejem, żeby mieć potem dowód nietykalności.

Oboje się uśmiechnęli. On – szykowny i dziarski. Rozebrał Mulatkę, zaczął pieścić jej piersi i masywne biodra.

– Jest ciemno, włączmy prądnicę.

Niech nawet o tym nie myśli, hałas prądnicy zagłuszy odgłosy z zewnątrz, jeszcze gotów tu wparować rogaty Abdul. Portugalczyk wpija palce w jej mrocze, i Salima ulega z niepewnym dreszczem.

– Romão, obiecałeś mi...

– Co obiecałem?

– Że mnie ze sobą zabierzesz do...

– A tak, zabiorę cię, zabiorę...

Od jak dawna już bawili się tak w chowanym? Za każdym razem Romão, pomijając wszelkie zaloty, zmierzał najkrótszą drogą do ciała Salimy. Podrzucał kobietę w powietrze, wymawiając żarlotne słowa: „orzeł czy reszka”? Bez względu na to, w jakiej pozycji Salima upadnie na materac, Romão zawsze wygrywa zakład. Ostatecznie obie strony kobiety są dla niego jedną i tą samą.

Teraz, pogrążeni w kuchennym półmroku, celebują swoje ciała, spleceni i koci. Salima rozstała się z ubraniem, osładzając swoje kształty.

– Romão, co mam zrobić, żebyś był zabawolony?

Ech, te niepoprawne muzulmianki, zawsze za wszelką cenę zabiegają o to, by dać mężczyźnie rozkosz. W szczytowym momencie miłosnego aktu przerywała, aby pytać: czy tak ci jest dobrze? Tego wieczoru Romão obsłużył się na kuchennym stołku – siedziała na nim okraciem, pragnąc mu się oddać jeszcze pełniej niż zwykle. Jednak Portugalczyk ledwo zdążył skończyć: zaalarmował go hałas pod drzwiami. Wycofał się pośpiesznie ze spuszczonej spodni, potykając się na schodkach na tyłach domu. Uspokoił się i wybuchnął śmiechem w chwili, gdy zobaczył w szybie własne odbicie. Postanowił skorzystać z tego, że ma już opuszczone spodnie i oddał mocz; podobno taka praktyka po seksie oczyszcza odpowiednie przewody. Zaczął załatwiać swoją potrzebę, celując w drzewo

niczym pies. Z początku był wniebowzięty. On to umie zerwać tamę na pustyni! Kiedy jednak minęło już niewiarygodnie dużo czasu, a on wciąż się wypróżniał, zaczął się niepokoić. Chciał przestać, ale nie mógł. Wyciekał z niego litr za litrem, tworząc wodospad, jakiego nie wydał z siebie nigdy żaden człowiek. Bolał go już pęcherz, wyczerpane organy i cielesne funkcje nie były w stanie się zatrzymać.

– Mój Boże, ktoś rzucił na mnie urok!

„Ta krowa rzuciła na mnie urok, to nie jest normalne, żebym sterczał tutaj i tak szczał!” Portugalczyk ślinił się, popłakując. Struga waliła nieprzerwanie, wydawało się, że runęła zapora chmur. Zaczął błagać Boga o zmiłowanie. Aż w końcu, w apogeum rozpacz, wylew ustał. Romão Pinto, ledwo dysząc, przyjrzał się swoim wycieńczonym organom. I wtedy zobaczył coś, od czego wzdrygnęła mu się dusza: jego majtki były splamione czerwienią, niemal nią ociekały.

– Ta kurwa miesiaczkuje, a żeby ją piorun strzelił!

Odwrocił się nieprzytomny z wściekłości. Chciał ukarać Mulatkę, wyrwać jej te skrwawione wnętrzności. Jednak męczyzna zaraz zatoczył się ciężko, omal nie upadając. I tkwił tam bezradnie. Chciał krzyczeć, kogoś wezwać. Ale krzyk, który z siebie dobył, był wodnisty i lepki. Z ust bryznęła mu pierwsza struga krwi.

Kiedy doszedł do siebie, już prawie świtało. Chwiejnym krokiem ruszył z powrotem do domu Salimy. Dom jeszcze się nie obudził, małżeństwo wciąż spało. Portugalczyk zawołał Salimę. Stała rozczochrana w oknie. Przełknięta, poprosiła go, aby był cicho. Po chwili wyszła w popłochu owinięta w prześcieradło.

– Przymknij się, Romão, bo jeszcze zbudzisz Abdula!

Chwycił ją i potrząsnął z całej siły, tak że osunęło się z niej prześcieradło. Piana wciąż występowała mu na usta, różowa ślina wyrzała spomiędzy zębów, poprzedzając słowa:

– Przeklęta dziwko, masz miesiaczkę!

– Nie wiedziałam, Romão. Dopiero potem to zauważyłam.

Nawet nie chciał tego słuchać. Dotarło do niego, że zgodnie z miejscowymi wierzeniami ten, kto będzie się kochać z kobietą w okresie jej nieczystości, musi ponieść karę. Portugalczyk także wierzył w te afrykańskie klątwy: krew musi w nim teraz kipieć i z niego wyciekać.

– A teraz słuchaj, co ci powiem: ja, Antonio Romão Pinto, nie umrę sam.

Portugalczyk wydał rozkazy: Salima ma nakłonić męża do amorów, rozbudzając w nim łatwopilny ogień pożądania. Ma się stać kobietą nagłą, niezbywalną i niewłoczną.

– Zrobię to później, Romão...

– Żadne później! Zrobisz to właśnie teraz. Idź, a ja będę spoglądał przez okno.

– Romão, proszę cię, nie rób tego. Nasze dzieci są jeszcze takie malutkie...

– Właż do środka i zerznij mi tego gaszka! Bo nigdy cię stąd nie zabiorę...

Salima, roniąc łzy, weszła do domu. W pokoju, w ramach przygotowań, uczesała się i wyperfumowała. W lustrze mignął jej jeszcze sterczący w oknie Romão. Nie zauważyła jednak, że po chwili ręce, na których się podciągał, aby zaglądać do środka, zaczęły mu słabnąć, a on sam osunął się za horyzont framugi jak zachodzące słońce.

Zmarły odszedł od okna, jakby chciał odepchnąć od siebie te bolesne wspomnienia. Wyglądał jak ktoś, kto już o nic nie prosi, kto już nie chce niczego zaczynać od nowa. Quintinowi zrobiło się nawet żal Portugalczyka. Był zdruzgotany wiadomością o tym, że mąż Salimy nie umarł. Aby go pocieszyć, Quintino zaczął mu podsuwać rozmaite wyjaśnienia. A może krew jego żony była fałszywa? Słyszał o sztuczki kobiet, których się chwytają, gdy nie chcą zaspokajać pilnych potrzeb swoich samców. Udają; czasami nawet specjalnie ranią sobie pachwiny.

– Nabrała pana, szefie, mówię panu!

Ale osadnik już nawet nie słuchał. Oparty o parapet; wyglądał tak, jakby uczył się sztuki ponownych narodzin. Błada twarz, uleczona ze wspomnień poprzedniego życia, świeża jak poranek.

– Daj sobie z tym spokój, bracie. Zajmijmy się lepiej ważniejszymi rzeczami. Powiedz no: gdzie jest teraz Farida?

Quintino wybabruszył oczy. Farida? Nie miał pojęcia, wyprowadziła się stąd. Biały nalegał. Quintino zmarszczył język i wybazgrał coś na głos:

– Nie wolno mi wymawiać imienia tej kobiety. Dona Virgínia zabroniła.

– To było, zanim umarłem. Teraz, co to komu szkodzi?

– Nikt nie wie, gdzie ona przebywa.

Wówczas nieboszczyk rozkleił się, wspominając tęsknie zaświaty:

– Mój Boże, ale ja rozmarzałem o tej Faridzie, nawet nie wiesz, jak mi to jej ciało pomogło... – Jednak nagle zmienił ton, zaczynając miotać obelgi i pogrożki: – Jak mi nie powiesz, to zabiorę cię z sobą do piekła.

Przerażony służący umknął przed ręką swego pana. Patrzył na Romão, tak jak kukurydza patrzy na stępor. Cofał się, wpadając co i rusz na krzesła.

– Panie, przysięgam. Nikt nie wie. O jej synu też nikt nie wie.

– „O jej synu”? O co chodzi, ta baba ma syna? – Romão Pinto krążył zaintrygowany wokół chuderlaka. – Dalej, opowiadaj, bratku, chcę wiedzieć.

Dał nagle susa i złapał byłego podwładnego za gardło. Quintino uniósł się w powietrze, wyrzucił w górę ramiona na znak, że się poddaje, i zaczął błagać, aby Romão go puścił.

– Szefie, opowiem wszystko co do joty. Prawda jest taka: o wszystkim wie tylko Dona Virgínia, pana żona. To ona przy tym była, ja tylko słyszałem plotki.

– Słuchaj no, Quintino, mam do ciebie prośbę: odszukaj Donę Virgínię i powiedz jej, żeby tu przyszła.

– Pffff, szefie... Porozmawianie z nią to zdecydowanie zbyt trudne zadanie.

– A to czemu? Stara ogłuchła, czy jak?

– Nie mogę tego wyjaśnić, szefie. Ale rozmowa z nią nie wchodzi w grę.

Wówczas osadnik oznajmił:

– Mogę stąd wyjść tylko pod warunkiem, że ktoś żywy poda mi rękę. Chodź ze mną, a ci to wynagrodzę.

– Nie mogę, szefie.

Wtedy posypały się przeraźliwe groźby. Ognie i sztylety, różgi i płomienie.

– Załatwię cię na cacy, tak samo jak wtedy kiedy znikły sztucce. Albo i lepiej, bo teraz, przeszedłszy już przez bramę śmierci, nauczyłem się świństw, o jakich nawet diabłu się nie śniło.

– Do dziś prześladowe mnie zjawa białego osadnika.

W areszcie, urządzonym w budynku administracji, Quintino wciąż drżał na samo wspomnienie gróźb Portugalczyka. Skończył swoją opowieść, pocąc się wszystkimi porami, jakie miał w skórze, i jeszcze paroma innymi. Tak czy inaczej, obaj tak samo pilnie chcieliśmy się stąd wydostać. Jednak zostaliśmy uwięzieni, aby bez końca tkwić w lochu i szlochu. Więzy wpijały nam się w przeguby, walczyliśmy z własnymi rękami wręcz. U mego boku Quintino siedł w ślady sowy, która prowadzi nocne obserwacje, aby śnić za dnia. I tak, z otwartymi oczyma, przepuszczaliśmy czas przodem. Aż nagle zamarliśmy, słysząc jakiś dźwięk. Ktoś się zbliżał, skradając się na palcach. To była Karolinda. Bez słowa pochyliła się nad nami i rozwiązała nam ręce. Przez chwilę nie ruszaliśmy się skrępowani jeszcze naszym zdumieniem. To jakiś podstęp? Wyszliśmy z Quintinem, ociągając się nieufnie. W końcu Quintino nabrał śmiałości i zalecił mi pośpiech. Ja jednak musiałem wrócić do pomieszczenia, gdzie została Karolinda. Opierała się nieruchomo o ścianę. Rozwarłem jej

dłoń i położyłem na niej wisiorek, który miałem przy sobie. Pokręciła odmownie głową. Ofiarowywała mi to na pamiątkę? Przyjąłem – nic więcej.

– Dlaczego skłamałaś na mój temat? – spytałem.

– Bo nie chciałam, żebyś odszedł.

– Ale ja nie chcę odejść, Karolindo.

– Nie wierzę, to nie jest miejsce, w którym ktokolwiek chciałby zostać. Odejdiesz, ty nie jesteś stąd.

– Dlaczego w takim razie mnie uwolniłaś?

– Zrobiłam to, abyś odszedł tak daleko, że staniesz się przez to nieprawdziwy. A teraz już idź, i nigdy więcej tu nie wracaj.

I popchnęła mnie lekko. Ale ja się oparłem i nadal trwałem obok niej. Kiedy tak stała, z twarzą gotową do natarcia, wydała mi się absolutnie jedyna i wyjątkowa, smutna jak ostatni płatek, który został po śmierci kwiatu. Wezbrało mi w piersi. Wiem, że w każdej kobiecie dostrzegamy jakąś inną, tę, która nawet nie istnieje. Jednak Karolinda przekazywała mi to słodkie kłamstwo, to niemożliwe miłosne równanie: dwie istoty, jedna plus jedna, sumujące się w nieskończoność. Nachyliła się nade mną i pogładziła mi ręce w miejscu, które jeszcze niedawno uciskały więzy. Pęta jej dłoni dawały mi pieśczętę w akcie łagodnej skruchy. Ta chwila utwierdziła mnie w przekonaniu: najlepsze w życiu jest to, co się nie zdarzy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

WIDMA SAMOTNOŚCI

Spoglądając w górę, Muidinga rozróżnia poszczególne rasy chmur. Białe, Czarne, Mulatki. Różniły się też pod względem płci. Chmura żeńska, łagodna: pojawia się naga i naga odchodzi. Chmura-samiec, gruchający zalotnie swoją gołębią piersią w słodkiej iluzji nieśmiertelności.

I chłopiec się uśmiecha: ale się można bawić nawet najbardziej odległymi rzeczami, przyciągać chmury blisko do siebie, tak aby jadły nam z ręki jak ptaki. Przypomina sobie smutek, który go gnębił zeszłej nocy, i rozmowę z Tuahirem.

– Wujku, czuję się taki mały...

– To dlatego że jesteś sam. To przez tę wojnę: teraz wszyscy jesteśmy samotni; i martwi, i żywi. Dzisiaj nie ma już żadnej ojczyzny.

Słowa Tuahira nadal kołoczą mu się w sercu. Ale już nie wygląda na zrezygnowanego. Wstaje olśniony jakąś myślą. Dotyka starego w plecy i mówi:

– Jesteśmy sami, wujku?

Tuahir przeciera zaspane oczy. Małemu we łbie się pomieszało? Jeżeli dostał bzika, to na poważnie. Bo oto chłopak prosi starego, aby wziął udział w dziwnej zabawie.

– Wujku, w coś się pobawimy. Będziemy udawać, że ja jestem Kindzu, a ty jesteś moim ojcem!

– Twoim ojcem?

– Tak, tym starym Taimo.

Tuahir odmawia. Taimo to nieboszczyk. A z nieboszczykami lepiej się nie bawić. Na dodatek był to nieboszczyk niepokieszony.

– Nie zdajesz sobie sprawy, do czego jest zdolny taki niepełny trup. Nie opowiadałem ci, co się przytrafiło rybakowi imieniem Nipita?

– Opowiedz, wujku. Jak znasz jakąś opowieść, to chcę ją usłyszeć i nie obchodzi mnie, czy jest prawdziwa.

Tuahir wspomina Nipitę, rybaka, który został wysztyletroszony przez zbrojnych bando. Zdarzyło się to nocą i nieszczęśnik wrócił o świcie, aby odszukać swoje flaki. „Tu je zostawiłem, wyrzuciłem się do cna”, szepnął ostatkiem sił. Teraz stał już u wrót śmierci, nie mógł ich jednak przekroczyć, nie będąc istotą kompletną. Ktoś mu jeszcze powiedział: „Idź, a my później doniesiemy ci twoje brakujące części”. I pogrzebał się, tak jak stał, elegancko wyflaczony. Nikt mu nigdy nie przyniósł jego wnętrza. I teraz zmarły rybak nic innego nie robi w zaświatach prócz przeklinania żywych.

– Widzisz? Ze zmarłymi nie ma żartów.

Chłopiec rozumie opory starego. Mimo to postanawia namawiać go dalej, podsuwa nowe pomysły.

– Wujku, ale my nie będziemy się z nikogo nabijać. Przeciwnie, jeśli ten nieboszczyk jest niepokieszony, my właśnie damy mu ukojenie.

Tuahir się waha. Chłopiec nie daje mu chwili do namysłu, nieustannie nalegając:

– To będzie zabawa pełna szacunku, wujku. – I od razu siada, wpatrując się w starego zdumionym wzrokiem. – Dobrze, ojcze?

Ojcze? Tuahir potrząsa głową. I zamyśla się. Po jakimś czasie jego głos dobywa się przez szczelinę śmiechu:

– Dobrze, Kindzu.

Wtedy Muidinga kładzie się, opierając głowę na kolanach starego. Jego spojrzenie ginie na horyzoncie. Chłopiec nie spodziewał się, że Tuahir przystanie na tę zabawę. Teraz można odnieść wrażenie, że ma na nią większą ochotę niż on sam.

– Widzisz tę górę, Kindzu? – pyta Tuahir.

– Widzę. Ciekawe, może jest teraz na niej Gaspar?

– Na pewno go tam nie ma. To jest zakazana góra – mówi stary.

I tłumaczy: to było miejsce, w którym pogrzebano kiedyś garbatego wodza. W tamtym czasie nie było tam żadnego wzniesienia, wszędzie była jedna wielka równina. Zmarły zaczął rosnąć pod ziemią, a jego grzbiet coraz bardziej się zaokrąglął, wybrzusząc ziemię.

– I tak właśnie narodziła się góra – podsumował Tuahir.

Oszołomiony Muidinga zapada w drzemkę. W miarę jak ich zabawa się rozwija, traci pewność i nie wie już, czy to, co się wokół niego dzieje, nie pochodzi z jakiejś książki, jak kartka wyrwana z tej właściwej rzeczywistości. Zamyka oczy i widzi Tuahira, alias Taíma, kąpiącego się w jeziorze sury. Stary wychodzi z bajora i po nogach cieknie mu wino.

– Czemuś taki zgaszony, synu? – dziwi się.

– A bo martwię się przez kobietę.

– Na to nie ma lekarstwa, synu. Już ja to wiem. Żyłem w czasach, kiedy miłość była czymś niebezpiecznym. Ty żyjesz w czasach, kiedy miłość jest czymś głupim.

I stary rozwija swoją myśl. Nasz świat ulepiony jest z nędzy i głodu. Co warte są miłość i przyjaźń? Dzisiaj liczy się wyłącznie przetrwanie. Muidinga, alias Kindzu, chciałby się dowiedzieć czegoś o szczęściu; inni chcieliby się dowiedzieć czegoś o jedzeniu. On szuka dobra; innych interesuje tylko to, ile i z czego mogą mieć korzyści. W miarę jak Tuahir mówi, chłopak czuje się coraz drobniejszy, coraz młodszy, niemal pozbawiony jakiegokolwiek wieku. Brakuje mu tej ojcowskiej dłoni. Jednak stary, zamiast mu pomóc, sam prosi o wsparcie. Jest mu zimno, domaga się jakiegoś okrycia. Chłopiec przykrywa go własnym ciałem. I żał mu samego siebie. Jak to możliwe, że on, taki mały, dopiero co powity i powitany, musi teraz dbać o swojego ojca? Jak to możliwe, że jego dłoń, nie większa niż pocałunek, ochrania tak potężnego mężczyznę? I wzbiera w nim bezmierna wściekłość na własnego ojca. Ostatecznie on nigdy go nie osłaniał przed chłodami, nigdy nie odganiał od niego smutku. A może po prostu dopiero po tym jak skończy się jego dzieciństwo, będzie mu wolno być dzieckiem?

– Wujku, skończmy tę zabawę. Już czuję, jak mi się miesza w głowie.

– Wujku? Co jest, Kindzu, nazywasz mnie teraz wujkiem? Czyżbyś nie szanował swego nieboszczyka ojca?

– Nie, ojcze. Chodzi o to, że...

I Muidinga zapętała się już całkowicie. Czuje się tak, jakby coś w jego piersi rozdzierało się na pół. I uświadamia sobie, że po jego twarzy przemyka chłód łez. Po chwili czuje, że dłoń ojca gładzi go po głowie. Spogląda mu w twarz i w końcu dostrzega, że jego oczy są mądre. Tak jakby cała jego dobroć stała się nagle widzialna, pełna.

– Ojcze, dlaczego nigdy nie ukazywałeś mi się takim, jaki byłeś naprawdę?

– Bałem się, synku. Nie umiałem odkryć przed tobą mojej ułomności i powiedzieć: spójrz, oto moje serce, które nigdy nie urosło!

Jego ojciec stał przed nim, wielki, niekłamany. Po raz pierwszy w życiu ktoś dawał mu schronienie. Świat dopiero się rodził: nie było już zimna ani ciemności. Spalony autobus, potępiony Czerwiesio, zwęglone ciała, skrwawione dłonie pastora Afonsa, wszystko stało się odległe. Nagle ojciec wybucha śmiechem. Przez chwilę Muidinga lęka się, że jego wujek chce przerwać grę zmęczony udawaniem. Jednak nie, stary żartworzy dalej. I zaczyna pajacować, i zataczać się, aby go rozśmieszyć. Każdy śmiech bratanka sprawia mu przyjemność, bo czuje się wtedy ojcem. Każdy wygłup Tuahira daje Muidindze słodkie poczucie, że jest synem.

– Umiem się tylko bawić, Kindzu. Mogę cię tylko nauczyć, jak na zawsze pozostać dzieckiem.

– Tak, ojczy. Naucz mnie tego.

I zaczynają podskakiwać, współdokazując w radosnym oblędzie. Dopiero opadłszy już całkiem z sił, Muidinga kładzie się na ławce machimbombo. Pod głową, jako poduszkę, układa sobie stertę z zeszytów Kindzu. Przed zaśnięciem chłopiec gładzi dłońią kartki z poufałością współwinowajcy.

DZIEWIĄTY ZESZYT KINDZU

Virgínia

Moje nieporozumienia z Quintinem zaczęły się, jeszcze zanim wyruszyliśmy w drogę. W dniu wymarszu nie stawił się na miejsce. Czekałem – na próżno. Zacząłem szukać tego, który miał mnie prowadzić, a który teraz najwyraźniej sam się zgubił. I rzeczywiście, jego stan raczej wykluczał porozumienie w trzeźwym tego słowa rozumieniu. Quintino leżał na starym murze z wzdętym, ochlaśnym brzuchem. Otepiły i zamruczony, zaczął się tłumaczyć:

- Jestem dzisiaj wężem, co ma muchy w brzuchu: nie ruszam się stąd.
- Musiałeś się tak schlać, Quintino?
- Byłem z Romão Pinto, to dlatego się spiłem.
- Kto to jest, ten Pinto? – spytałem.
- Nie pamiętasz? Biały osadnik, mój pan. Nawiasem mówiąc, mój eks-byłeks.
- A teraz?
- A teraz muszę się znowu napić – odparł.

Skapitulowałem. Musiałem na kilka dni odłożyć moją wyprawę. Postanowiłem wyśledzić starą Virgínię, poznać kobietę, która była dla Faridy drugą matką. Kto wie, może miała jakieś wiadomości o Gasparze? Dotarłem na miejsce i przyczaiłem się w półukryciu pomny rady Quintina:

- Jak wyjdzie, nie pokazuj się jej. Stara tego nie lubi.

Ranek wstawał powoli, aż w końcu Virgínia wyszła z domu i usadowiła się na folwarcznym murku. Spędziłem tak długie, stracone godziny, podglądając ją z oddali, ukryty w ciemnej zieleni mafureiry. To, co zobaczyłem, natchnęło mnie rojeniami, bajędami o odzyskaniu świata, w którym nie ma dziś dla nas miejsca. Przedstawiam wam starą Virgínię. Jakbym ją nadal widział; w tutejszym teraz. Dodaję to, co mi o niej opowiedziano, cieniując portret. Droga między mną a sędziwą damą przeciąga się w nicnierobieniu. Siadam na skraju tej drogi, wyciągam mój zeszyt i od razu piszę, jakby lękając się, że jej obraz mi umknie.

Dona Virgínia Pinto. Oto ona – balkonna, wdrażająca się w sztuce ostatniego dzieciństwa. Samochody wzbijają tutaj kurz w godzinach, których brak na zegarze. Miasta leżą teraz bardzo daleko, wojna rozerwała kraj na strzępki. Portugalka pogrąża się w smętnych zastojach. Jest białej narodowości, ale nie rasy. Jej językiem ojczystym jest portugalski, lecz jej mowa matczyzna to makua. Jest dwunarzeczona. Czarne dzieci otaczają jej los, gramoląc się hałaśliwie na murek. Ona się nawet nie gniewa.

I opowiadają mi tak: Dona Virgínia ciuła zmyślenia, dziecięcując się coraz bardziej. Jej jedynymi gośćmi są te dzieci, które już od najczulszego świtu podnoszą wielobarwną wrzawę. Rodzice dzieci częstują staruszkę dobrocią, przynoszą jej jedzenie i serdeczne słowa. Życie udaje, staruszka się zgrywa. Ostatecznie obaj uciekinierzy, ona i życie, pozostają nieuchwytni.

W obejściu wszystko zdziczało – całe gospodarstwo porosło buszem. Kwiaty się rozpuszczyły i mają teraz więcej kolców niż płatków. Trawa sięga tu już do ramion. Virgínia nawet nie zwraca uwagi na pilną potrzebę przycięcia trawników.

- To nie trawa urosła. To ja się skurczyłam.

Dom również wydaje jej się większy. Teraz niemal gubi się w tym całym zamieszkaniu. Mażeńskie łóżce nabrały olbrzymich rozmiarów i tylko potęguje samotność jej wdowieństwa. Jej mąż Romão Pinto wycofał się z życia już blisko dziesięć lat temu. Wspomnienie

nieboszczyka męża budzi w niej jedynie odwrotność tęsknoty: przecucie, że on dopiero ma nadzieję, jakby zmarły nie był istotą z przeszłości, lecz z przyszłości. Sąsiedzi nie mogą się nadziwić tej ułomności wspomnień. Z początku sądzili, że to jedynie blaknięcie pamięci. „Biedaczka, dzisiaj jest dla niej starsze niż przedwczoraj”, mówili. Potem jednak przekonali się, że problem leży gdzie indziej. Albowiem Virgínia uparcie wracała do myśli o jeszcze nieogłoszonych zaręczynach. W miejscu nostalgicznych westchnień umieszczała gorącą wyczekiwania.

– Kiedy dojrzę już do zamążpójścia, ten mężczyzna przyjdzie po mnie.

Sąsiedzi byli zgodni: staruszka przeżyje własne ciało. Trzeba pozwolić, aby jej sny wariowały dalej.

I pytali się ze śmiechem: „Czy świerszcz, rodząc się, ma już gotową dziupłę?”. Taka jest starość. Niech Virgínia zamienia przeszłość na przyszłość, niech śni nie o końcu życia, lecz o narodzinach, których jej jeszcze brakuje. Jakie to wszystko ma znaczenie?

– Wiecie, o co babka się modli? O to, aby się już więcej nie zmniejszać.

I naśladowali jej gaplaninę: „Ojcie Przenajświętszy, jeżeli w dalszym ciągu będę się kurczyła, nawet kawaler Romão mnie nie zauważy, kiedy zawita w te strony”. I powtarzała, sama sobie, oderwane zdania: „Wczoraj, kiedy umrę...”. Virgínia, Virgínia, Virgínia: miejscowi rozmieniali to imię na drobne. I wszyscy biadolili nad jej starością, jakby chodziło o sieroctwo.

Pochłaniała ją tylko jedno zajęcie: karmiła w gospodarstwie ropuchy. Za dnia pozwalała, aby muchy dreptały po okiennych szybach. Wieczorem łapała je do puszek i wszystkim po kolei obrywała skrzydełka. Z nadejściem nocy wychodziła z domu i rozrzucała bez skrzydeł muchy po trawie. Po czym nawoływała płazy imionami własnego autorstwa.

– Co się z nimi stanie, kiedy ja umrę?

Może o to jej chodziło: aby mieć na tym świecie kogoś, komu brakowałoby jej. Słońce zachodzi ociężale, powoli, jakby było jedną z much, której staruszka oberwała skrzydełka, wspiąwszy się po drabinie z kolejnych godzin dnia. Staruszka zostaje na miejscu, mieszając swój cień z cieniem starego muru i spoglądając na życie jak na miejsce, które już kiedyś do niej należało. Jedno wie na pewno: nazajutrz, z samego rana, dzieci powrócą i ją otoczą, aby nagle w jednej chwili się uciszyć.

– Ostrożnie, maluchy. Nie podepczcie mi żab.

Jedni starają się usunąć jej z oczu bielmo, drudzy obcinają jej paznokcie, jeszcze inni ocierają ślinę z podbródka. Ona godzi się na wszystko, rozpuszczona, lunatykująca w swoim sezamie-zamknij-się. Dzieci proszą ją:

– Babciu, opowiedz bajkę!

Virgínia się uśmiecha. Nazywają ją babcią. Jakże ją upięknia to słówko: „babciu”!

– A o czym, moje dzieci?

– Opowiedz tę o ojcu twojego ojca.

Virgínia uśmiecha się wdzięczna dzieciom za to, że weszły do jej rodziny tak głęboko, jakby były równie stare jak ona. Następnie rozpuszcza swoje wspomnienia, które sączą się niczym powolna struga oleju. Przeskakuje z portugalskiego na makua, już nie pamięta, w jakim języku powstała wersja oryginalna.

– Jak się nazywał ten mucunha, ktoś pamięta?

– Mucunha Curucho! – odpowiadają chórem brzdące.

Ona kiwa twierdząco głową i wybucha powszechną radość: tak, to pan Cruz, jej dziadek, częsty gość w krainie po drugiej stronie góry. Jedyńm jego dziełem była latarnia morska. Dzieci się przekrzykują, każde chce wtrącić swoje trzy grosze do opowieści staruszki.

– Ale jak to jest z tą jego latarnią, babciu? Jeżeli mucunha żył w głębi łądu, gdzie nie dochodzi ocean...

– Nie wierzycie?

Dąsa się i rozłącza. Dzieciaki wciskają jej upominki, błagają, aby mówiła dalej. Ona nic. W końcu godzą się na jej prawdę. Tak, latarnia morska. Jedna jedyna, jego własna. Cóż to za różnica, czy blisko, czy daleko od oceanu: czy ktoś zabrania latarniom morskim rodzić się tam, gdzie uznają za stosowne? No i była sobie właśnie taka latarnia: bezrobotna, taka, co nie znała żadnego okrętu nawet z widzenia.

– A po co była mucunhi własna latarnia morska?

Chodziło o przysięgę, którą złożył, po tym jak wyszedł cało z katastrofy morskiej. W miarę jak opowieść się rozwijała, profesje i adresy jej dziadka zmieniały się jak w kalejdoskopie. Słowa Virgíni nie trzymały się kupy. Dzieci co chwila ją upominały: „Babciu, pamiętaj, mówimy o mucunhi Curuchu!”. Im więcej razy Virgínia powtarza swoją historię, tym bardziej nieuchwytna jest prawda: dzisiaj dziadek Cruz ma błękitne oczy, jutro jest kędzierzawy i czarny. Dzieciarni zupełnie to nie przeszkadza. W dziecięcym świecie prawda to tylko zabawna gra. Zgromadzone wokół staruszki maluchy niezrażone dokazują dalej. Ona szerokim gestem prosi o mniejszy hałas. Pozwólmy zabrzmieć boskim rozkazom, niech zstąpią do nas – słyszalne. To On rozkazuje żywym, aby udali się na spoczynek.

– Robicie taką wrzawę, że nie jestem w stanie dosłyszeć Jego poleceń. Może już nakazał mi odpoczywanie, a ja nawet nie zwróciłam na to uwagi...

Kiedy historyjki dobiegają końca, staruszka zabiera dzieciarnię do studni. Formują ptasią procesję, a kiedy są już na sąsiednim podwórzu, Virgínia powtarza ten sam rytuał: prosi dzieci, aby każde z nich po kolei wrzuciło do studni kamień.

– Babciu Virgíno, to po to aby sprawdzić, czy w studni jest woda?

Ona nie odpowiada. Podnosi kamień i ciska go w mroczne usta ziemi. Tam, z głębi wilgotnego dna, odpowiada jej lament. A potem unosi się śpiew: czsze-czsze-czszej... Narastający, głuchoniemy grzmot.

– Co to jest, babciu?

– To woda płacze.

– A czemu płacze?

– Płacze z żalu nad pewną wdową, która straciła męża, bo rzucono na niego klątwę.

– A ta wdowa to kto, babciu?

– Tego nie wiem, moje dzieci, ta kobieta już chyba umarła. Wydaje się, że to było tak dawno temu...

Te słowa zamykały dzień.

Odkładam zeszyty i spoglądam na Portugalkę. Cyzeluję obraz starej Virgíni, podczas gdy ona, obca i odległa, trwa po drugiej stronie drogi, na wyciągnięcie naśladowczej ręki. Jest tak blisko, że nie mogę się oprzeć, aby nie podejść jeszcze bliżej, usłyszeć jej głos pełen czasu. Przechodzę przez drogę niepomyślnie zaleceń Quintina. Staruszka chce, żeby odwiedzało ją tylko dzieciństwo? A jeśli ukazę się jej jako dziecko, to może mnie przyjmie? Jestem już prawie tuż obok niej, i wołam ją po imieniu. Staruszka unosi twarz i szparzy oczy, aby zobaczyć, kto przed nią stoi.

– Kim jesteś?

– Jestem Kindzu. Chcę z panią porozmawiać.

– Porozmawiać?

– Chcę się czegoś dowiedzieć o Gasparze. Pamięta go pani, Dono Virgíno?

Staruszka robi się obca. Zaczyna wodzić palcami po własnej twarzy, dokonując drobniawych badań wszystkich szczegółów. Potem dotyka swoich warg, rozchyła je, wyciąga z ust język i pyta:

– Widzisz mój język?

– Widzę, bo co?

– A to, że mój język nabiera coraz większych rozmiarów.

Zaskoczony, wybucham śmiechem. Ale ona zaczyna tłumaczyć poważnym tonem:

– Twój język też urośnie, kiedy będziesz stary. A może to reszta twarzy się z czasem kurczy?

– Nie przypomina sobie pani Faridy?

– Z takim językiem niczego sobie nie mogę przypomnieć.

Stara żartowała sobie ze mnie. W końcu wyszedłem z siebie ku wyższym tonacjom. Zacząłem mówić bez ogródek, wymawiając każde słowo tak, jak mi płynęło z piersi. Powiedziałem o wszystkim. Że przybyłem tu z powodu Faridy i że to ona mnie poprosiła, abym odszukał jej syna.

– Niech pani nie mówi, że nie pamięta Faridy. Nie wierzę, że pani o niej zapomniała.

Dona Virgínia jest mocno zaskoczona moim naleganiem. Po chwili wciąga mnie za rękę do wnętrza domu. Nerwy jej wiszą na włosku. Nakazuje mi milczenie, poszepeczując:

– Tutaj nie mogę mówić.

– Dlaczego?

– Bo mój dom wypełni się zjawami.

– No to gdzie porozmawiamy?

– Chodźmy do mojego starego domu. Tylko zrób coś dla mnie: nazywaj mnie babcią. Tak żebym mogła widzieć w tobie dziecko.

I mszyliśmy powolnym krokiem Virgínii. Po drodze zwierza mi się ze swojego strachu: nigdy dotąd nie odwiedzała starego domczyska. Dlatego kiedy docieramy na miejsce, ona woli nie wchodzić. Zostajemy oboje na schodach kolonialnej posiadłości i przysiadamy na stopniach. Virgínia wspomina swoje spotkanie z Gasparem, dzieckiem Faridy. Przypomina sobie, jak niepewnego poranka ktoś zastukał w jej okno.

– Babciu, u ciebie w obejściu leży jakieś martwe dziecko.

Virgínia pobiegła na tyły domu i zobaczyła ciało wyciągnięte w trawie. Chłopczyk nie był martwy. Po prostu spał wyczerpany. Upewniła się, że żyje, ale ani go nie okryła, ani nie utuliła. Poszła po łopatę i zaczęła przysypywać go ziemią, mówiąc:

– Umrzyj, moje dziecko. Lepszy tobie ziemny pogrzebusik niż to życie. Bo do tego życia dzieci nie mają dostępu.

Zbiegły się inne dzieci i zobaczyły ją, jak grzebie żywego. I wtrącają się, chcą ją od tego odwieść.

– Niech babcia zostawi go przy życiu! Jeszcze przez chwilkę!

– A po co?

– Po to żeby nam opowiedział swoją historię.

Virgínia nie jest przekonana, ale się zgadza. I postanawiają: intruz ma tu zostać i sobie odetchnąć, aż nabierze słów. Bo oni są spragnieni nowin, takich, którym by warto dać wiarę. Dzieci i staruszka podejmują ostateczną decyzję: „Będziemy go leczyć i karmić, a potem go zabijemy, tak żeby nikt więcej nie usłyszał jego opowieści. Ta historia będzie należeć tylko do nas”. I umawiają się:

– Spętamy pętaczka i wsadzimy do studni, żeby nam nie uciekł.

Studnia była sucha, bo od dawna nie padało. Zanosili mu tam jedzenie, a kiedy jego łachmany były już mokre i cuchnące, dawali mu nowe. Ot, jeszcze jeden dzieciak zaginał. Ale Gaspar był z nie byle gliny, chłopak do tańca i do kagańca. Nawet na dnie wilgotnej studni nabierał sił, a jego skóra odzyskiwała blask. Kiedy wieczorami wyciągali go z głębin, pozostawał milczący, zgięty i wymięty. Dzieci, wybałuszając oczy, pokładały w nim wówczas wszystkie swoje nadzieje. On jednak wciąż nie odzywał się słowem.

– Mówię wam, że to niemowa.

Lunęły wtedy przeogromne deszcze, z tych, co to by mogły wypełnić na nowo wodą wszystkie morza i oceany. Virgínia rozmyślała przy studni, Gaspar na jej dnie. Dzieci również tam przychodziły, aby zobaczyć, czy woda wypełniła już całą studnię. Jeszcze nie. Ulewne wodopędy rosły, nawet w księżycową noc nic nie można było dostrzec nawet tuż

przed własnym nosem. Zerkali, niczego nie dostrzegli. Zaczęli nasłuchiwać: tylko podzwanianie kropli o dno. Już się zbierali do odejścia, kiedy usłyszeli czyjś głos. To Gaspar ich wołał. Zdecydował się mówić. Nastąpił ogólny aplauz, walne zebranie radości. Staruszka rozkazała, aby połączyli siły i współciągami wydobyli małego ze studni. Był kompletnie przemoczony i drżał od stóp do głów.

– Zimno mi – to były jego pierwsze słowa.

Okryli go, a potem rozkazali:

– Opowiedz jakąś historię.

Otoczyli go kręgiem, a jeden z chłopców wycelował w niego palec i ostrzegł:

– Biada ci, jeśli nie spodoba się nam twoja historia.

Gaspar zaczął w strachu. Opowiedział swoje życie, nie tając żadnych szczegółów. Kiedy zamilkł, deszcz już nie padał. Dzieci spojrzęły po sobie. Nie podobało im się. To była smutna historia. Kto w dzisiejszych czasach chce fantazjować o nieszczęściach? Podniósł się chór skrzekliwych głosów, domagających się, aby autor opowieści został ukarany. I miała to być ciężka kara, taka, aby miał nauczkę na całą skąpą resztę swego życia. Wrzucić go z powrotem do studni i zasypać kamieniami, doradzali jedni. Drudzy mieli prostszy pomysł: zakopimy go w ogrodzie babci, będzie go miała pod ręką, tak jak na samym początku. W miarę jak ich zapał parował, rozlewała się cisza. Wszyscy czekali na wyrok Virginii. Ale staruszka wydawała się nieobaczna i odedrwana. Jej nieruchome spojrzenie trwało dłużej niż wieczny smutek, przez co widok jej oczu aż bolał. Szerokim ruchem ręki rozkazała dzieciarni się oddalić.

– Zostawcie mnie z nim samą.

Zaskoczona dzieci usłuchały. Odeszły w mrok krokiem ociążonym od rozczarowania. Staruszka stanęła przed chłopakiem, nie odzywając się słowem.

– A ja nie mógłbym też odejść? – spytał Gaspar.

– Nie.

– Dlaczego?

– Dlatego że jesteś moim synem. Twój ojciec był moim nieboszczykiem mężem. Jesteś prawie, prawie krwią z mojej krwi.

Staruszka wstała i otrzepała kapulane. Okryła ramiona chłopca chustą i powiedziała:

– Chodź, pójdziemy do naszego domu.

Siedząc na schodkach przed swym starym domem, Virginia otula się jeszcze mocniej narzutą w obronie przed nocną mgłą. Przestała mówić, przerywając opowieść w połowie. Coś ją martwi, ale nie wiem co.

– A potem co się stało, babciu?

– Ten chłopiec został w moim domu tylko przez kilka dni. Później uciekł, nikt nie wie dokąd.

– Wiedział o ciotce Euzinhi?

– Wiedział. Być może udał się właśnie do niej.

Portugalka wskazuje na wielki mangowiec. To właśnie pod tym drzewem siadała z Faridą, aby czytać listy. Jej oczy wzbierają tęsknotą. Nagle Virginia kładzie palec na ustach:

– Ćsiii, ktoś idzie...

Niczego nie słyszę.

– To duch – mówi staruszka.

Nie. To nie żadna duszyczka. To administrator tych ziem, on sam, we własnej osobie. To on nadchodzi, ukryty wśród krzewów i opłotków. Virginia dopytuje się szeptem: co on tu robi o tej porze? Odpowiedź poznałem dopiero później, kiedy Quintino nakreślił mi przebieg zdarzeń. Bowiem bez wiedzy mojej i Virginii działały się w tamtym czasie niegodziwości, które teraz mogę opisać.

Zamaskowany mrokiem ścieżynek administrator Estêvão Jonas sam nie znał celu swego pośpiechu. Wiadomość dotarła do niego drogą na skróty. To niejaki Quintino przyniósł mu nowinę, twierdząc, że Estêvão powinien się udać do domu zmarłego Romão Pinto, którego posiadłość była równie martwa, co on sam, zamieszkiwały ją bowiem wyłącznie głosy odrzuconych.

Dotarł na podwórze starego domu. Drzewa poddawały się torturom wichury – wiatr nigdy nie budzi się w dobrym humorze. Psy zawyły, administrator zadrzał. Dlaczego w takie noce psów się nie spuszcza z tonu? Może taki pies czeka, aż odpowie mu drugie wycie z księżycą? Estêvão Jonas głośno zakaszłał, raczej tak dla kurażu, z zewnątrz lakierowany na błysk, a w środku wytapicerowany strachem. Bez wątplenia większe miał w tej chwili wodze od fantazji. Sunął przyklepiony do ściany jak tapeta z oślizgłego cienia. Nagle, przerażony, dał wściekłego susa. Ze środka domczyska dobiegły go drewniane eksplozje, skrzynie wytrzaskujące pełną gamę grzmotów. Czyżby ktoś rabował spuściznę nikczemnego osadnika?

Przez chwilę myślał, że rozsądnie byłoby wezwać kogoś ze swojej eskorty. Nie z powodu strachu, tylko z uwagi na doniosłe znaczenie zachowania go przy życiu. Ale po chwili się zawahał. W końcu posłaniec mówił wyraźnie: miał się stawić na miejscu sam, nikt więcej nie mógł być wtajemniczony.

Był już na progu z dawna odwlekanego kroku, gdy niespodziewanie otworzyły się drzwi i oto, w objawieniu piekielnym, stanął w nich zmarły Romão Pinto, dźwigając na plecach własną trumnę. Administrator runął do ucieczki, przesadzając krzewy i kalając skały z prędkością nadludzkością. Po chwili użyźnił sobą pobliski rów i tam zamarł, jak czarna dziura w czarnym charakterze. Nieboszczyk podszedł bliżej i, wiele się nie pytaczkując, rzucił:

– Wstawaj i pomóż mi dźwigać tę cholerną trumnę.

Estêvão rozdziawił się ze zdziwienia. Jednak wykrzesał z siebie jeszcze dość siły, by odpowiedzieć:

– Ja nie jestem pierwszy lepszy, żeby ci coś dźwigać.

– Co nie jesteś? Przestań mi tu siusjoczyć i łap za trumnę z drugiej strony. Ale już!

Estêvão oszacował okoliczności i przeprowadził wysoce dialektyczne analizy zgodnie z głęboką nauką materialistyczną. Czy może się mierzyć ze zjawą? Lepiej będzie zaakceptować niereformowalność zaistniałej sytuacji. I, nadstawivszy karku, dźwignął trumnę. Gdy ruszyli, osadnik mu wyjaśnił, że trumna to dar dla ludu. Wszyscy dają ofiary na biednych. A on chciał w ten sposób okazać swoją solidarność. Marnotrawstwem byłoby pozwolić, aby ta skrzynia leżała tutaj przez całą wieczność, niczym skrzynka pocztowa do korespondencji między życiem a śmiercią.

Wstawili bezrobotną trumnę do sejfu w budynku administracji. Dawny osadnik mocnym pchnięciem osadził administratora. I rozmawiali do rana. O czym? Nikt tego nie wie na pewno. Jednak wydaje się, że Romão postawił nad przyszłością Estêvão wielki znak zapytania. Czy w tym reżimie przyszłość może być w jakikolwiek sposób zabezpieczona? Jutro dostanie zasłużonego kopa w stosowną część ciała i wkrótce nikt o nim nie będzie pamiętał. Mozambijczyk zripostował: a cóż to, cudzoziemiec będzie tu uczył ojca dzieci kroić?

– Ja mam swój łeb, Romão. Zawsze twierdziliście, że jesteśmy bandą kretynów, ale jest inaczej.

On ma swój łeb. Że niby z której strony? Jakieś geszefciki za pół funta kłaków, bez blasku i polotu. Parę puszek z piwem ustawionych na chodniku? Biały osadnik odzierał działalność administratora z wszelkiej wzniosłości. Na tym uroczystym posiedzeniu Portugalczyk obiecywał mu coś wielkiego, tłusciuchnego. Kwestia jest następującej natury: otóż on sam, powszechnie uznany nieboszczyk, obciążony w dodatku rasą i narodowością, nie może już odzyskać swoich dawnych interesów.

– Wystarczy już, zem Biały. A ja na dokładkę Portugal. Dodajmy do tego fakt, że nie żyję, no i leżę z kretešem.

Wskazane byłoby tylko, aby Estêvão opatrzył całe przedsięwzięcie swoim podpisem plus obliczem, stosownie lokalnym, a biznes potoczy się gładko jak ślinka z buzi łakomczucha.

– A co z kapitałem? – podniecał się administrator.

W tym sęk. Pieniądze były, i z lewej, i z prawej.

Było ich dosyć, nawet więcej niż dosyć. Ale od jego zgonu wszystko przeszło pod kuratelę Virginii, kretyńskiej wdówki. Estêvão Jonas wybuchnął śmiechem:

– My się nad nią użalamy, a stara jest nadziana po uszy!

Romão grzmotnął pięścią w ścianę: tak, przekłeta starucha pleśnieje z bogactwa. Pozostawała wątpliwość, czy na pewno ma równo pod sufitem, czy jest w pełni władz chorobowych. Należało ją bowiem nakłonić do podpisania czeków i w grzeczny sposób podprowadzić flotę.

– Ale ona jest chora, Romão.

– A może udaje?

– Nie wiem. Jedno jest pewne: musimy się nią zaopiekować. Stara nie może teraz kopnąć w kalendarz.

– Baba naprawdę jest już taka stara?

– Nie zmieści się już na jej twarzy ani jedna zmarszczka.

I obaj zaczęli zgodnie podkreślać wartość sędziwej białej damy. Ona nie może zgasnąć, trzeba doprowadzić do podpisania przez nią bankowych papierów. Tymczasem należy obmyślić sposób, aby ją do tego przekonać. Ustalili niezbędną strategię: Estêvão Jonas powinien stosować politykę inwektywa – ofensywa. Należy przy tym podsycać problematykę rasową, postulując przywileje etnicznej większości.

– Ale w ten sposób tylko ci zaszkodzi, Romão.

– Wprost przeciwnie, drogi mój wspólniku.

I wyjaśnia: dzięki temu nikt nie będzie podejrzewał go o zмовę z Białymi. Można było odnieść wrażenie, że Portugalczyk rozmyślał o tej sprawie przez cały swój pobyt w niebycie. I doradza dalej:

– Wygłosisz parę tryltyrad potępiających panoszenie się białactwa. Tylko dla kamuflażu.

Ot tak, żeby nie narobić szumu; to nawet może być zabawne.

– Reżim się uprawomocnia, mój drogi Estêvão, a z dyskusjami się nie faktykuje. Jedno powiedzmy sobie jasno: ludek gardłuje sobie na wiecach, ale decydujemy my, właśnie tutaj, rozumiesz, Jonas? Nikomu więcej ani ty, diabeł jest ślepy i brutalny. I mówmy ciszej, bo ściany tu mają uszy większe niż słoń.

I nieboszczyk pogrąża się znowu w mrokach domu. Estêvão Jonas patrzy, jak Portugalczyk znika. Twarz Estêvão zdobi uśmiech zwycięzcy. Jeszcze niedawno nie mógł się roztchórzyć. A teraz pan kierownik rozkoszuje się poczuciem przywództwa, którego już bardzo dawno nie doświadczył. Tam, w administracji, nigdy nie miał okazji zmieniać biegu historii. I właśnie w chwili gdy stoi nadęty jak pomnik bohatera, zdejmuje go najprzeróżniejszy lęk. Spośród ciemnych krzewów wylania się i staje przed nim jego piękna żona Karolinda.

– Co ty tu robisz, Estêvão?

Administrator, jękając się, próbuje tłumaczyć, że nic takiego, że zrobił sobie tylko mały spacer, by wyregulować żołądeczek.

– Gdzie jest ta kobieta, z którą żeś się umówił?

Estêvão Jonas śmieje się z ulgą. O to jej chodzi!

Żona, wiecznie obca i nieobaczna, sądzi, że przyszedł tu, aby się spotkać z kochanką? Dygnitarz czuje, jak wzbiera w nim duma. Niespodziewana zazdrość małżonki sprawia, że

stroszy dumnie piórka jak kogucik o niedocenionej chuci. I nuże żonę uspokajać – mówi jej o wszystkim, co się stało, o spółkach i ugodach z pseudotrupem. Ale tylko sprawę pogarsza.

– Mam cię, Estêvão! Jesteś w zмовie z naszymi dawnymi ciemiężycielami!

– Jak to: w zмовie?

– Zawsze wiedziałam, jaką naprawdę pełnisz funkcję: jesteś adminizdradorem!

Gdzie jego poczucie moralności? Administrator kontrargumentuje: z moralności nikt nie wyżyje. Możesz się najeść swoją uczciwością, droga żono?

– Jesteś jak hiena, Estêvão: stać cię na przebiegłość tylko wobec tego, co martwe.

– No, to już jest twój ropuszy śpiew.

– Lud cię dorwie. Nie przychodź więcej do tego domu, bo cię wydam.

– Jakże mam tutaj więcej nie przychodzić? Przecież teraz jesteśmy z Romão Pinto wspólnicy i biznesnicy! Muszę tutaj przychodzić. Nie mów, żonko, że wołałabyś, aby on przyłąził do budynku administracji!

Karolinda go ostrzega: igra z ogniem. Zrobi się chryja, i to niezła. Złapał w końcu diabełek diabełka.

– Nie wiesz, Estêvão? Jak domy stoją razem, to i płoną razem.

Administrator prosi ją, aby piekliła się ciszej, bo może jeszcze ściągnąć tu pożądaných nieciekawskich.

Odwołuje się po ojcowsku do jej zdrowego rozsądku: jest żoną Afrykanina, niech się cieszy swoją uległością i buzia na kłódeczkę. Powinna wręcz być zadowolona, bo bogactwem, które na nich spłynie, będzie można obdzielić ogół jej krewnych i powinowatych, tak że wszyscy na tym skorzystają.

– Nie chcę tych brudnych pieniędzy. I moja rodzina też ich nie przyjmie. Zapłacisz jeszcze za tę zdradę.

– Ależ uspokój się, Karolindo. Toż to godzenie w interesy ludu.

– Znikaj stąd, Estêvão. Nie chcę cię więcej słuchać.

– Musisz się mnie słuchać.

– Znikaj, albo zacznę krzyczeć, i to tak, że zbiegnie się tu cały tłum.

Administrator oddała się w tempie z lekka przyśpieszonym. Zanim zniknie w ciemności, spogląda jeszcze za siebie i zdumiewają go rozmiary cienia Karolindy. Ten cień jest ogromny i pada na fasadę ogromnego domczyska. Gdyby administrator przed swoją rejteradą zechciał być bardziej uważny niż przerażony, zobaczyłby, jak na schodkach staje Virgínia. Macham do niej. Virgínia uspokaja mnie ruchem ręki, dając do zrozumienia, że nie ma już zagrożenia, bo Estêvão odszedł. Po czym mówi, że i ona odchodzi.

– Idę. Już pora, aby nakarmić ropuchy.

– Idę z tobą, będziesz miała towarzystwo.

– Nie, nie chcę, żeby cię ktoś ze mną widział.

– A to czemu?

– Nie zapominaj, że jestem starą wariatką i że nie rozmawiam z dorosłymi. Zasługuję na zaufanie tylko ze strony dzieci. Wiesz, czego się właśnie dowiedziałam? Że Romão chce, abym podpisała czeki. Jak ja mogę podpisać jakiś papier? Czeki pieniężne? A czy ja w ogóle wiem, co to są pieniądze? Nie mam zielonego pojęcia. Rozumiesz, Kindzu?

Tak, teraz zrozumiałem dziwactwa Portugalki. Ten domniemany obłęd to było dla niej po prostu najbezpieczniejsze schronienie. I patrzyłem za nią, gdy odprawiała się ciemną drogą. Karolinda dosłyszała nasze głosy. Zbliżyła się nieufnie.

– Wreszcie jesteś.

Wstałem i ją objąłem. Wczuliła się we mnie, drżąc jak ptak. Ale zaraz się czujnie sprostowała.

– Nie możemy tu zostać. Mój mąż jest strasznie podejrzliwy.

– No to gdzie mamy iść?

– Chodźmy do środka, do domu.

Ścierpłem. A zaprotestowałem tak energicznie, że aż się uśmiechnęła: czyżbym wierzył w ożywające trupy? Chciałem jej opowiedzieć o naocznych wizjach, których dopiero co doświadczyłem, ale nawet nie dopuściła mnie do głosu. Masz rację, powiedziała. Zostaliśmy właśnie tam, na środku schodów. Siedliśmy, ja o stopień wyżej niż ona, i oparła się o mnie plecami. Dopiero wtedy wyczułem w mojej kieszeni jakiś wydatny kształt. To był wisiołek, który Karolinda zgubiła za pierwszym razem, kiedy się kochaliśmy. Pomachałem jej wisiorkiem przed oczyma i spytałem:

– A to pamiętasz?

Zaczyna się śmiać. Przypomina sobie tamte chwile w areszcie, kiedy przysłała mnie oswobodzić. I wracają do niej słowa ostatecznego pożegnania, jej pragnienie, abym się stał nieosiągalny. Ale ja byłem tuż obok, bardziej namacalny niż kiedykolwiek. Ociera się czule o moją pierś. Jej perfumy przypominają mi zapach sury, zapach dawnego pijaństwa, napływający z czasów mojego dzieciństwa. Jednak kiedy ją całuję, z ust wymyka mi się inne imię: Farida! Karolinda odskakuje ode mnie gwałtownie.

– Znasz Faridę?

– Faridę? Nie.

– Ale nazwałeś mnie Faridą.

– Wydawało ci się.

Wyglądało na to, że Karolinda mi wierzy. Ale jej plecy pozostały napięte. To imię podziałało na nią bardzo źle.

– W jednej chwili przypomniałeś mi o moich dwóch mężach.

– Dwóch?

– Tak, miałam już kiedyś jednego, który zmarł.

I opowiedziała mi o swoich udrękach, o wzburzonych wodach, które wypełniały jej nocę po brzegi. Estêvão katował się nieustanną zazdrością. Wynajdywał niedorzeczne rzeczy, aby oskarżać Karolindę. Mijały historyczne daty; on nie miał nawet czasu, aby pamiętać o rocznicach. Ale Karolinda chodziła tam twardo, odświętnie wywstydzona, aby złożyć hołd bohaterom walki o niepodległość. Administrator dopytywał się: czyżby nadal pamiętała o poprzednim, zmarłym mężu? Stracił życie podczas wojny wyzwolenczej, Karolinda była wtedy jeszcze dziewczynką. Podobno zginął w zasadzce, nie z ręki portugalskiego wroga, tylko zabity przez partyzantów z własnego oddziału. Od tamtej pory Karolinda zrobiła się podejrzliwa, wszędzie wokół siebie obsesyjnie węsząc spisek. Kobieta powtarzała uparcie: słowa przywódcy powinny być poparte jego czynami, bo ostatecznie gdzie są zasady? I z jakiej racji żądano od najmłodszych, aby oddali swoje życie?

Jednak jego nieufność nie była do końca bezpodstawna. Nie żeby w jej życiu był jakiś inny mężczyzna. Prawda była taka, że nie było żadnego. Administrator to była tylko wybitna nieobecność. Karolinda nie darzyła go najmniejszym uczuciem. Estêvão dzisiaj jest figurą, jutro może być figurantem. Ona wciąż byłaby jego służącą, on nadal nawet by jej nie dostrzegał. Karolinda powtarzała: moje małżeństwo nie było przedwczesne. Było praniewczesne. Ona była dzieckiem o wielkim strachu i zerowej wiedzy. Estêvão mówił jej:

– Nie płacz, Karolindo. Nie wiesz, że podłotek, który sypia z mężczyzną, szybciej dorasta? To ja cię wprowadzę w dorosłość, Karolindo – dodawał.

Ale ona wcale nie chciała dorosnąć. Zanim pojawił się Estêvão, jej jedynym pragnieniem było, aby ktoś ją stąd zabrał. Matimati to była zakichana dziura, więzienie jej marzeń. Karolinda nie miała wspomnień z dzieciństwa. Chciała wyjść za mąż, pozostając dzieckiem – co rzeczywiście doszło do skutku podczas jej pierwszego zamążpójścia. Namaszczała swoje ciało olejkami, aby jej skóra lśniła w męskich oczach. Ale równocześnie zachowała swoje dziecięce zabawki. Miała też pragnienie znacznie gorętsze: aby ktoś ją wybrał i wyrwał z tej nędzy. Snuła się po drodze, licząc na to, że zostanie przez kogoś dostrzeżona. Nie zachodziła

jednak do żadnej z wiosek, aby nie zaczął jej pożądać nikt miejscowy. Nagle pojawił się w tych stronach Estêvão Jonas, w partyzanckim mundurze i z sakudu na plecach. Sądziła, że ten mężczyzna zmierza w jakieś bardzo odległe miejsce, do jakiegoś nieprzeczuwalnego świata. Ofiarowała mu się gotowa zaspokajać jego zachcianki. Po nastaniu niepodległości został mianowany szefem administracji w Matimati. Mówili, że to stanowisko przejściowe. Ale czas mijał, a jego przeniesienie jakoś nie następowało. Estêvão nawet nie był stąd, nie rozumiał języka ani zwyczajów tych ludzi. On także popadał we frustrację, jednak nic nie mówił. Godził się na to wszystko, ponieważ został nauczony, że należy słuchać i nie zadawać pytań. Widząc, jak jej czas umyka, Karolinda zaczęła darzyć męża nienawiścią. Ten gniew przychodził do niej falami. Chciała mu sprawiać ból, po to aby się wreszcie obudził. Krzywdziła go, bo dzięki temu mógł się jej ukazać w nowym świetle, udowodnić, że jeszcze w ogóle żyje. W pozostałych przypadkach był zdechlakiem wstydzającym się marzyć i bojącym się myśleć. Estêvão miał dosyć jej bojowego nastawienia, był wyczerpany stanem permanentnego stłamszenia. I wtedy w budynku administracji pojawiła się kobieta imieniem Farida.

Nie była po prostu piękna. Jej piękno dotykało Karolindę głęboko, niemal budząc w niej pragnienie bycia mężczyzną, tak aby mogła dotknąć tego ciała. Farida zjawiała się, by przedstawić sprawę swojego syna, beznadziejny przypadek zaginionego w buszu. Takich przypadków były setki, ale ten jeden Estêvão potraktował wyjątkowo gorliwie. Karolinda po raz pierwszy w życiu poczuła ten zawrót głowy, któremu na imię zazdrość. Kiedy poruszyła tę sprawę, jej mąż odpowiedział:

– Farida cię denerwuje? Może dlatego że jest do ciebie podobna.

Karolinda z upodobaniem rozniecała w sobie zazdrość. Do tego stopnia, że jej zaangażowanie w sprawach łóżkowych nabrało kształtów rozbuchanej namiętności. Estêvão nie mógł się nadziwić: co się z tobą dzieje, kobieto? Ale ta cała Farida niespodziewanie odeszła z Matimati. Przeniosła się na rozbity okręt i tam już pozostała. To, co było zwykłą zazdrością, przerodziło się w nienawiść. Co w niej budziło tak wielką wściekłość? To, że straciła obiekt zazdrości? Czy może to, że inna kobieta zdołała się wyrwać z tego piekła? Tak, Farida uciekła od małości tego miejsca, nawet jeśli zrobiła to z obłąkańczym zamiarem zamieszkania na osiadłym na mieliźnie statku. Jednak zawsze była to jakaś wyprawa, jakaś forma porzucenia piekła. To właśnie z tą ucieczką Karolinda nie była w stanie się pogodzić. I zaczęła energicznie obmyślać zemstę. Wymyślając rozmaite zagrożenia, rzekomo wynikające z pobytu tej właśnie kobiety na tym właśnie statku, podjudzała Estêvão, aby podjął jakieś działania interwencyjne. Jego ludzie byli na statku, aby zabrać z niego najlepszą część dóbr? Przecież Farida to wszystko widziała i tylko czeka, aby ich wydać! Estêvão udawał, że wierzy, wydając jakieś pseudorozkazy, aby rzezoną kobietę usunąć z okrętu.

– A więc to jest ta Farida?

– Tak. To dlatego byłam taka wstrząśnięta, kiedy nazwałeś mnie jej imieniem.

– Ależ wcale cię nie nazwałem.

– Wierzę ci. Po prostu mam obsesję.

Karolinda ponownie stopniała w moich ramionach. I tam, na niewygodnych schodach nawiedzonego domostwa, rozpostarła swoje ciało z pasją ognia i czułością ziemi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

CHOROBA Z BAGIEN

Tuahir patrzy i nie posiada się z patrzenia. Już od wielu dni nie oddalają się od machimbombo. Tymczasem otaczający ich pejzaż przeczy pozornemu bezruchowi drogi. Teraz na przykład rozpościera się przed jego oczyma olbrzymie bagnisko. Ocean słychać wyraźnie, blisko, jakby chciał pokazać, że te wody należą do niego. Stary zwraca się do chłopca:

- Chciałbyś zobaczyć ocean, co?
- Bardzo, wujku.
- No to idziemy.

I ruszają w bagnistą drogę przez gaj mangowców. Za nimi zostaje rezydencja z blachy i popiołów, tkwiąca pośrodku drogi niczym pomnik wojny.

- A dlaczego chcesz zobaczyć ocean?

Tego młodzieniec nie potrafi wytłumaczyć. Ale jest tak, jakby ocean dzięki swoim nieskończonościom dawał mu zbawienne poczucie uwalniania się od tego świata. Wbrew samemu sobie myślał o Faridzie, czekającej na tamtym okręcie. I wydawało mu się, że rozumie tę kobietę: na okręcie przynajmniej było jeszcze na co czekać. Dlatego podejmuje wędrówkę przez bagna. Ich nogi chlupocą w bezmiarze cuchnącego błota, szlamu i gliny. Marsz potrwa kilka dobrych dni.

Czują je już pierwszej nocy. Komary. Są wielkie, czarne i rozbzykane. Nie tylko gryzą. Przenikają do krwiobiegu, po czym popiskują w środku ciała.

- Cholerne komary!

Muidinga zaczyna się uskarżać. Stary Tuahir go upomina:

– Nie zawracaj sobie tym głowy, mały. – I przypomina: – To właśnie komar zbudował bagno. Także i w nas komar bagna się w najlepsze, zarażając nasze wody zgnilizną.

Bestie są takie cięte, że kiedy Tuahir budzi się następnego dnia, przez opuchliznę ma dwukrotnie powiększone uszy. Niedługo potem pojawia się gorączka. Jego ciało szarzeje, palce robią się astmatyczne. I upiera się:

- To nie komary są przyczyną tej gorączki. To śpiew tych ptaków mnie tak rozpala.
- Jakich ptaków?
- Nie widziałeś ich, jak tędy przelatywały?

Muidinga nie przypomina sobie żadnych ptaków. Chce się zaopiekować swoim towarzyszem. Tuahir się nie zgadza. Ma taką gorączkę, że jeśli legnie tu, na tych bagnach, to zagotuje się od tego cała woda. Roztaczające się wokół nich bagnisko, wszędzie jednakowe, zaciera wszelkie kierunki. Zgubili się. I są zmęczeni. Przysiadają na pniu i czekają nie wiadomo na co.

- Powinniśmy byli zostać w machimbombo – stwierdza Muidinga.
- To ty chciałeś zobaczyć ocean – przypomina stary.

Stary trzęsie się tak bardzo, że trudno już zrozumieć jego słowa. Po chwili obaj milkną. Dookoła słychać jedynie skapującą ciszę. Jednak Tuahir zachował jeszcze trochę sił. Wdrapuje się na wysoką gałąź, po czym zwiesza się głową w dół. Muidingę zdumiewa jego zniecierpliwiona postawa. Ale stary go uspokaja: to nawyk z dzieciństwa. Był słabej krwi, więc matka wieszala go w domu przywiązanego za nogi do sufitu.

– Wiesz, co teraz zrobisz? Ano właśnie. Przejdiesz się po okolicy i wystraszysz te feralne ptaki, przez które mam gorączkę.

I Muidinga rusza w błotnisko. Gaj mangowców jest niestrudzony w swej cyklicznej monotonii. Pejzaż rozpakuje swoje nowości; jego oczy dopiero debiutują w tych wodach. Czaple dryfują jak białe chusteczki na szarym tle. Ich pióra, niesłużące do niczego poza pięknem, przeczesują duszę Muidingi, jakby chciały mu przynieść pieszczotę senności. Na wyżynach swego lotu medytują białe ptaki o poważnych, niemal zuchwałych piersiach. Ich ruchy układają się w próbę baletową. Nawet głód ich nie zmusi do pośpiechu; nawet ich łowy odbywają się zawsze ospale.

Muidinga stoi na brzegu martwych wód i patrzy na oddalające się ptaki. Tam dalej płożą się niskie trawy, odcinające się jaskrawą zielenią na tle ciemnej ziemi. Od strony krzewów dobiega go dźwięk xigovii, tego flegmaka, który robi się z owocu ncuacua. W jego stronę zbliża się mały pasterz. Na widok Muidingi pasterczyk wpada w popłoch. Pewnie bierze chłopaka za jednego z leśnych bandytów. Muidinga przywołuje go do siebie i się przedstawia. Wschodzą dziecinnie pierwsze kielki rozmowy. Muidinga prosi pasterza, aby zagrał na xigovii. I przymyka oczy gotowy na czary.

– Pan senniczny?

Zatroskany pasterz potrząsa chłopcem. Muidinga uśmiecha się i prosi go, żeby zaczynał. Tamten jednak nadal się lęka. Mówi, że widział już wiele osób, które zasnęły wiecznym snem, słuchając głosu fletu. Nie chce, aby jego gość odszedł za daleko ukojony dryfowaniem własnego umysłu. Mówi, że zamiast grać na xigovii, woli opowiedzieć pewną historię, prawdziwą historię, która mu się przydarzyła właśnie na tych pastwiskach.

– No to opowiadaj.

– W zeszłym tygodniu zdechł wół, a był to wół największy z wszystkich.

I chłopiec rozwija swoją opowieść. Miał w stadzie niezwykle smutne wolisko. Od rana do wieczora niewoliła wolisko nieznośna samotność, przez co snuło się niepomne samego siebie, niepomne łąk ani obowiązkowych przeżuwam. Jego aksamitne oczy śledziły wszelkie możliwe rozkojarzenia. Pretekstem było wszystko: drżący cień, szmer motyla dziergającego swój lot. Pasterczyk denerwował się: co za choroba zżera to zwierzę? I postanowił prześledzić jego poczynania od początku do słońca. Zorientował się wówczas, że oczy wołu przykuwa widok pewnej określonej i okazałej czapli. Ptak długonożył się w przestworach, dołączając do chmur, swych bliźniaczek, i przez cały czas skupiała się na nim uwaga wołu. Zniewolony przeżuwacz zastęgał. Pasterz łoł go różgą, żeby sprawdzić, czy jeszcze jest stadliwy. Trrrach! Kij trzaskał o grzbiet. Szkoda było zachodu. Bo zwierzę potrząsało tylko ospale rogami i wciąż, niewzruszone, gapiło się w niemożliwe.

Wół zaczął chudnąć, bo nic nie jadł. Pasterz nie wiedział, jak to wytłumaczyć swojemu wujowi, właścicielowi całej trzody. Pewnej nocy chłopiec, pogryzając swoje okruchy, zobaczył coś, co mu nawet opowiedzieć trudno. Otóż wół wyciągał szyję do księżyca, wydając z siebie ryki, jakich świat nie słyszał. Nagle całym jego cielskiem wstrząsnęło, jakby zwierzę samo siebie rodziło. Z jego gardła dobyły się świdrujące jęki, które przeradzały się zaraz, uwierzcie tylko, w ptasie świerloty. W oka mgnieniu zaczął się kurczyć, z byka w cielaka i z cielaka w rogatego kota. Otrząsnął się w gwałtownych spazmach, i cała sierść opadła z niego kłakami. Na jej miejscu natychmiast wyrosły białe pióra. W ciągu kilku chwil ssak zrodził z siebie ptaka, czapląc się do głębi.

Ptaka debiutant zaczął latać po okolicy, szukając swym strzelistym wzrokiem niewiadomo czego. Aż nagle mignęła jakaś druga czapla, ta sama, którą on, jeszcze jako wół, darzył tak gorącym afektem. I przekształcony ssak puścił się do przodu w podlotach, aby dołączyć do prawdziwego ptaka. Płasał w nagłych podrygach, z nogami w nerwowych rejestrach, jakby dopiero uczyły się literować pierwsze kroki w chmurach. I tam pozostali z wielką wzajemnością, romansując wniebogłosy i puszczając białe błyskawice.

Pasterz zapewniał, że powtarzało się to wszystko podczas każdej pełni księżyca. Z pierwszym brzaskiem wół powracał do roli smętnego czworonoga. Ale nadszedł taki rok, w którym księżyc nie ukazywał się uparcie przez kilka miesięcy z rzędu. Wszystkie ówczesne noce skryte były ciemnym i lepkiem całunem. Wół spędzał długie nocne godziny, pozostając wołem i rycząc jak udręczona xipalapala. Umarł trzydziestej nocy. Pasterz był przy jego powolnej agonii i przysięga, że widział, jak w przeokragłych oczach zwierzęcia płoną łyzy.

Chłopiec przerywa swoją opowieść, bo głos pęta mu nagle lęk. Muidinga nie wie, jak naprawić werbalną usterkę swojego przygodnego towarzysza. Chłopcu brakuje słów, umykają mu interlinie. W końcu Muidinga wyciąga prezent od Tuahira: amulet, który go chronił przed złymi duchami, i daje go chłopcu. Ostatecznie obdarzyli się nawzajem magiami. Ta łagodna opowieść, przydająca lekkości zakochanemu wołu, brzmiała jak magiczny dar.

Robi się późno. Muidinga żegna się z pasterczykiem i wraca w miejsce, gdzie zostawił chorego towarzysza. Tuahir odwiązał się od drzewa i teraz cały drży. Obmyślił pewien plan: połączą kilka gałęzi mangowca i zrobią prowizoryczną tratwę, aby stąd uciec, spływając bagnami. Przyznaje, że chłopak miał rację. Być może na plaży znajdą ludzi, okręty, podróże.

– Ale ty nie masz już na nic siły, wujku Tuahirze.

Wtedy Tuahir wskazuje na brzeg: już nabierał drągów i powiązał je na kształt barki. Jeszcze tego samego dnia o zachodzie słońca ruszają w drogę. Muidinga wiosłuje. Przypomina sobie Kindzu i jego burzliwe podróże. Dobiega go dźrący głos Tuahira:

– Jeżeli umrę tutaj, nie grzeb mnie w błocie.

– Wujek nie umrze.

– Guzik wiesz. Mówię ci: jak kogoś pochowają w błocie, to się zamienia w rybę.

– W porządku, nie pochowam cię tutaj. Jeżeli któregoś dnia umrzesz, wujku, to zrobię to samo, co zrobili z Taimo. Wrzucę cię do wody.

Stary się uśmiecha i kuli w sobie, jakby szukał jakiegoś łona. Po chwili zasypia. W miarę jak tratwa zagłębia się w mangowy gaj, chłopiec uświadamia sobie, jakim bezmiarem uczucia darzy tego człowieka. W gruncie rzeczy starzec jest całą jego rodziną, całą jego ludzkością. Tratwa ślizga się po gładkiej toni, aż w końcu wypływa na brzeg, gdzie bieli się piach. Wyraźnie już słychać ryk oceanu.

– Słuchaj: to ocean, prawdziwy ocean. Jesteśmy już blisko, wujku.

– Och, słyszę ten ocean już od pierwszego dnia, gdy zamieszkaliśmy w machimbombo.

Głos Tuahira jest coraz bardziej zamglony. Kiedy drgawki sięgają szczytu, stary domaga się o pieśczołę dłoni i piersi. To nie są żądania chorego, lecz żony. Muidinga otula go ciałniej kocem, z nadzieją że zaśnie. Jednak Tuahir chwytą jego dłonie i przyciska je sobie do twarzy. Prosi chłopca, aby położył się obok niego, bliźniutko, bo chce się ogrzać. Stary unosi swój koc i robi Muidindze miejsce. Ścisniony chłopiec kładzie się obok niego. Mieszają się w nim dwa lęki: lęk przed dotknięciem Tuahira i lęk przed leżeniem na jednym pośłaniu ze śmiercią. Dłoń starca delikatnie wygładza zmarszczkę, która uparcie wykrzywiała twarz chłopca. W oddali słychać gwizd xigovii.

DZIESIĄTY ZESZYT KINDZU

W obozie śmierci

Virgínia nie mogła mnie zaprowadzić do syna Faridy. Dlatego że z tego świata fantazji, w który odeszła, nie było powrotu. Uciekła tam, gdzie już nigdy nie mogli jej znaleźć ani martwi, ani żywi. Przypomniałem sobie rady, jakich mi udzielano w dzieciństwie. Mówili mi: „Pamiętaj, mały, masz postępować jak kogut, który pokazuje pióra swego ogona. Im piękniejsze masz pióra, tym mniejsze ryzyko, że trafisz do garnka”. Virgínia demonstrowała wszystkim barwne oznaki obłędu. I dzięki temu wszyscy przestali na nią zwracać uwagę.

Do mnie należało kontynuowanie poszukiwań. Obudziłem Quintina i poprosiłem go, aby czym prędzej zaprowadził mnie do Euzinhi. Dotarcie do ciotki Faridy to była już ostatnia szansa dowiedzenia się czegokolwiek na temat miejsca pobytu Gaspara. A ja czułem już coraz silniejsze ukłucia tęsknoty za Faridą. Quintino przetarł oczy i poprosił mnie o jasne postawienie sprawy.

– Musisz wybrać, bracie: chcesz znaleźć naparama czy tego dzieciaka?

– Chcę jednego i drugiego.

– Zostaw tych naparama. Pójdę z tobą, ale tylko po to aby odszukać dziecko.

Jeszcze tego samego wieczoru wyruszyliśmy na poszukiwanie obozu dla uchodźców, w którym przebywała ciotka Euzinha. Wędrowaliśmy przez długie godziny, zmęczenie za zmęceniem. Aż w końcu dotarliśmy na skalistą górę. Widząc, że jestem wyczerpany, Quintino postanowił iść dalej sam. Obóz był już blisko. Ja miałem zostać i zrobić przerwę na odpoczynek. Quintino odszedł, zabierając moją manierkę, aby ją napęlić wodą. Pozostałem w cieniu, przeżuając w myślach tylko jedno pragnienie: to już nie walka zbrojna, nie naparama stanowiły dla mnie bodziec i pokusę. Chciałem po prostu zachorować, z całego serca pragnąłem choroby, która wymazałaby z mojej głowy pejzaż. Chciałem poczuć tę słodycz, którą choroba zawsze z sobą niesie. Oparłem się o pień, jego kora otuliła mi twarz jak poduszka, a ja czekałem, aż usłyszę soki żywotne ziemi. Ale drzewo, pod którym się schroniłem w poszukiwaniu cienia, okazało się rośliną przerażającą i kościstą: to było drzewo demon. To była jedna z tych roślin, które płaczą jak węże, aby swoim ziemistekaniem wabić zwierzęta i ludzi. I dopiero wtedy to zauważyłem: cała ziemia wokół drzewa była biała, piasek błyszczał tak jasno, że noc chyba nigdy w to miejsce nie zawitała. A przyczyna tej bieli? Wszystkie uśpione kości, resztki pożartych zwierząt, szkielety ptaków, które spadały już martwe z gałęzi przeklętego drzewa.

W jednej chwili postanowiłem stamtąd odejść. Jednak kiedy się oddalałem, z listowia wypieścił się cudowny śpiew, który zaciąga sen do łóżka na ostatni spoczynek. Nie byłem w stanie zrobić kroku, moje ciało ważyło całe wieki. Spojrzałem na drzewo i zobaczyłem ptaka, którego we śnie wywróżył mi ojciec. To był mampfana, ptak-morderca podróży. Rozpoczął swoje śpiewładcze trele. Ukłakłem i zacząłem krzyczeć, wzywając mojego starego. Minęło trochę czasu. Nic się nie wydarzyło. Mój ojciec bez wątplenia pił teraz surę, tam gdzie policja nie tropi bimbrowni. Zawołałem z jeszcze większej głębi, dotykając zakamarków duszy, w których zablizniają się nasze narodziny. Stary Taimo nie dawał znaków śmierci.

– Ojcze, nie zostawiaj mnie! Tak bardzo się do ciebie modlę...

Wtedy nagle, przy błysku pioruna, ptak rozerwał się na dwoje jak przepiłłowiony. Opadły z niego pióra, pokruszyły mu się szpony, a całe jego ciało rozsypało się, jakby złożone było z

samego żaru. Przymknąłem oczy, bo poczułem zawrót głowy. Chwyciłem za katanę i ciąłem nią w drzewo. Ale w tym momencie z wnętrza pnia dobiegł mnie głos:

– Jestem ostatnim drzewem. Jeżeli zetnie mnie mężczyzna, stanie się kobietą. Jeżeli zetnie mnie kobieta, stanie się mężczyzną.

Poznałem ten głos: to był głos tej mary, fantastycznej zjawy, która odarła mnie z mojego świata na plażach Tandissico. Xipoco spytał:

– Czego się nauczyłeś pod korą tego świata?

– Chcę wrócić, jestem zmęczony. Wiem już, kim jesteś, teraz pomóż mi wrócić...

– A po co ci ten zeszyt? Co piszesz?

– Sam nie wiem, ojczu. Piszę tak, jak mi się śni.

– I ktoś to przeczyta?

– Może.

– To godziwe zajęcie: uczyć ludzi, jak mają śnić.

– Ale powiedz mi, ojczu, co się dzieje z tą naszą ziemią?

– Ty jeszcze nie wiesz, synku? Podczas gdy ludzie śpią, ziemia chodzi i szuka.

– Czego szuka, ojczu?

– Chodzi o to, że ziemia nie lubi cierpieć. I szuka w każdym człowieku snów, aby je razem gromadzić. Tak, wygląda na to, że ziemia jest szwaczką snów.

– Ojczu, zaczekaj, nie odchodź, muszę ci coś opowiedzieć. Nie odchodź...

– Co jest, Kindzu, zacząłeś gadać do siebie?

Złąkłem się tego nowego głosu. To Quintino wrócił. Zacząłem się beładnie tłumaczyć. Już znalazł obóz dla uchodźców. Opowiedział mi, co tam zobaczył: w obozie kłębiły się tysiące wygłodniałych wieśniaków, oczekujących na dary dla ofiar. Ale tak naprawdę w większości przypadków czekali na śmierć. I szarpnął mnie, mówiąc:

– Chodź, zobaczysz to na własne oczy, sam nie uwierzysz.

Rzeczywiście, były to sceny, które zdumiałyby sam smutek. Obóz walał się na wszystkie strony niczym ruiny samej ziemi, jak ziemia brunatne. Ci ludzie spali pod gołym niebem, bez koców, bez kawałka suchego chleba ani wody. Przykrywali się korą drzew, wegetując w chmarach kurzu. Wśród tej ciżby była Euzinha, sędziwa ciotka Faridy. Przywitaliśmy się z nią, wyjawiając cel naszych poszukiwań.

– Moja siostrzenica Farida jeszcze żyje?

– Tak. Żyje.

– A jednak...

Jej oczy zalewają się smutkiem. Pogrąża się w słodkich wspomnieniach płynących z jej wnętrza. Jej palce pocierają jedno o drugie – kto wie, może nadal zaplata Faridzie warkocz? Nagle czuję w kieszeni ciężar wisiorka Karolindy; tak gwałtownie, jakby przez moją głowę przemknęła błyskawica. Już dawno chciałem wyjaśnić sprawę tego brzemienia.

– Ciociu Euzinho, przyjrzyj się temu wisiorkowi.

Przez chwilę staruszka wygląda jak rażona gromem.

Po chwili bierze się w garść i udaje, że nic się nie stało.

– Kto ci dał ten wisiorek? – pyta.

– Kobieta imieniem Karolinda.

– Żona administratora?

Potwierdziłem lekkim skinieniem głowy. Euzinha uśmiechnęła się. Zawsze podejrzewała. Nie chodziło tylko o podobieństwo między Karolindą i Faridą. Było jeszcze coś, czego nie potrafiła wyjaśnić. Poznała Karolindę, ale przelotnie. Po prostu żona administratora odwiedziła raz ośrodek dla uchodźców. Powiedziała, że wróci. Nie wiedziała kiedy, to zależało od jej poczucia bezpieczeństwa.

– A teraz daj mi wisiorek Karolindy.

Byłem zaskoczony. Dlaczego chciała mnie pozbawić tej pamiątki?

– Nie powinieneś się mieszać w losy tych sióstr. Żadna z nich nie powinna nic wiedzieć o drugiej. Karolinda nie może się dowiedzieć, że jestem jej ciotką. W przeciwnym razie spotka je obie nieszczęście.

– Będę milczał, możesz być tego pewna – odparłem, wręczając jej wisiołek.

– Myślę nawet, że do duszy Karolindy dobrał się jakiś demon.

Demon? A skąd Euzinha wiedziała o istnieniu owego złego ducha? Wywnioskowała to po tym, jak Karolinda podżegała męża do pacyfikacji okrętu. To ona chciała, aby Farida umarła. Bez żadnej konkretnej przyczyny, bez logicznego motywu. Demon mścił się za to, że to nie ona została dziewczyną wybraną dla życia.

– Zostaw te bliźniaczki. Skup się tylko na poszukiwaniach Gaspara.

– Dobrze. Ale gdzie mógłbym go znaleźć?

– Gaspar został przeniesiony do innego obozu.

Staruszka nakreśliła nam bieżącą sytuację: ten obóz dla uchodźców jest często atakowany. Bandyty zawsze porwają dzieci. To dlatego postanowiono przenieść całą młodzież do innego obozu.

– A w którym obozie jest teraz?

– Tego nie wiem. Tego nikt nie wie.

Zatem Gaspar przebywał w miejscu nieodgadnionym. Kto mógł mi teraz pomóc? Euzinha doradzała mi opanowanie. Mam tu spokojnie poczekać, nie irytując duchów. Jej spokojna postawa służyła mi za przykład. Uważnie zgłębiałem tę postać. Staruszka opierała się wyłącznie na kościach; była chuda i wyszczerzona. Męczyło ją nawet uniesienie ręki, choć ta ręka nic nie ważyła. Pokazała nam skupisko prowizorycznych chatynek. Mieliśmy zatrzymać się tam przez kilka dni. Quintino natychmiast się zgodził. Wyciągnął z torby pudełko tabaki.

– To dla ciebie, cioteczko.

I zostaliśmy tam, rozmawiając aż do zachodu słońca. Staruszka opowiadała nam obozowe historie. Nie uskarżała się na żadne smutki. Już się nauczyła: podczas wojny najbardziej cierpią ci, którzy nie zajmują się zabijaniem. To dzieci i kobiety spotyka najczęściej nieszczęścia. Co jakiś czas przydarzało jej się coś niezwykłego: jej nogi buchały ogniem. Zdawało się, że nawet tego nie czuje.

– Ten ogień to z głodu. Już mi przechodzi.

Włosy miała czerwone i spłowiałe.

– Moja głowa już umarła – wyjaśniła. Z powodu tej śmierci w rodzinie reszta jej ciała była w żałobie. Rozejrzała się dookoła, jakby obserwując miejsce, którego nie ma. Tutaj życie się poddawało – stało z podniesionymi rękami u stóp śmierci. Im bardziej przyciskała nędza, tym więcej pojawiała się dzieci.

– Tutaj kobiety mają dzieciaki, kiedy tylko chcą.

Nie musiały zachodzić w ciążę ani czekać dziewięciu miesięcy. Wystarczyło, aby mąż rozkazał: „Kobieto, dawaj tu jeszcze jedno!”, i od razu wychodziły kolejne dzieci, gotowe zaraz konać z głodu, tak samo jak te, które już tu dogorywały od dawna. Euzinha opowiadała to wszystko, nie popadając w smutek. Opowiadała dalej o matkach, o tym, jak sobie radziły w obozie. Dowiedziałem się, że były matki, które kradły dzieciom jedzenie, a w środku nocy zabierały im koce, które je chroniły przed zimnem.

– Ależ ciciu Euzinho, przecież matka nie byłaby w stanie zrobić czegoś takiego...

Uśmiechnęła się, kręcąc głową. To w ogóle nie było nic złego. Po prostu matki uczyły swoje dzieci sztuki przetrwania. Słuchałem słów staruszki, obserwując chmury pędzące po niebie. Ciemniało w oka przymknięciu. Obóz zasnuwał się cieniami. Wydawało się, że to uchodźcy, mieszkający wśród mroków.

Tej nocy położyliśmy się pod gołym niebem. Po jakimś czasie zorientowałem się, że w chatynkach nikt nie mieszka. Wszyscy udawali się do ziemianek, wykopanych na obrzeżach obozu. Chatki to był kamuflaż, mający zmylić ewentualnych napastników. Kryjówki

położone były całkiem daleko i rozmieszczone w niespodziewanych miejscach. Zaszyliśmy się w jednej z takich jam, ale żaden z nas nie był w stanie zasnąć.

– Pod ziemią śpią duchy – stwierdził Quintino.

Wybuchliśmy śmiechem i postanowiliśmy przejść się po okolicy. Po drodze Quintino zaczął flirtować z piękną dziewczyną. Stała na ścieżce, smarując sobie nogi lśniącem olejkiem. Światło księżyca kreśliło na jej ciele freski. Nie minęło wiele czasu, a Quintino Massua zdobył już jej zaufanie. Dał mi ukradkiem znak, że mam się oddalić, dając mu wolną rękę. Zacząłem się przechadzać między nielicznymi drzewami, które jeszcze pozostały. Dookoła panował spokój, który wydawał się niemal niepojęty w obozie otoczonym przez wojnę i śmierć. Położyłem się w samotnym dole z zamiarem porachowania się z moim zmęczeniem. Nagle przestraszył mnie jakiś cień.

– Mówili mi, że tutaj jesteś.

To była Karolinda. Cały zadrzałem skostniały z zaskoczenia. Liczyłem się z możliwością, że odwiedzi obóz, ale nie podejrzewałem, że to nastąpi tak szybko. Poza tym – czego ona tu szukała? Karolinda zaczęła wyjaśniać swoje zamiary: wpadła tu tylko po drodze. Miała nadzieję, że zabierze ją stąd jedna z awionetek, które zaopatrywały obóz w leki.

– I dokąd pójdziesz?

– Do miasta.

– A twój mąż o tym wie?

– Nie. Myśli, że poszłam tylko odwiedzić obóz i że wrócę jutro rano z kolumną wojskowych.

– A Surendra?

– Hindus? Pilnuje interesów w stolicy. Assane został, sam odbudowuje sklep.

Pod nieobecność Surendry łatwiej było Assane kamuflować swój pakt z Azją. Z kolei Estêvão Jonas sam był zainteresowany udziałem w spółce. Cechowały go jednak osobliwe wahania. Podobnie jak osobliwe były jego nocne eskapady do domu zmarłego Romão Pinto. Karolinda nie mogła się nadziwić temu, co się działo z jej mężem: paktował z trupami swoich dawnych wrogów i robił interesy z żywymi, którzy kojarzyli się z tym wszystkim, co zawsze chciał zwalczać.

Quintino i jego nowo poznana przechodzą tuż obok naszego dołu. Mój przyjaciel zdążył już skądś wytrzasnąć butelkę i teraz dzieli swoje afekty między trunek i niewiastę. Skinąłem im na pożegnanie i się wycofaliśmy. Kiedy uszliśmy kawalek, Karolinda zwierzyła mi się:

– Twój przyjaciel nie wybrał najlepiej. O tej kobiecie nawet śnić nie należy...

Opowiadała jej o niej Euzinha. Nazywała się Jotinha i posiadała moce. Nawet czarownicy nie dali jej uprawnień. Dziewczyna przypominała sobie rzeczy, które się nigdy nie zdarzyły. Ale wkładała w te wspomnienia tyle wiary, że wszyscy zaczęli wspominać razem z nią. Tak było z potopem pieniędzy, kiedy monety lały się z nieba nieprzerwaną strugą, pokrywając ziemię srebrem i podzwanianiem. I wszyscy uchodźcy rzucili się na czworaki, warchłapiąc się w kurzu. To nie była jedyna wizja Jotinha, jej zjawtazje zawsze rozwijały się na przekór reżimowi rzeczywistości. Teraz obiecywała inne strugi. Kiedy tylko podczas burzy rozlegał się grzmot, puszczała się biegiem, wrzeszcząc wniebogłosy:

– To xima, to xima leci z nieba!

Ludzie raz jej wierzyli, raz nie wierzyli. Udawali, że wiedzą, czy wiedzieli, że udają? Bo każdej nocy pozostawiali pod gołym niebem garnki, gębami do góry, zwrócone ku mące obiecanej.

– Ta kobieta jest niebezpieczna. Ostrzeż swojego przyjaciela...

Uśmiechnąłem się, widząc, jak Karolinda w oka tchnieniu zwija się w kłębek. Siedzieliśmy obok siebie i nasze ciała prawie się dotykały. Nad nami liście massaleiry zdradzały obecność lekkiego wietrzyku. Zdawało się, że gałęzie poruszają się o własnych siłach, w księżycowym tańcu. Nawet nie zauważyliśmy, że Quintino i Jotinha wracają ze

swojego spaceru. Ona szła już chwiejnie, ze wzburzonym oddechem. Jotinha miała pewien pomysł: wszyscy pójdziemy spać do porządnej chaty, z dachem i płotem, który chroni przed zwierzętami. Odprowadziliśmy ją do szopy, gdzie piętrzyły się torby i pudła.

– To tutaj trzymają te dary ze zbiórek.

W środku nie było nic widać choć oko wykol. Pomieszczenie było tak wąziutkie, że nawet nie mogliśmy się wszyscy porządnie wyciągnąć. Musieliśmy spać spleceni jedno z drugim. Ale zawsze było to lepsze niż noc w dole pod gołym niebem. Quintino tylko usiadł, i od razu zasnął. Karolinda i Jotinha zapadły w sen niemal równocześnie. Ja pozostałem jeszcze na wpół przytomny, ścieląc moje zmęczenie i układając duszę w środku ciała. Traciłem już poczucie świata, kiedy poczułem, że czyjaś ręka dotyka mojej piersi. Uznałem, że to przypadek. W tak głębokich ciemnościach nie byłem w stanie się zorientować, czyje było to ramię. Pewnie Quintina, który w swym ochleystwie nie panował nad ciałem. Jednak ta ręka nie poprzestała na moich piersiach. Po chwili uniosła mi koszulę i zaczęła wędrować w moje południowe strony. To była ręka kobiety. Z pewnością należała do Karolindy, która najwyraźniej pragnęła powtórki z amorów. Przez chwilę nawet chciałem powstrzymać tę rękę, która przekroczyła już linię demarkacyjną mojego pępka. Jednak ostatecznie pozostałem nieruchomy, jakbym twardo spał. Dłoń ześlizgnęła się w mroku i chwyciła mnie w samym środku gotowa na zabawy w ciemności. Kiedy dotknąłem tych palców, opadała mnie niepewność: nie przypominały palców Karolindy. Były szczupłe i pokryte wonnym olejkiem. Jotinha? Z początku ogarnął mnie nawet wstyd. Jak mógłbym dotknąć jednej z tych kobiet zdolnych do obłąkańczych mijaczeń? Potem jednak, w przyływie odwagi, przeczołgałem się – sam nie wiem, czy po workach, czy po Quintinie – w pobliże pani na prowokacjach. W akcie desperacji zacząłem ściągać kapulanaę z tego ciała bez twarzy. Ścisnąłem ją dłońmi za oślizgłe uda. Jej pośladki potężniały mi w palcach. Mimo to wymykała mi się, gładka i oleista. Ale na wysokości jej klatki piersiowej moje palce były już w stanie bronować ją bez poślizgów: całą skórę wokół piersi miała w nacięciach i tatuażach. Tam uchwyciłem się jej pewniej i zacząłem schodzić w stronę łona. Cały brzuch miała żłobiony tatuażami, a ja uczepliłem się ich, tak jak marynarz czepia się cumą portowego nabrzeża. Jeszcze nigdy nie przeżyłem tańca z takim ciałem jak ciało tej kobiety. Robiłem to dłużej niż kiedykolwiek. I być może z tym większym to robiłem przekonaniem, im bardziej to było wbrew i na przekór: kochałem się z kobietą zewsząd otoczony śmiercią. Jotinha (czy to rzeczywiście była ona?) rozpięta się nagle w sztorm i jej ciało opanowały konwulsje. Wpiła się palcami w tłusterty worków, aż zaczęła je drzeć. Ziarna kukurydzy posypały się na wszystkie strony, a ja czułem się tak, jakby wysypywały się ze mnie, jakbym był rośliną, która otwiera swoje wnętrza, aby z siebie wystrzelić nasiona.

Rankiem obudziłem się gwałtownie. Ktoś pukał do drzwi. Skoczyłem na równe nogi. Farida, pomyślałem w jednej chwili. Farida? Dlaczego to imię zawsze powracało do mnie w towarzystwie strachu i udręki? Do magazynu wpadał snop światła. Ktoś wyszedł, zostawiając niedomknięte drzwi. Moje oczy powoli przyzwyczajały się do półcienia i wkrótce zaczęły się zarysowywać poszczególne kształty. W szopie zostaliśmy tylko ja i Karolinda. Już się obudziła. Klęcząc, obserwowała coś na ziemi.

– Popatrz, robaki!

Wokół worków roiły się tysiące insektów, rabujących jedzenie. Robale o żarłoczności wielkoludów ogołacały systematycznie magazyn. Jak to było możliwe? Tu się marnuje tyle jedzenia, podczas gdy w obozie, tuż obok, setki ludzi giną codziennie z głodu?

– To wina Estêvão Jonasa, mojego męża. To dlatego nazywam go adminizdradorem!

Karolinda płonęła z gniewu. Jej mąż wydał wyraźne rozkazy: zawartość tych worków wolno rozdzielić tylko w jego obecności. Była to decyzja natury politycznej, mająca na celu uświadomienie uchodźcom rangi jego osoby. Jednak administrator już od kilku tygodni nie

ośmielał się wybrać w ryzykowną drogę do ośrodka dla uchodźców. A tym samym zapasy żywności pozostawały nieosiągalne.

Kiedy wyszedłem z szopy, poraziło mnie światło. Po co tyle tego słońca? Wolałbym, aby w całym obozie panował taki sam półcień jak w magazynie. Może wówczas nie byłoby tak wyraźnie widać tych żebraczych rąk, które wyciągały się ze wszystkich stron: proszę, proszę pana bardzo! A ja tylko kręciłem odmownie głową. Mimo to nikt nie wierzył, że nie mam nic do dania.

Aby uwolnić się od tych scen, poszedłem razem z Quintinem pomóc Euzinhi w poszukiwaniu drewna na opał. Stękata i przygrabiona, sama przypominała uschnięte konary, których szukała.

– Któregoś dnia przez pomyłkę wrzucą mnie do ogniska – żartowała.

Kiedy znaleźliśmy się wśród drzew, chwyciłem za katanę, chcąc ulżyć Euzinhi w robocie. Ona jednak wyrwała mi gwałtownie broń z ręki. Nigdy nie zapomnę tego gniewnego spojrzenia, które we mnie wymierzyła ze słowami:

– Pracuję sama!

I staruszka zaczęła ciąć pień, co zajęło jej długie, zapocone godziny. Wykonywała szerokie, przesadne ruchy. Martwiła się tylko o to, byśmy pozostawili wokół niej wolną przestrzeń. Kiedy ją naruszaliśmy, sarkąła:

– Odsunąć się!

Dopiero, gdy wiązaliśmy już nacięte przez Euzinhę gałęzie, wyjaśniła nam swoje postępowanie: staruszki nie były tu mile widziane. Były kłopotliwym ciężarem. Wszystkie inne kobiety w jej wieku już dawno zostały porzucone. Tylko te, które jeszcze pracowały, mogły liczyć na utrzymanie. Dlatego Euzinha brała na siebie najcięższe zajęcia. Poprosiła nas, abyśmy jej nigdy w niczym nie pomagali. Przynieśliśmy jej to. Zaczęła oddychać trochę spokojniej. Była taka zmęczona, że piersi wpadały jej pod żebra. Po chwili dołączyła do nas Karolinda. Leżeliśmy w czwórce pośród trawy, czekając, aż staruszka dojdzie do siebie. Euzinha wyciągnęła się na ziemi między mną a Quintinem, aby nikt nie widział jej zmęczenia. Wyjęła puzderko z tabaką i wciągnęła gwałtownie szczyptę. Wtedy Karolinda zaczęła mówić z ożywieniem. Miała pewien plan. Tego popołudnia do obozu trafili kolejni uchodźcy. Widziała ich, jak nadchodzą okryci korą drzew. Z pewnością wieczorem zgromadzą się wszyscy pod jamboleiro i zaintonują pieśni powitalne. A my powinniśmy wykorzystać tę okazję i rozdzielić żywność, która drzemała w magazynie. Quintino aż podskoczył, tak mu się ten pomysł spodobał. Jednak Euzinha przyglądała się nam nieruchomym wzrokiem, być może dumając nad naszym współczuciem. Po chwili stwierdziła:

– Wiele osób tutaj wiedziało, że jest jedzenie. Ja też o tym wiedziałam. Ale nic nie zrobiliśmy. Chyba po prostu chcemy już umrzeć.

– To z głodu – rzucił Quintino.

Euzinha uśmiechnęła się smutno. Dała nam znak, że powinniśmy wracać do obozu. Kiedy zbliżaliśmy się do wielkiego jamboleiro, naszą uwagę przykuł szwargot chóralnych głosów. Uchodźcy gromadzili się wokół ogniska. Panowało tam wielkie zamieszanie. Euzinha podeszła, aby ogarnąć sytuację. Po chwili wróciła z wersją sądową:

– Mamy wielki problem. Dziś rano, kiedy dzieci rozpały ogień, od razu zaczęły pękać garnki.

Nic z tego nie zrozumiałem. Zdenerwowana ciotka Euzinha prychała tabaką. Odciągnąłem Quintino na bok, wolałem usłyszeć wyjaśnienia od niego.

– Co jest, bracie? Co tu się dzieje?

– Jeżeli garnki zaczęły pękać, to znaczy, że tej nocy jakiś mężczyzna kochał się z kobietą.

Quintino wytłumaczył mi to: w nowym miejscu, takim, jak to, z początku nikt nie może oddawać się miłości. Dla nowo przybyłych obóz był surowy i pełen zakazów. Każde

pogwałcenie tego przejściowego okresu oznaczało wielkie nieszczęścia. A teraz obozowa starszyzna chciała się dowiedzieć, kto był autorem nieposłuszeństwa. Podejrzewali nas. A szczególnie Quintina. Widziano go, jak rozmawia w nocy z Jotinhą. Karolinda ofukała mojego druha:

– Swoją drogą, wstydzilibyś się, Quintino. To była jeszcze dziewczynka.

– Była już w odpowiednim wieku, aby na leżąco młócić kukurydzę – odparł i zarechotał. Quintino nie potrafił zachować powagi, to był człowiek o nader wysłowionej duszy. W tym czasie ja zastanawiałem się nad własną sytuacją. Czy Karolinda unikała mnie z powodu zdrady? Dopiero teraz zrozumiałem jej ucieczkowe zachowanie zeszłej nocy. Ale taka sytuacja poniekąd mi odpowiadała. Euzinha rozkazała, aby Quintino odszukał Jotinhę i ostrzegł ją o grożącym jej niebezpieczeństwie. Ku mojemu zdziwieniu, Karolinda zaoponowała.

– To ty powinieneś do niej iść – rzuciła, wskazując na mnie.

Jak to? Czyżby w mrokach magazynu wyczuła, że to właśnie ja kocham się z pomyłoną? Ale to Quintino pierwszy poprosił ją o wyjaśnienie.

– Chodzi o to, że nikt nie powinien was więcej widzieć razem. A Kindzu nikt nie będzie podejrzewał.

Odetchnąłem z ulgą i ruszyłem w drogę. Znalazłem Jotinhę w pobliżu kolczastych krzewów, które otaczały osadę. Chwyła mnie mocno za dłonie i nakazała mi pamiętać nie to, co było, lecz to, co nadejdzie. Co widziała? Widziała dziewczynkę, która opuszcza osadę wczesnym rankiem, w załamionym świetle. Ta dziewczynka to była ona. Nagle Jotinha zaczęła krzyczeć, kręcąc się w kółko. Cierpiała z powodu urojonego drutu kolczastego, którym się owijała. W ten sposób przeistaczała się w zakazane terytorium, do którego nikt nie miał już dostępu. Łkając z bólu, pokazywała mi nader rzeczywiste rany: jej ciało krwawiło, pokłute niewidzialnymi kolcami. Chciałem jej ulżyć w cierpieniu. Wtedy otoczyła mnie ramionami. Ale teraz nie dotykały mnie już słodkie żłobienia tatuaży – tym razem czułem, że w moje ciało wpija się kolczasty drut, że oblekam się w niejasne ciemnie. Uwolniłem się z jej objęć i runąłem pędem do ucieczki. Wróciłem do moich towarzyszy, prosząc czym prędzej o pomoc. Jednak Euzinha odciągnęła mnie na bok i szepnęła:

– Zapomnij o tym. To, co widziałeś, wcale się nie wydarzyło.

Jotinha krążyła wyłącznie po orbicie mojej osoby, nikt inny jej nie interesował. Chciała mnie zabrać w zaświaty. Na czyj rozkaz dotknąłem jej w taki sposób, że została matką? Albowiem to właśnie te nieoczekiwane westchnienia dwóch kochających się ciał sprawiają, że kobieta przekracza samą siebie, przyjmując w swoje jestestwo nasienie nieskończonego bycia. To, co się stało, było znakiem, że powinienem natychmiast zdecydować się iść na drugi kraniec świata.

– Odejdiesz jutro z samego rana.

– Tak, ruszamy jeszcze tej nocy.

– Idziesz sam. Quintino postanowił zostać. Spodobała mu się ta Jotinha, jest jeńcem jej czarów.

Tej nocy cały obóz świętował. Jak można się bawić pośród takiego nieszczęścia? I jaka mogła być przyczyna tej zabawy, skoro nie rozdaliśmy jeszcze worków z mąką kukurydzianą? Nabrałem wówczas pewności, że istnieją podziemne moce, dzięki którym dusze wracają do zdrowia. Zabawa to smutek, który stoi na głowie. Podczas niej ludzie rozpamiętują wspólnie wymarzoną przyszłość. To właśnie wtedy zaczął się konkretyzować nasz plan. Quintino, obładowany worami, stanął w blasku ogniska. Kiedy uchodźcy zrozumieli, o co chodzi, zaczęli wiwatować. Niektórzy rzucali się na mąkę z buziami na sztorc. Połykali ją na miejscu, garściami, aż zaczynali się dusić. Kobiety postanowiły narzucić porządek. Niezwłoczne ręce wytrząskiwały spod ziemi garnki, wodę, chrust. I zaczęły przyrządzać mąkę, podczas gdy dookoła rozlegało się dudnienie męskich bębnow.

Dziewczęta podchodziły do ognia w węzowych płasach, które oplatały im ciała, blask ognia rozmywał im ramiona, wszystko traciło swój kształt. Pierwsze toasty wsiąkły w piach, z szacunku dla przodków. Euzinha potrząsnęła mnie za ramiona, krzycząc:

– Wojna się skończy, synku! Wojna się skończy!

I dołączyła do kręgu, tańcząc i tańcząc bez końca. Poprosiłem ją, aby odpoczęła, ale nawet mnie nie słuchała. Oszłopiała, szwankująca na umyślnieniu, wirowała pośród zawodzeń.

– Zatrzymaj się Euzinho, stań!

– Nie widzisz, że stoję? To świat tańczy wokół mnie!

Po czym, wprawivszy ziemię w wirujący taniec jak rozbawtworzona dziewczynka, z błogim wyrazem twarzy przykneła oczy. W rzeczywistości tańczyła dalej, kręcąc się tak długo, aż runęła na ziemię. Podbiegłem do niej, spodziewając się najgorszego. Tchnienie uszło już z jej piersi do tego drugiego oceanu, po którym błąkał się mój ojciec.

Rozejrzałem się dookoła. Tylko ja zauważyłem śmierć Euzinhi. Okryłem ją jak do snu i wycofałem się dyskretnie. Był już czas, abym stamtąd odszedł, odwrócił się plecami do tego obozu. Woląłem nawet nie wyjaśniać sobie niczego z Quintinem. Miał prawo niczego mi nie mówić. Pogrzeżyłem się w busz tak głęboko zatopiony w samym sobie, że nawet strach nie miał do mnie dostępu. Szedłem tak długo, aż rozpoznałem ścieżynę, którą wiódł mnie Quintino. Jeszcze kawałek – i oto było drzewo, gdzie wraz z moim ojcem zabiliśmy ptaka mampfanę. Położyłem się na miękkim skraju ścieżki, poza zasięgiem gałęzi. Byłem zmęczony do szpiku kości. Poprzedniej nocy prawie w ogóle nie spałem. W jednej chwili sen opanował całe moje ciało.

Musiałem nabrać sił przed powrotem do Matimati. Musiałem się spotkać z Faridą, mimo, że wracałem bez obiecanego jej syna.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

FALE, KTÓRE PISZĄ OPOWIEŚCI

Krajobraz dotarł do oceanu. Drogę wyścielał już tylko biały piasek. W miarę jak ciągnie się wędrówka, stan Tuahira się pogarsza, jakby starzec zbliżał się do swoich ostatnich chwil. Ledwo można go dostrzec na autobusowej ławce, gdzie trwa w takim samym bezruchu, w jakim trwał podczas swojej choroby Muidinga.

– Jeżeli po tej chorobie nie będę umiał chodzić ani mówić, nauczysz mnie to robić od nowa?

Chłopiec nie odpowiada. Wlecze po piasku ławkę Tuahira, aż w końcu stawia ją na szczycie wydmy. Tutaj posłanie jego towarzysza ocieniają krzewy.

– Widzisz tam tę starą porzuconą łódź?

– Widzę, wujku.

– Zrób ze mną tak, jak Surendra zrobił ze swoją żoną. Wsadź mnie do tej łodzi.

– Nie, wujku. Zostaniesz ze mną. Zaopiekuję się tobą.

– Zostaw mnie w łodzi, synku. Chcę umrzeć, nie widząc wokół siebie ani skrawka ziemi.

Chcę mieć wszędzie dookoła tylko wodę.

Muidinga podchodzi do czółna. Na jego dziobie widnieją drobne litery. Nazwa łódki jest już niemal nieczytelna.

– Jak się nazywa to concho?

– Nie uwierzysz, wujku.

– Dlaczego?

– Dlatego że nazywa się Taimo. Pamiętasz? Tak samo nazywało się czółno Kindzu.

Tuahir pozostaje niewzruszony, jakby ten zbieg okoliczności nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Pewnie myśli, że chłopiec zmyśla, żeby go czymś rozerwać.

Ponownie domaga się, aby go zaniesiono do czółna. W końcu Muidinga zaciąga go na brzeg i umieszcza wewnątrz łódki.

– Odpoczywaj sobie teraz, wujku, patrząc na ocean, to ci dobrze zrobi. Za chwilę wrócimy do machimbombo. Umowa stoi, wujku?

– Nie zabieraj mnie już więcej do machimbombo. W nocy roi się w nim od szcurów. Pożrą mnie tam i nawet nie będę się mógł bronić.

Stary miał inne plany: zaczekać tutaj, aż przyjdzie przypływ. Kiedy fale ogarną czółno, łatwiej będzie je zepchnąć na ocean. Chłopiec nie odpowiada. Jego wilgotne oczy patrzą prosto w twarz argumentom śmierci.

– Zaczekaj, wujku. Poczytam ci.

– Ile zostało do końca tych zeszytów?

– Niewiele. Ten jest ostatni.

– W takim razie nie czytaj mi. Zostaw go dla siebie, przeczytasz, jak będziesz sam.

– Nie, wujku. Mogę to przeczytać już teraz.

– No to zaczekaj. Jeszcze nie czytaj. Zrobisz to później, kiedy zacznie się podnosić woda.

W górze, smętnie popiskując, krążą mewy. Ocean jest spokojny. Nikt by nie odgadł, że rozgrywa się tu scena pożegnania.

– Powiedz mi jedną rzecz, Muidingo. Czy to wszystko, co żeś przeczytał z tych zeszytów, naprawdę jest w nich napisane?

– Nie rozumiem.

– Pytam, czy nie dodałeś do tych zeszytów jakichś prawd od siebie.

– Wujku, jak coś takiego mogło ci w ogóle przyjść do głowy?

– Mniejsza z tym. Teraz zacznij czytać.

Fale podchodzą już do wydmy i z wolna otaczają czółno. Głosu chłopca prawie nie słychać, bo zagłuszają go roztrzaskujące się fale. Tuahir leży, patrząc, jak woda się podnosi. Teraz łódeczka kołysze się już na fali. Powoli staje się lekka, niczym kobieta w przecuciu pieszczoty, i uwalnia się z objęć ziemi, wreszcie wolna i żeglowna. I wtedy zaczyna się podróż Tuahira ku oceanom nieskończonych fantazji. Na falach zapisane są tysiące opowieści, tych samych, które koją do snu dzieci całego świata.

OSTATNI ZESZYT KINDZU

Stronice ziemi

Po odejściu Euzinhi nie pozostała mi już żadna nadzieja. Wracałem do Matimati bez Quintina. Straciłem przyjaźń. Nie znalazłem Gaspara. A to znaczy, że straciłem też miłość. Farida nie wybaczy mi tego, że nie dotrzymałem obietnicy. I oddali się ode mnie, odejdzie w nieosiągalną przestrzeń.

Ruszyłem ciemną ulicą miasteczka w stronę domu Assane. Antoninho na mój widok podał tyły, jakby zobaczył przeterminowaną zjawę. Ręce owinięte miał bandażami. Assane dowlóknął się do drzwi na swoim wózku, po czym, zwracając się w stronę pomocnika, zapytał:

– Powiedziałeś mu już, co się stało?

– Co się tu dzieje? Co z Faridą?

Assane podjechał do mnie. Uniósł się z wysiłkiem na wózku i pocieszającym gestem ścisnął mnie za ramię.

– Nie warto tam wracać.

– Nie warto?

– Farida już na ciebie nie czeka.

– Jak to? Zabrali ją stamtąd?

– W pewnym sensie...

– Jak to, w pewnym sensie?

– Uspokój się, Kindzu. Wszystko ci opowiemy.

Wszystko się pogmatwało. Na rozkaz Assane Antoninho popłynął czółnem do rozbitego statku. Kiedy znalazł tam Faridę, skrzyknął się ze zdumienia.

Kobieta przypominała łachmaczek i było jej widać właściwie tylko oczy. Poślaniec zbliżył się do niej spokojnie, przedstawiając się jako przyjaciel. Farida chciała dowiedzieć się czegoś o Kindzu. Oświadczyła, że czeka na niego już zbyt długo. Poszukiwania jej syna nic nie dadzą. Ziemia jest wielka, a wojna jeszcze większa.

– Nigdy go nie znajdziecie!

Po czym rzuciła z desperacją:

– Nie mogę już dłużej czekać! Widzisz tę latarnię morską? – wskazała w stronę zachodzącego słońca. – Muszę ją uruchomić.

Antoninho zaoferował jej pomoc. Farida oznajmiła wówczas, że wyruszy tam, aby zapalić światła i w ten sposób naprawi ciemności. Te światła pokierują okrętami, które będą ją stąd chciały zabrać. On zaś ma zostać na rozbitym statku, obserwując, czy nikt się nie zbliża. Farida odpłynęła na łódce Antoninha. Widział jeszcze, jak dociera na małą wysepkę i jak wchodzi do latarni morskiej. Pozostała tam przez jakiś czas, wyszła, po czym ponownie weszła do środka, targając jakieś stare baryłki. Nagle wieża zatrzęsła się od potężnej eksplozji. Płomienie wyskakiwały z budynku jak łapczywe jęzory. Cała wysepka stanęła w płomieniach.

– To niemożliwe, Farida nie zginęła! Jutro popłynę do tej latarni...

– Nie warto – wtrącił się z przekonaniem Antoninho.

– Nie wierzę temu łajdakowi. Może sam zmyślił jej śmierć...

Odrzuciłem się gwałtownie i ruszyłem korytarzem w głąb domu. W pokoju Surendry ogarnęła mnie rozpacz. Nie płakałem, ale jakieś przeraźliwe znużenie dusiło mi piersi. Do pokoju wjechał Assane. Jego kółka skrzypiały w ciemności.

– Kindzu, byłeś niesprawiedliwy dla tego chłopaka.

– Dla Antoninha? Dobrze go znam.

– Ale tym razem się mylisz. Sam mogę zaświadczyć, jak bardzo chłopak cierpiał.

Assane przysięgał. Antoninho ruszył ku wysepce inną łódką, aby spróbować pomóc kobiecie, którą kochałem. Rzucił się w środek pożogi z pogardą dla własnego życia. Ręce płonęły mu jak pochodnie, o mało nie zginął.

– Teraz Antoninho już cię szanuje. Uwierz mi, Kindzu.

Przytłaczał mnie tak wielki smutek, że odrzuciłem wszelkie podejrzenia. Przyznałem się do omyłki. Poprosiłem bez przekonania Assane, aby usprawiedliwił mnie przed Antoninhem.

– Assane, muszę stąd odejść.

– Dobrze się składa, przyjacielu. Właśnie jutro odjeżdża stąd pierwsze machimbombo naszej spółki.

Udałem, że tego nie słyszę. Naszej spółki? A więc interes już rozkwitnął? No cóż, podczas wojny można się dorobić znacznie szybciej niż w czasach pokoju. Wysunąłem kolejną wątpliwość, tym razem mniejszego kalibru:

– Można się już swobodnie poruszać drogą?

– Tego nie jesteśmy pewni. Spróbujemy.

– W porządku. Jutro wsiadam do tego machimbombo. A teraz zostaw mnie samego, jestem zbyt zmęczony.

Chciałem być zupełnie sam. W wersji Assane wyczułem posmak fałszu. Paralityk jako aktualny sojusznik administratora był gotów świadczyć mu wszelkie usługi, byle tylko zaskarbić sobie jego sympatię. Śmierć Faridy mogła być jedną z takich usług. Antoninho był sługą doskonałym.

Przez całą noc śnił mi się sen, który smakował jak prawda. Kiedy zasypiałem, nadal dręczyły mnie tysiące pytań. A może nie zamordowali Faridy brudnymi rękoma Antoninha? Może chłopak rzeczywiście ryzykował życiem, aby ją ratować? Już nigdy nie poznam prawdy. Nazajutrz miałem ruszyć w drogę powrotną do mojej wioski. Ile czasu minęło, od kiedy ją porzuciłem? Co stało się w tym czasie z moją matką, noszącą w łonie niemożliwe dziecko? A Czerwiesio? Czy wciąż piał pośród łąk?

Teraz było tak, jakby wszystkie te zjawy działały z rozmysłem w mojej głowie, po to aby przekazać mi swoje sekrety, objawienia drugiego świata. Zdam relację z mojego ostatniego snu i zobaczymy, czy uwolnię się w ten sposób od straszego brzemienia wspomnień. Nie chciałbym, aby te myśli do mnie wracały. Powinienem zasnąć, zasnąć całkowicie, opuścić to ciało pełne nadziei i udreki. Powinienem odpocząć od podejrzeń, ostudzić moją żądzę zemsty. Jutro złapię autobus i wrócę do mojej wioski. Nie chcę pamiętać niczego, ani Faridy, ani Karolindy, ani Quintina. Tak naprawdę chciałbym odejść w głąb oceanu, tak samo jak Assma, zepchnięty na wodę w małej łódce, która sunie potem bez celu przed siebie. Albo stać się najdelikatniejszym cieniem, tak jak uczyła mnie tego matka. Tego właśnie pragnę: zagasnąć, zamilknąć, zaniebyć. Dobrze się stało, że spisałem krok po kroku całą moją podróż. Dzięki temu moje wspomnienia są już przykute do papieru i pozostaną daleko ode mnie. To jest ostatni zeszyt. Potem spakuję wszystko do walizki, którą dostałem od Surendry. Ostatecznie Surendra jest jedyną osobą, której towarzystwo mogę znieść. Tylko Hindus oraz jego wyśniony naród – ocean bez końca.

Pozostaje mi już tylko opowiedzieć o tym, co tej nocy przywędrowało do mojej głowy. Pozostaje mi uwolnić się od ostatniego ciężaru, który przeszkadza mi przeistoczyć się w cień. Przytaczam mój sen zgodnie z jego dzikim bezładem.

Schodziłem w dolinę zalaną światłem i pełną poranka. Wyglądało to jak pierwszy świt świata. Światło nie mogło wyjść z podziwu nad własnym debiutem i testowało swój ogrom, opromieniając rzeczy najdrobniejsze. Kolory były tak nowe, że nieustannie zamieniały się miejscami. I wtedy spostrzegłem, że zbliża się do mnie olbrzymia gromada ludzi,

wynędziałych, okutanych w skóry i łańchmany. Były ich setki setek. Zaczęli powoli wypełniać cały mój sen. Na czele gromady kroczył czarownik z mojej wioski. Miał na sobie zabłoconą narzutę z wycięciem na głowę i zamiatał jej postrzępionymi połami po zakurzonej ziemi. Wróżbita rozejrzał się dookoła, jakby zależały od niego losy wszechświata. Ważył w swoich oczach najcięższą decyzję – decyzję o stworzeniu nowego dnia.

– To tutaj! – oznajmił.

Przez chwilę dreptał, raz w jedną stronę, raz w drugą, jakby w poszukiwaniu centrum niewidzialnego krajobrazu. Tuż za nim włókł się tłum ludzi, którzy pełzali po ziemi, jakby żywili się śladami swojego przewodnika. Czarownik wspiął się na kopiec termitów i ogarnął wzrokiem równinę. Wcisnął kapelusz z piór mocniej na głowę i owinął się ciasniej narzutą, jakby panujący skwar mroził go do kości. Wówczas, unosząc swój kostur, zawołał:

– Niech zginą drogi, niech zarosną ścieżki, niech runą mosty!

Po czym zaczął przemowę, wysnuwając słowa powoli i przełamując głosem wiatr.

– Płaczecie nad dzisiejszymi dniami? Wiedźcie zatem, że dni, które nadejdą, będą jeszcze gorsze. Właśnie po to wymyślili tę wojnę: aby zatruć łono czasu, aby terażniejszość płodziła potwory zamiast nadziei. Nie szukajcie już swoich krewnych, którzy odeszli w obce strony w poszukiwaniu pokoju. Nawet jeśli ich znajdziecie, nie poznają was. Zamienicie się w zwierzęta bez rodziny i bez narodu. Albowiem ta wojna nie została rozpętana po to, aby was wygnać z ojczyzny, lecz po to, aby wygnać ojczyznę z was.

Teraz jedyna wasza dusza to broń. Okradli was do tego stopnia, że nawet wasze sny już do was nie należą, nie należy do was ani jedna piędź waszej ziemi, nawet ocean i niebo są już cudzą własnością. Będzie tysiąc razy gorzej niż w przeszłości, bo nigdy nie ujrzycie twarzy swoich nowych panów, którzy będą się wysługiwać waszymi braćmi, aby was torturować. Najlepsi wojownicy, zamiast walczyć z nieprzyjacielem, zatopią włócznie w brzuchach własnych kobiet. A ci, którzy powinni wami dowodzić, będą się gryźć o ochłapy podczas bankietu na cześć waszej klęski.

I nawet najwięksi nędzarze będą panami waszego strachu, bo zamieszkacie w królestwie przemocy. Będziecie musieli czekać, aż mordercy wytluką się własnymi rękami, bo wszyscy będą się lękać sprawiedliwości. Ziemia zakotłuje się i otworzy, a pogrzebani ludzie wyjdą na powierzchnię, aby szukać uszu, które im oderżnięto. Inni będą przetrząsać wymiociny hien w poszukiwaniu własnych nosów, będą przekopywać śmietniska, aby odzyskać swoje wnętrzości. I podniesie się wiatr, który rozwlecze gwiazdy po niebie, a noc skurczy się od tych wszystkich świateł, które będą wybuchać nad waszymi głowami. Wściekłe bicze piasku zawirują w powietrzu, ptaki będą padać martwe na ziemię, rozpętają się kataklizmy, które nie mają jeszcze nazwy, machamby zmienią się w cmentarze, a rośliny uprawne, zwiędłe i wyschnięte, będą rodzić tylko sól i kamienie. Kobiety będą żuły piasek, a będzie ich tyle i tak wielki będzie ich głód, że w wypatroszonej ziemi powstanie gigantyczna dziura. Ale na końcu pozostanie taki poranek, jak ten, pełen nowego światła, i rozlegnie się głos z oddali, niczym wspomnienie czasów, zanim staliśmy się ludźmi. I zabrzmiały słodkie dźwięki pieśni, łagodnej kołysanki pierwszej matki świata. I ten śpiew będzie nasz, będzie jak przypomnienie głębokich korzeni, których nie zdołano nam wyrwać. Ten głos da nam siłę, aby zacząć od nowa, na jego dźwięk trupy uspokoją się w grobach, a ci, co przeżyli, padną w objęcia życia z niewinnym zapałem zakochanych. Wszystko to nastąpi pod warunkiem, że otrząśniemy się z czasów, które zrobiły z nas zwierzęta. Zgódźmy się umrzeć jako ludzie, którymi już nie jesteśmy. Pozwólcie umrzeć zwierzęciu, w które zamieniła nas wojna.

Wyczerpany czarownik zamilkł. Jego narzuta była przesiąknięta potem. Ponownie uniósłszy kostur nad głowę, przemówił raz jeszcze. Użył jednak słów, które nie należały do żadnego języka. Ludzie śledzili pozostałą część przemowy, usiłując odnaleźć w niej cokolwiek zrozumiałego. Nagle nganga umilkł, uniósł w górę naczynie z tykwy i polał sobie ramiona jakąś cieczą. Potem zszedł z kopca i kolejno pokropił cieczą każdego ze

zgrupowanych. To, co nastąpiło później, było najbardziej niezwykle: wszyscy jak jeden mąż zaczęli padać na ziemię, wijąc się w konwulsjach i wrzeszcząc, i rozpętała się orgia spazmów, toczona z ust piany i śliny, i wkrótce wszyscy, jeden po drugim, zaczęli zatracać ludzkie kształty. Ciało pokrywały się pierzem i łuską, szponami i dziobami, ogonami i grzebieniami, i całe to ludzkie zgromadzenie przeistoczyło się w jeden wielki zwierzynek. Mowa została przemieniona jako ostatnia, więc przez jakiś czas słychać było jeszcze ludzkie okrzyki zdumienia i strachu, wydawane przez zupełnie już bezrozumne stworzenia. Jednak stopniowo zatarły się również słowa, a cała zwierzyna rozbiegła się bezładnie po buszu.

Widząc, co się dzieje, padłem na kolana i przyjrzałem się własnym dłoniom, aby sprawdzić, czy jeszcze jestem człowiekiem. Zrzuciłem ubrania i zacząłem macać moje stare kształty. Chrząknąłem ostrożnie, aby usłyszeć mój głos. Przełknięty, zacząłem wypowiadać proste słowa, a potem zdania bez związku. Nie było wątpliwości: pozostałem w stu procentach człowiekiem i zamieszkiwałem ciało, które zawsze należało do mnie.

Wówczas poprzez senne opary dojrzałem nadchodzącego koguta. To był Czerwiesio, mógłbym niemal przysiąc. Bo on, w przeciwieństwie do innych, ucłowieczał się: opadały z niego pióra, grzebienie i pazury. Spoglądał na mnie jeszcze półzwierzęco. Jego oczy o coś mnie prosiły, nie potrafiłem odgadnąć o co. W jaki sposób mogłem mu pomóc, ja, zwykły senniciele? Ale po chwili coś się zaczęło dziać – pojawił się kolonista Romão Pinto, wraz z administratorem Estêvão, Shetanim, Assane, Antoninhem i grupą wojskowych. Byli uzbrojeni i zmierzali w stronę Czerwiesia z wyraźnym zamiarem, aby oskubać mu szyję. Otoczyli moją braciszka z wszystkich stron, mówiąc:

– Twój ojciec miał rację: przez cały czas cię szukaliśmy.

Wtedy Czerwiesio mnie zawołał. Przyjrzałem się samemu sobie bez przekonania, ale to, co ujrzałem, było zaskakujące nawet we śnie: moje ramiona zdobiły wstążki i bransolety, a w dłoniach dzierżyłem włócznię. Teraz byłem już pewien: stałem się naparama! Widząc mnie tak odmienionego, ciemniźciele mojego brata rozpięchli się w mgnieniu oka. Ale Czerwiesio nadal walczył o to, aby się odzwierzęcić, uwolnić się od klątwy. Przyszło mi na myśl, że przydałaby mu się odrobina dzieciństwa, zacząłem więc nucić kołysanki naszej matki, które były kiedyś ostatnim pomostem, jaki go łączył z rodziną. W miarę jak śpiewałem, on stawał się w pełni człowiekiem: stuprocentowym Czerwiesiem. Obok niego, jakby na zew mojego śpiewu, pojawiła się nasza matka, trzymająca w ramionach dziecko. Zawołałem coś do nich, ale chyba mnie nie słyszeli. Czerwiesio przyłożył otwartą dłoń do piersi, po czym połączył obie dłonie na kształt muszli. Dziękował mi. Skinąłem mu na pożegnanie, a wtedy on, ujmując matkę pod ramię, zniknął w nieskończonym listowiu.

Czułem, że noc dobiega końca. Coś mi mówiło, że powinienem się pośpieszyć, zanim ten sen się wyczerpie. Bo teraz stanął mi przed oczyma mamiący obraz drogi, którą szedłem. Była to jednak bardzo dziwna droga: nie trwała w bezruchu, czekając na ludzkie podróże. Sama się przemieszczała, wędrując od pejzażu do pejzażu. I ta droga zbiła mnie z tropu.

Czym innym jest los niż pijakiem wiedzionym przez ślepcę? Byłem prowadzony bez czasu ani rachuby. Aż nagle moje serce skurczyło się w ponurym przestraszu. Wyrosło przede mną spalone machimbombo. Stało na poboczu, prostopadle do drogi, z maską roztrzaskaną o drzewo. Nagle czuję tępe uderzenie w głowę. Wydaje się, że cały świat eksploduje, a po tle, które wypełnia jaskrawobiałe światło, rozchodzą się czerwone niteczki krwi. Zataczam się pokonany przez nagłą słabość. Mam ochotę się położyć, wtulić się w chłodną ziemię. Upuszczam walizkę, w której są zeszyty. Wewnętrzny głos prosi mnie, abym się nie zatrzymywał. To głos mojego ojca dodaje mi sił. Przewyciężam otepienie i idę dalej drogą. Przede mną wolnym krokiem idzie jakiś chłopiec. Trzyma w dłoniach papiery, które wydają mi się znajome. Zbliżam się do niego i, zaskoczony, nabieram pewności: to moje zeszyty. Wtedy wołam zduszonym głosem: „Gaspar!”. A chłopiec drży, jakby rodził się po raz drugi, i zeszyty wypadają mu z ręki. Kartki, rozwiewane przez wiatr, który nie rodzi się z

powietrza, tylko z samej gleby, rozsypują się po całej drodze. A wówczas litery zamieniają się jedna po drugiej w ziarnka piasku i powoli wszystkie moje zapiski przeistaczają się w stronice ziemi.

OD TŁUMACZA

Język Mii Couto jest na tyle specyficzny, że polskiemu czytelnikowi należy się kilka wyjaśnień. Portugalszczyzna większości utworów prozą mozambickiego autora – zarówno *Lunatycznej krainy*, *Ostatniego lotu flaminga*, nowel *Mar me quer*, *Vinte e Zinco*, jak i licznych opowiadań – sama w sobie jest ich bohaterką i nieustannie przekształcanym artystycznym surowcem. Poza sporadycznymi igraszkami z czasem, składnią, wewnętrznymi rymami, grammi słów i nazwiskami znaczącymi, najczęściej pojawiają się tutaj neologizmy – słowa, w których przestawiono kilka liter dyskretnie, lecz na tyle skutecznie, że nabierają nowego lub dodatkowego znaczenia, oraz krzyżówki dwóch, czasem trzech słów: rzeczowników, czasowników lub przymiotników, w dowolnych kombinacjach i nader śmiałych pozycjach.

Wydaje się, że funkcja słowotwórczych zabiegów Couto jest dwojaka, by tak rzec – artystyczna i propagandowa. Z jednej strony autor, budując oryginalny język, buduje również oryginalny klimat swoich utworów, a zarazem nośnik ich treści (która zwykle sama w sobie jest całkiem treściwa), z drugiej zaś – przeciera nowe szlaki przed postkolonialną, wyzwoloną portugalszczyzną, pokazując wszem i wobec, że dzisiaj każdy może mieć własną mowę i nie ma się co przejmować tradycyjnymi normami, skoro język i tak ulega nieustannym historycznym i geograficznym przemianom. Chodzi też tutaj o wykorzystanie – a przez to i nobilitację – ustnej tradycji rdzennych mieszkańców Mozambiku, tej niepisanej literatury, którą przekazuje się na wsi przy ogniskach, pełnej twórczych zniekształceń, słownych zabaw i wtrąceń z lokalnych języków bantu. Bez wątpienia Mia Couto – zdeklarowany „biały Afrykanin”, biolog i dziennikarz zaangażowany w sprawy swojego kraju – pełni w pewnej mierze funkcję ambasadora mozambickiego folkloru, jego mitologii i podań, podnosząc je ostentacyjnie do rangi „kultury wysokiej”.

Couto nie jest zresztą w swoich słowotwórczych praktykach odosobniony. Wcześniej bardzo śmiało eksperymentował z portugalskim jeden z najsłynniejszych pisarzy brazylijskich João Guimarães Rosa (1908-1967), którego, zdaniem badaczy, Couto jest (w warstwie językowej) twórczym kontynuatorem; podobne lingwistyczne innowacje stosuje też w swojej poezji jeden z najwybitniejszych twórców współczesnej Angoli Ondjaki (ur. 1977).

Można zatem powiedzieć, że język Couto jest jednym z przykładów pewnej szczególnej tendencji we współczesnej literaturze luzofońskiej – literaturze skutecznie spuszczonej z kolonialnej smyczy.

Tłumacze prozy Mia Couto mają, jak się zdaje (a zaświadcza o tym liczne przekłady), do wyboru dwie drogi. Wychodząc z przekonania, że ewentualne próby tworzenia w obcym języku quasi-analogicznych neologizmów są zbyt ryzykowne i jedynie zaciemnią, zubożą lub skompromitują treść utworu (mimo wszystko nadrzędną), tłumacz może – częściowo lub całkowicie – z tych prób zrezygnować. Drugą możliwością jest takich prób podjęcie. Nawet na przykładzie tych kilku utworów Couto, które ukazały się już po polsku, można zaobserwować obydwie translatorskie strategie.

Tłumacząc *Lunatyczną krainę*, postanowiłem eksperymentować z polszczyzną w d u c h u i z a k r e s i e wskazanym przez autora, tak aby zachować stosowne proporcje między ludyczną i dramatyczną funkcją wszystkich językowych zabiegów. Kierowałem się przy tym prostą zasadą: w miejscu każdego portugalskiego neologizmu starałem się stworzyć jego polski odpowiednik, bazujący na zbliżonych słowach składowych. W nielicznych przypadkach, gdy było to niemożliwe lub gdy dawało to efekty niezadowolające, tworzyłem polski neologizm w innym miejscu tego samego zdania.

Zresztą najtrafniej rzecz ujął, jak zwykle, niezawodny Charles Dodgson:

– *To dość na początek – przerwał Humpty Dumpty – jest w tym cała masa trudnych słów. Smaszno oznacza czwartą po południu, zwykle bywa duszno o tej porze i zaczyna się już smażyć rzeczy na kolację.*

– *To dobre wytłumaczenie – powiedziała Alicja – a smukwijne?*

– *No cóż, smukwijne oznacza smukłe i wijące się. Jest to, widzisz, podobne do walizki... dwa znaczenia pakuje się do jednego słowa⁸.*

Michał Lipszyc

8 Lewis Carroll, *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*, przeł. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1990, s. 192.

SŁOWNICZEK

- bando (czyt. bandu) – pospolite określenie uzbrojonych bandytów
- banjan (czyt. banzan) – określenie hinduskiego kupca prowadzącego interesy w Afryce Wschodniej
- canhoeiro (czyt. kaniuejru) (*Sclerocarya birrea*) – drzewo rodzące owoce zwane canhi (o'canhe, nkanhu), z których pędzi się napój alkoholowy o tej samej nazwie, pity podczas tradycyjnych obrzędów na południu Mozambiku
- chimussi (czyt. szimussi) – w Mozambiku okres, w którym wstrzymuje się uprawę roli
- cipaio (czyt. sipaju) – określenie czarnego policjanta w czasach kolonialnych
- chissila (czyt. szisila) – kłątwa
- concho (czyt. konszu) – drobna łódka, czółno
- congolote – stworzonko o tysiącu nóżek, zwane także „maria-cafe”
- curucho (czyt. kuruszu) – zniekształcona fonetycznie forma nazwiska Cruz (czyt. krusz; dosł. „krzyż”)
- jambleiro (czyt. zambulejru), zwane też jamboeiro, jambeiro, jambolano i jambolao: pochodzące z Indii drzewo z rodziny *Mirtáceas*, które daje smaczne, owalne owoce zwane jambo lub jambalau
- kapulana – barwna bawełniana chusta, którą kobiety w Mozambiku owijają sobie wokół bioder; sięga do kostek, pełniąc funkcję spódnicy
- katana – rodzaj maczety, używanej powszechnie przez afrykańskie ludy jako broń lub narzędzie pracy (z jap. „katana”, tradycyjny miecz japoński)
- machamba (czyt. maszamba) – w Mozambiku przydomowe pole uprawne
- machimbombo (czyt. maszimbombu) – autobus, bus lub furgonetka; środek publicznego transportu w Mozambiku
- machongo (czyt. maszongu) – żyzne gleby gliniaste
- mafureira – drzewo z rodziny *Meliaceae*, z którego nasion ludy tubylcze Mozambiku wyłaczają olej mafura, służący do przyprawiania potraw
- makua – język z grupy bantu, używany na północy Mozambiku; także lud posługujący się tym językiem
- maningue (czyt. maninge) – bardzo, nadmiernie
- mantakassa – tak na północy Mozambiku określa się tropikalną neuropatię, chorobę wywoływaną przez spożycie pewnych odmian manioku
- maquela – odmiana manioku
- massaleira (właściwa nazwa lokalna: nsala) – występujące powszechnie w Mozambiku drzewo, które rodzi duże kuliste owoce o żółtej barwie, zwane massala
- matsanga – jedno z określeń zbrojnych bandytów
- meixoeira (czyt. mejszuejra) – karłowata odmiana kukurydzy
- micaia (czyt. mikaja) – czerwona akacja; potężne drzewo z rodziny *Leguminosae*
- monhe (czyt. monie) – w Mozambiku określenie Hindusa
- mucunha (czyt. mukunia) – biały człowiek

nganga – wróżbita; ten, który wróży z kości
nhamussoro (czyt. niamusorru) – czarownik
penembe – waran nilowy
quizumba (czyt. kizumba) – hiena
sakudu – plecak (z fr. sac-a-dos)
sura – alkohol wyrabiany z pędów palmowych
timaka – awantura, kłótnia
xicuembo (czyt. szikuembo) – czary
xiculunguelo (czyt. szikulunguelo) – okrzyki i zawodzenia, wydawane przez kobiety w chwilach radości
xima (czytaj: szima) – papka z mąki kukurydzianej lub maniokowej zagotowanej z wodą, najpospolitsze pożywienie ubogich mieszkańców Mozambiku
xipalapala (czyt. szipalapala) – instrument dęty wykonany z bawolego rogu
xipefo (czyt. szipefu) – lampka naftowa
xipoco (czyt. szipoku) – zjawa (to samo co psipoko).

Mia Couto

Urodził się w 1955 roku w mieście Beira w Mozambiku. Z wykształcenia biolog, pracuje jako wykładowca uniwersytecki, pisarz i dziennikarz.

Był dyrektorem Agencji Informacyjnej Mozambiku, redaktorem naczelnym pisma „Tempo” i dziennika „Noticias de Maputo”. Opublikował, między innymi, tomy opowiadań *Vozes Anoitecidas* (1987) i *Estórias Abensonhadas* (1994). Tłumaczony na wiele języków. Został uhonorowany, między innymi, Nagrodą Vergilia Ferreiry za całość twórczości w roku 1999. Po polsku, oprócz *Ostatniego lotu flaminga*, ukazał się też zbiór *Naszyjnik z opowiadań* oraz *Taras z uroczynem*.